Granica pod napięciem • Młodzi **bezdomni** • **Katoinfluencerki** • **Rozwody** po polsku
Mocarny **Mosad** • Nadchodzi nowy **duopol** • Powrót **Machulskiego**

POLITYKA

POLITYKA.PL

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

TYGODNIK, nr 28 (3522), 9.07–15.07.2025 Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Rozliczamy rozliczenia

- **Raport ze śledztw**
- **Dlaczego ludzie PiS są ciągle bezkarni?**

Wydanie w sprzedaży do 15.07.2025
ISSN 0032-3500
28>
9 770032 350503

prasa.pl 1a5536f9e2

OJCZYZNA DON KICHOTA

KUP TERAZ

W sprzedaży

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 1a5536f9e2

© ZBIGNIEW BOREK

16
Bojówkarze na granicy

Tematy tygodnia

10 Ewa Siedlecka RAPORT
Jak w praktyce wyglądają śledztwa w głośnych sprawach z czasów rządów PiS
15 Rozmowa z prokuratorem krajowym **Dariuszem Kornelukiem**

16 Zbigniew Borek
Zachodnia granica: patrole i kontrole

Polityka

20 Rozmowa z prof. **Przemysławem Sadurą** i **Sławomirem Sierakowskim** o tym, jak wybory prezydenckie przeorganizowały polską scenę polityczną
23 Anna Dąbrowska
Anna Krupka: „aniołek Kaczyńskiego" we władzach PiS

Społeczeństwo

26 Katarzyna Kaczorowska
Rozwody po polsku
30 Agnieszka Sowa
Katolickie influencerki
34 Katarzyna Kaczorowska
Tragedia w Starej Wsi: zawinił system czy ludzie?
36 Paweł Walewski
ODCHODZIĆ PO LUDZKU
Jak przeżyć upały
39 Joanna Cieśla **Młodzi bezdomni**

Rynek

42 Marcin Piątek
Mikrofirmy: jak prowadzić własny biznes i się utrzymać
45 Adam Grzeszak **Roboty już wśród nas**

Świat

48 Agnieszka Zagner IZRAEL
Tajemnice Mosadu
51 Aleksander Kaczorowski WĘGRY
Czy Orbána da się odspawać
54 Mariusz Zawadzki USA
Zohran Mamdani: kontrowersyjny kandydat na burmistrza Nowego Jorku
57 Ziemowit Szczerek
PODRÓŻE Z POLITYKĄ
Zakochaj się w Sarajewie

Nauka/projektpulsar.pl

60 Olaf Szewczyk **Kosmiczny wyścig**
63 **Jonathan Kennedy** o tym, jak patogeny wpływały na kształt historii

Historia

68 Tomasz Targański
Lekcja z wojny w Iraku
71 Jędrzej Winiecki
1985: atak na statek Greenpeace'u

Kultura

78 Rozmowa z **Juliuszem Machulskim** o „Vinci 2" i o tym, czy wybiera się na filmową emeryturę
82 Piotr Sarzyński
Wielkie wystawy: co mówią o współczesnym świecie
86 Reż. **Ido Fluk** o najpopularniejszym solowym albumie jazzowym wszech czasów

Ludzie i style

94–97 • **Stare komórki wracają**
• **Ohydki ze straganów**
• **Zalew AI**
• **Nepalski Mustang**
• **Wino na lato**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **89** Chutnik i Plebanek
• **90** Orliński • **91** Agata Passent
• **92** Mizerski • **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!
Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Tylko piwo nie ma poglądów

Bartek Chaciński

Legendą tego lata będzie zapewne ta o publiczności uciekającej z koncertu Massive Attack na Open'erze, bo polityczny przekaz był zbyt dobitny. Opowieści, jak to część widowni czmychnęła spod sceny, żeby się napić piwa, i podkręcone nagłówki o tym, że „ludzie przyjechali się bawić, a zespół urządził im piekło", robiły wrażenie. Co zrobiła grupa Massive Attack? Okazywała wsparcie Ukrainie i podawała na ekranie wstrząsające statystyki zabitych Palestyńczyków czy zbombardowanych szkół w Strefie Gazy. Ale jeśli sięgniemy pamięcią, siedem lat temu ten sam brytyjski zespół wyświetlał w Gdyni hasła „Kaczyński abdykuje za rok" (tu mocno przestrzelili) i „Unio Europejska, ratuj polskie sądy", trudno było się więc nastawiać na bezrefleksyjną rozrywkę.

Z początkiem lata w naturalny sposób miejscem manifestacji poglądów zamiast ulicy stają się właśnie festiwale muzyczne. Ten sezon wydaje się jednak – stosownie do nagłówków gazet – gorętszy niż zwykle. Świadczy o tym kryminalne postępowanie toczące się w Wielkiej Brytanii przeciwko zespołom Bob Vylan (duet punkowo-rapowy, nie mylić z Bobem Dylanem) i Kneecap po ich występach na festiwalu Glastonbury. Ci pierwsi wołali o „wolną Palestynę" i „śmierć IDF" (IDF to prowadzące działania w Gazie Siły Obronne Izraela). Potem tłumaczyli, że chodziło tylko o demontaż agresji wojskowej, a w ich obronie stanęli m.in. członkowie Massive Attack. Z kolei członkowie Kneecap, grupy z Irlandii Północnej, do wsparcia dla Palestyny dorzucili jeszcze głośno to, co myślą na temat Keira Starmera, brytyjskiego premiera.

Starmer miał bowiem osobiście interweniować po występie Bob Vylan, strofując szefa BBC. A stacja zdjęła ostatecznie ze swojego serwisu zarejestrowany już koncert tej grupy, po czym odmówiła transmisji kolejnego w programie Kneecap jako występu „wysokiego ryzyka". Obu zespołom unieważniono ostatnio amerykańskie wizy – swoją drogą znowu będące dziś instrumentem uciszania artystów.

Zderza się to z klimatem czasów. „Nie mieszajmy polityki z rozrywką" – pouczali komentatorzy za czasów, gdy gwiazdy estrady bojkotowały prorządowe Opole telewizji Kurskiego. Na ekscesach nie zależy też komercyjnym sponsorom: lepiej nie mieszać zimnego piwa z przekazem, bo może spaść sprzedaż. Bo nie tylko krowa, także piwo nie ma poglądów. Przykład węgierski dopisał do tego modelu hojne wspomaganie artystów, którzy nie podnoszą głosu na rząd, zapewniając mu polityczne długie trwanie. Tymczasem takie formy uciszania doprowadzają do rekonstrukcji autorytaryzmów pod rynkowym parasolem.

W tę apolityczność wielkich scen, której nie było ani za czasów hipisów, ani w erze punka, uwierzyli najwyraźniej politycy różnych opcji, bo w kampanii prezydenckiej kultura była tematem praktycznie nieobecnym. Wyśmiewanie „bonjour" Rafała Trzaskowskiego było faktycznie atakiem na kapitał kulturowy. Nie stały się tematem kampanii książki na półkach ani znajomość światowego kina. Karolowi Nawrockiemu udało się za to sprowadzić starcie na pole kultury fizycznej. „Now Rocky" reklamował się boksem, podczas gdy Trzaskowski wyraźnie unikał promocji jazzową historią rodziny. Głównym sekundantem politycznego starcia był – jak wiemy – dziennikarz sportowy. A tematyczne oddanie pola poprzedziło porażkę.

To dość typowy obrazek dla czasów, w których władzę sprawuje centrowa koalicja, ale to narodowa prawica podrzuca tematy. Rząd wydał właśnie rozporządzenie o wznowieniu kontroli na granicy, pod ewidentną presją środowisk w rodzaju „żółtych kamizelek" z opisywanego w naszym reportażu (s. 16) Ruchu Obrony Granic. Nagle wrócił do gry Robert Bąkiewicz. Ten sam, w którego środowiska inwestował za pomocą publicznych dotacji minister Piotr Gliński, finansując w ten sposób ekstremizm prawicowy zamiast włączających form kultury.

Całość wygląda zresztą trochę na ustawkę. Ten sam rząd PiS, który masowo sprowadzał do Polski imigrantów, zamiast fundować programy oswajające społeczeństwo z wielokulturowością, pieniądze przekazywał na inkubatory myśli narodowej zbudowane na przedwojennym silniku ideologicznym. Dzięki temu za chwilę może się okazać, że mamy młode kadry dobrze fizycznie przygotowane do obrony polskiej kultury, nawet jeśli nie bardzo wiedzą, czego bronią. A jeśli całe środowisko polityczne zacznie się zgadzać, że kultura nie jest atrakcyjnym polem dyskusji, to za jakiś czas nie będzie czego bronić.

Jeśli spojrzymy na te utrudniające pracę Straży Granicznej bojówki, widać, że hasło „Murem za polskim mundurem" obowiązuje tylko wtedy, kiedy rozkazy mundurowym wydają „nasi". Słychać to także w deklaracjach polityków: Adam Bielan, gdy rozeszła się wiadomość o jego tajemniczym nocnym spotkaniu z marszałkiem Szymonem Hołownią, z miejsca obarczył odpowiedzialnością za wyciek tej informacji Służbę Ochrony Państwa, odwracając uwagę od tematu rozmowy. Hołownia tłumaczył się z niej na X, ale dość mętnie. Wiemy więc tyle, że panowie raczej nie spotkali się, żeby wspólnie obejrzeć transmisję koncertu z Open'era (niektóre z nich nadaje TVP).

W powietrzu wisi pytanie o to, co bardziej ryzykowne: czy zbyt ostre i politycznie niepoprawne hasło rzucone na koncercie, czy bierne oczekiwanie na akty przemocy w odpowiedzi na wykreowany przez polityków problem (tak mówią naszemu reporterowi sami mieszkańcy terenów nadgranicznych). Z czym naprawdę wiąże się owo „wysokie ryzyko"? Widownia letnich festiwali usłyszała już i odpowiedź na to pytanie. Seun Kuti – syn legendarnego Feli Kutiego – podczas występu na Innmusic Festival w Zagrzebiu mówił do młodej publiczności: „Widzę, że chcecie wyzwolić Palestynę, Kongo czy Sudan? Jeśli tak, to najpierw wyzwólcie może Europę. Od prawicowego ekstremizmu i rasizmu".

eprasa.pl 1a5536f9e2

Albatros travel

Rejs po Morzu Śródziemnym

Pełne wyżywienie na statku

Zobacz majestatyczny Akropol, malownicze niebiesko-białe domy na Santorini czy słoweński Koper z urokliwą starówką, podczas fantastycznego rejsu po Morzu Śródziemnym i Adriatyku.

Wyrusz w niezapomniany rejs z Aten do Rawenny na pokładzie komfortowego statku Norwegian Pearl, oferującego mnóstwo atrakcji, ale i czas na relaks. Odwiedzimy wiele wyjątkowych miejsc z listy UNESCO jak Akropol, antyczną Olimpię, średniowieczny Kotor, Starówkę Korfu, Split z pałacem Dioklecjana i mozaiki w Rawennie. Poznamy lokalną kulturę i historię odwiedzanych miejsc dzięki stałej obecności profesjonalnego pilota Albatros Travel.

NOWOŚĆ

9 dni
Wylot z Warszawy
09/05 2026
11.498,-

2 posiłki dziennie

Niezwykła podróż po Bułgarii i Rumunii

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Sofia. Zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Sofia – Klasztor Rila – Sofia. Wycieczka do klasztoru Rila, obiad i Muzeum Historyczne. **Dz. 3** Sofia – Koprivsztica – Płowdiw. Domy kupieckie w Koprivszticy i zwiedzanie Płowdiw – Europejskiej Stolicy Kultury 2019. **Dz. 4** Płowdiw – Kazanłyk – Wielkie Tyrnowo. Produkcja olejku różanego, grobowiec królewski w Kazanłyku, przełęcz Szypka i Muzeum-skansen w Etar. **Dz. 5** Wielkie Tyrnowo – Bukareszt.
Dz. 6 Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, klasztor Cozia, przejazd przez Karpaty i wycieczka po Sybinie. **Dz. 7** Sybin – Biertan – Sighişoara – Sybin. Wycieczka do średniowiecznych miasteczek Biertan i Sighişoara oraz kolacja u lokalnej rodziny. **Dz. 8** Sybin – Bran – Braszów. Wizyta w stadninie koni lipicańskich i „Zamek Drakuli" w Bran. **Dz. 9** Braszów. Czarna Bazylika w Braszowie i czas wolny. **Dz. 10** Braszów – Sinaia – Bukareszt – Warszawa. Zamek Peleş w Sinaia i powrót do domu.

10 dni | Wylot z Warszawy 02/10 2025 | 7.998,-

4,6 / 5

Dookoła Islandii – wulkany, gejzery i lodowce

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Keflavík. Przylot na Islandię i przejazd do Reykjavíku. **Dz. 2** Reykjavík – Zachodnia część wyspy. Zwiedzanie Reykjavíku i Parku Narodowego Þingvellir. **Dz. 3** Islandia Zachodnia – Akureyri. Wodospady, gorące źródła, fiordy w rejonie Nordland, konie w Skagafjördur, historia islandzkich sag oraz Reykholt. **Dz. 4** Akureyri – Wycieczka do wodospadu Godafoss (wodospad Bogów) i Rezerwatu Przyrody Mývatn. Fakultatywnie poranne safari morskie z obserwacją wielorybów. **Dz. 5** Akureyri – Fiordy Wschodnie. Husavik, wąwóz Asbyrgi, wodospad Dettifoss i Egilsstadir.
Dz. 6 Fiordy Wschodnie i Wybrzeże Południowe. Laguna Jökulssárlón, lodowiec Vatnajökull i Park Narodowy Skaftafell. **Dz. 7** Południowe wybrzeże – Reykjavik. Okolice Vik, czarne plaże, wodospady Seljalandsfoss i Skógafoss, gejzery i „ złoty" wodospad Gullfoss. **Dz. 8** Reykjavík. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 9** Przylot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy
29/07, 24/08 2025, 26/05, 16/06, 28/07 2026 | od 10.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL26**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 1a5536f9e2

Jak Hołownia z Kaczyńskim

Po raz kolejny widać, ile w polityce znaczy doświadczenie i umiejętność przewidywania konsekwencji. Obu tym razem zabrakło Szymonowi Hołowni. Ubiegłotygodniowe spotkanie, pod osłoną nocy, w warszawskim mieszkaniu Adama Bielana – z prezesem Kaczyńskim i Michałem Kamińskim – dla wielu wyborców koalicji 15 października było szokiem. W mediach społecznościowych na marszałku Sejmu nie zostawiono suchej nitki – co zresztą dobitnie wyłapali analitycy Polityki w sieci. „Stan emocjonalny użytkowników reagujących na tłumaczenia Szymona Hołowni można określić jako jednoznacznie negatywny, pogłębiony i przepełniony nieufnością. (…) Lider, zamiast stłumić kryzys, nadał mu tempo i skalę" – podkreślają autorzy analizy, dodając, że od ponad 10 lat żadna partia nie osiągnęła w social mediach „0 proc. pozytywnego sentymentu". PL2050 to się udało.

Także komentarze koalicjantów z KO w większości nie nadają się do zacytowania – przeważa opinia, oględnie mówiąc, o politycznej ignorancji i przerośniętych ambicjach, które mogą zaszkodzić całej koalicji i jej notowaniom. – *Chciał pokazać, że może rozgrywać politykę, ale nie ma dobrych kart. Przypieczętował los PL2050* – mówi jeden z polityków PO. – *Misiek zaś knucie i zdradę ma w DNA* – dodaje nasz rozmówca. Nie tylko zresztą on jest przekonany, że to sam Bielan „wypuścił do mediów" informację o spotkaniu – jak słyszymy, celowo wybrano media liberalne (Radio Zet, „Newsweek"),

bo w przypadku telewizji Sakiewicza czy Karnowskich sytuacja byłaby zbyt oczywista. Sam gospodarz spotkania próbuje zrzucać winę na SOP, ale to raczej wymówka dla mało zorientowanych. Bo nawet jeśli Kaczyński i spółka nie doprowadzą do przewrotu – i ustanowienia premiera technicznego, np. w osobie Władysława Kosiniaka-Kamysza – to jeszcze mocniej podzielą koalicjantów, a wśród ich wyborców pogłębią rozczarowanie i przekonanie o kryzysie. W dodatku tuż przed rekonstrukcją rządu.

– *Oczywiście, naszej sytuacji to nie ułatwia, ale najwięcej straci sam Hołownia. Ma wewnętrzną opozycję, która krytycznie patrzy na to, co robi on czy Pełczyńska, więc to tylko może przyspieszyć pewne ruchy odśrodkowe, w tym, jak słyszałem, powołanie własnego koła lub nawet klubu przez te osoby* – mówi inny z naszych rozmówców.

Hołownia tłumaczy się mętnie, podkreślając, że rozmawia ze wszystkimi, że ma dość polaryzacji, a także że zależy mu na „zdynamizowaniu" koalicji i „restarcie nadziei". Z kolei prezes PiS o spotkaniu mówi w swoim stylu: „Trzeba Polskę – to słowo jest całkowicie uzasadnione – ratować. No to o tym żeśmy rozmawiali". Dopytywany zaś, czy osiągnął swój cel, zaznacza: „Krok po kroku, jak przejdziemy drogę, będę zadowolony".

Marszałkowi warto zatem przypomnieć jedno z ulubionych powiedzonek prezesa: „Cnotę stracił, a rubelka nie zarobił". Bo tym z reguły kończy się konszachtowanie z PiS.

MALWINA DZIEDZIC

Cenckiewicz u Nawrockiego

Ta nominacja była więcej niż pewna. Historyk, były członek Kolegium IPN i były dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, autor biografii Anny Walentynowicz i współautor książki „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii", został powołany przez prezydenta elekta Karola Nawrockiego na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. To czytelny sygnał, że nie tylko obecny rząd, ale przede wszystkim osobiście premier Donald Tusk będzie na celowniku nowego prezydenta Polski.

Przypomnijmy: Cenckiewicz w 2023 r. stanął na czele komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne RP w latach 2007–22 – po opozycyjnej wówczas stronie nazwanej lex Tusk. Uznano bowiem, że zapis pozwalający komisji na wydanie decyzji o zakazie pełnienia funkcji publicznych ma wyeliminować Tuska z polityki. Pośrednim efektem pracy tej komisji był serial „Reset" zrealizowany przez Cenckiewicza i Michała Rachonia, wyemitowany przez dawną TVP w szczycie kampanii parlamentarnej.

W lipcu 2024 r. Sławomir Cenckiewicz stracił dostęp do informacji niejawnych. Odzyskał go wyrokiem WSA – ten jednak jest nieprawomocny. Przeciwko historykowi toczy się w prokuraturze wojskowej śledztwo o udział w ujawnieniu tajemnicy państwowej. W maju przedstawiono mu zarzuty – prokuratura oskarża go, że w lipcu 2023 r. jako dyrektor Wojskowego Biura Historycznego udostępnił PiS tajne dokumenty polskiej armii, które wykorzystano do ataku na ówczesną opozycję. Chodzi o obronę na linii Wisły i oskarżenia wobec poprzedniego rządu PO, że w razie potencjalnego ataku Rosji tereny do linii Wisły nie byłyby bronione.

We wpisie na X nowy szef BBN zapowiedział zawieszenie swojej aktywności publicystycznej i w mediach społecznościowych. Jak przekonuje: „BBN w koncepcji prezydenta Karola Nawrockiego nie będzie z definicji ani znakiem sprzeciwu, ani redutą apriorycznej kontestacji, ale kreatywnym wsparciem (także za sprawą własnych projektów) dla wszystkich inicjatyw i instytucji (także rządowych), które służą bezpieczeństwu państwa, modernizacji i profesjonalizacji całego segmentu bezpieczeństwa". W obozie rządzącym nie mają jednak złudzeń, co oznacza ta nominacja i jaki kurs obrał Nawrocki. (KK)

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a5536f9e2

Epitafium dla Trzeciej Drogi

Antoni Dudek
Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Zdecydowanie najbardziej udana w projekcie Trzeciej Drogi okazała się jego nazwa. Budziła nadzieję, że na zdominowanej od 20 lat przez PiS i PO polskiej scenie politycznej możliwa jest jakaś alternatywa. W dodatku umiarkowana, bo nie nafaszerowana ultrakonserwatywnym nacjonalizmem ani też radykalnym progresywizmem. Jednak już na starcie, którym były wybory parlamentarne w 2023 r., niektórzy powątpiewali, czy uzyskane wówczas 14,4 proc. głosów były przejawem autentycznego poparcia dla połączonych sił PSL i PL2050. Źródeł tego sukcesu dopatrywano się w tzw. głosowaniu taktycznym części wyborców KO, obawiających się, że TD spadnie poniżej progu 8 proc. przewidzianego dla koalicji i w rezultacie PiS uzyska dodatkową liczbę mandatów jak w 2015.

W wyborach samorządowych z kwietnia 2024 r. kandydaci TD do sejmików znów uzyskali podobny rezultat, ale już w czerwcu w wyborach do PE było dużo gorzej, bo poparcie spadło do niespełna 7 proc. To była żółta kartka, którą zlekceważono. Upokarzające 4,99 proc. dla Szymona Hołowni w I turze tegorocznych wyborów prezydenckich okazało się czerwoną kartką i gracz zszedł z boiska.

Czy tak się musiało stać? Czy w centrum polskiej sceny politycznej nie ma już (jeszcze?) miejsca dla centrowego ugrupowania mogącego liczyć na stabilne kilkunastoprocentowe poparcie? W moim przekonaniu tak właśnie niestety jest. Można oczywiście wskazywać na błędy liderów TD, w rodzaju niewystawienia własnego kandydata na prezydenta Warszawy w 2024 r. czy generalnie nadmiernej ustępliwości wobec Donalda Tuska, ale trudno nie zauważyć, że postępująca polaryzacja powoduje, iż nieubłaganie kurczy się liczba tzw. symetrystów o umiarkowanych centrowych poglądach. Liczni, zwłaszcza wśród najmłodszych Polaków, przeciwnicy popisowego duopolu zwracają się bowiem albo na prawo, czyli w stronę Konfederacji (większość), albo w stronę Razem (mniejszość). Warto przypomnieć, że w świetle badań exit poll z I tury, gdyby prezydenta wybierali nam wyłącznie Polacy przed trzydziestką, to w II turze Sławomir Mentezen walczyłby o zwycięstwo z Adrianem Zandbergiem. W tej grupie wyborców Hołownia wypadł jeszcze gorzej niż wśród starszych Polaków.

Pierwsze sondaże po aksamitnym rozwodzie wskazują, że obie części składowe TD będą teraz musiały mocno się starać, aby przekroczyć w kolejnych wyborach próg 5 proc. Ludowcom, wprawdzie z dopalaczem w postaci kolejnych sezonowych partnerów, ta sztuka się dotąd udawała. W znacznie gorszym położeniu wydaje się PL2050. Znajdzie się teraz całkowicie w polu grawitacyjnym PO, która poprzednio skutecznie wchłonęła, istniejącą wciąż na papierze, Nowoczesną. Kto wie, czy optymalnym rozwiązaniem dla resztek ruchu Hołowni nie będzie włączenie się w nowy projekt polityczny, o którego powołaniu spekulują media.

Jakkolwiek dalej potoczą się losy PL2050, to jest faktem, że wraz ze zgonem TD porażką zakończyła się kolejna próba zbudowania centrowej formacji politycznej mogącej stabilizować naszą coraz bardziej rozchwianą scenę polityczną. I wydaje się, że bez głębokiego kryzysu PO, do jakiego może dojść w tej partii po nadciągającej utracie władzy, oraz bez podobnego wstrząsu, jaki w PSL mogłaby wywołać nieobecność w kolejnym Sejmie, stan taki pozostanie z nami na dłużej.

Kominy w szpitalach

Związek Powiatów Polskich proponuje nałożenie ustawowych limitów na zarobki lekarzy, obecnie wynoszące nierzadko nawet 70–80 tys. zł miesięcznie – co rujnuje finanse szpitali powiatowych, które płacą najhojniej. Ograniczenia zarobków „kominiarzy" domagają się też pielęgniarki. Według danych Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji grupa ok. 430 specjalistów na kontraktach wystawia miesięczne faktury nawet na kwoty od 100 tys. do 300 tys. zł. Jednocześnie szpitale powiatowe, które są w najgorszej sytuacji, toną w długach, a kolejki do leczenia są coraz dłuższe. Po co więc szpitale aż tyle płacą „kominiarzom"? Bo same też na tym zarabiają.

Szpital może liczyć na dobry kontrakt z NFZ, jeśli ma do dyspozycji kardiologów, chirurgów, neurologów czy okulistów, a więc specjalistów, których brakuje najbardziej, a świadczenia, które wykonują, są dobrze wycenione. Lekarze wiedzą, że wypisując fakturę na 100 tys. zł, gwarantują szpitalowi przychód dziesięciokrotnie wyższy. Więc im bardziej specjalistów brak, tym śmielsze są żądania „kominiarzy". O wyższe kontrakty nie walczą indywidualnie, ale całymi zespołami. Jeśli dyrektor szpitala ich apetytów nie zaspokoi, udadzą się do konkurencji, a „skąpy" straci kontrakt z NFZ, bo cały oddział trzeba będzie zamknąć.

Gdyby jednak ustawowo wprowadzono limity zarobków w publicznych placówkach, mielibyśmy jeszcze większy problem. Specjaliści mogliby nie chcieć wykonywać podobnej liczby zabiegów, ale za mniejsze pieniądze, kolejki byłyby więc dłuższe.
Pulę intratnych procedur mogłyby zwiększyć placówki prywatne, co faktycznie oznaczałoby prywatyzację części publicznego lecznictwa. Specjalistów od tego by jednak nie przybyło.

Ostatnie lata sprowadzały się do dosypywania pieniędzy do publicznej opieki, a i tak przecież brakuje ich coraz bardziej. Jedyny problem, który rozwiązano, to ten, że o głodowych zarobkach medyków mówić już nie można. Tylko od 2022 r. minimalne płace lekarzy, ratowników i pielęgniarek zatrudnionych na etatach wzrosły aż o 44 proc., chociaż dalekie są od zarobków „kominiarzy". Medycy na etatach mają zagwarantowane coroczne podwyżki płacy minimalnej – ta od 1 lipca wyniosła 14 proc., tylko do końca roku kosztować będzie ok. 9 mld zł. To, czego w publicznym lecznictwie brakuje jednak najbardziej, to związku wzrostu zarobków medyków z poprawą sytuacji pacjentów. Bo o głodowych zarobkach medyków od dobrych kilku lat już mówić nie można. (SOL)

eprasa.pl 1a5536f9e2

Wielka, Piękna, Obrzydliwa

Wymarzony prezent na Dzień Niepodległości 4 lipca podarowali Donaldowi Trumpowi Republikanie – Kongres uchwalił wyłącznie ich głosami Wielką Piękną Ustawę, sztandarowy punkt programu prezydenta. Przedłuża ona ważność obniżonych w 2017 r. podatków, korzystnych najbardziej dla korporacji i najzamożniejszych Amerykanów. Miała ona w tym roku wygasnąć, co zapobiegłoby nadmiernemu wzrostowi deficytu budżetowego i długu Stanów Zjednoczonych. Aby złagodzić efekty zmniejszenia dochodów podatkowych, Kongres obciął wydatki socjalne, głównie na Medicaid, program państwowych ubezpieczeń zdrowotnych dla osób biedniejszych i niepełnosprawnych, oraz zlikwidował wprowadzone przez Joe Bidena kredyty podatkowe na rozwój czystych źródeł energii.

Trump podpisał ustawę w atmosferze patriotycznego uniesienia i przy akompaniamencie chórów na jego cześć wyśpiewywanych przez wierną mu Partię Republikańską. Miny jej polityków rzedną jednak po zapoznaniu się z sondażami, w których większość Amerykanów ocenia sztandarową ustawę źle, co grozi przegraną w wyborach do Kongresu w 2026 r. Oblicza się, że w rezultacie cięć w Medicaid 17 mln ludzi straci ubezpieczenia zdrowotne, a wskutek przewidywanego zamknięcia setek szpitali żyjących z refundacji kosztów leczenia z tego programu tysiące ludzi straci pracę.

Konserwatyści fiskalni ostrzegają, że niskie podatki, w połączeniu z zawartymi w ustawie ogromnymi wydatkami na walkę z nielegalną imigracją, powiększą deficyt ponad obecne 6,7 proc. PKB i dług publiczny powyżej rekordowych wysokości z czasów drugiej wojny światowej. Elon Musk nazwał ustawę Trumpa „obrzydliwą potwornością", która doprowadzi kraj do bankructwa, i ogłosił, że założy nowe stronnictwo – America Party. Jej sukces jest raczej mało prawdopodobny, ale najbogatszy człowiek świata może Republikanom zaszkodzić, cofając jej kandydatom donacje na ich kampanie.

Trumpiści udają, że niczym się nie przejmują, bo ustawa budżetowa doda szwungu gospodarce, co rozwiąże wszystkie problemy. To typowe myślenie amerykańskiej prawicy, oparte na wierze w dogmaty neoliberalnej ekonomii ze szkoły Miltona Friedmana: niskie podatki i deregulacja biznesu przyspieszą wzrost, przyniosą nowe miejsca pracy i wyższe płace, co pracownikom pozwoli na zakup prywatnych ubezpieczeń.

Wśród ekonomistów nie przeważa jednak optymizm. Uważają, że skutki mogą być pozytywne, ale na krótko. W dalszej perspektywie rosnący deficyt i dług grożą poważnym kryzysem, do którego przyczynią się dodatkowo skutki wojen taryfowych Trumpa. Powiększą się nierówności społeczne, wskutek cięć ochrony zdrowia pogorszy się stan zdrowia Amerykanów i wyhamuje rozwój zielonej gospodarki. Trumpowi udają się dwie rzeczy – zaostrzanie podziałów i cofanie zegara postępu.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

W Anglii bliżej do eutanazji

Bliżej, ale droga wciąż długa i kręta. Pod koniec czerwca brytyjska Izba Gmin zaakceptowała w trzecim czytaniu projekt ustawy o wspomaganym zakończeniu życia (*assisted dying*) stosunkiem głosów 314:291. W drugim czytaniu, jesienią 2024 r., przewaga głosów „za" była dwukrotnie wyższa. Temat rozpalił debatę publiczną, podzielił społeczeństwo i środowiska zawodowe, w tym medyczne.

Teraz nad projektem będzie dyskutować Izba Lordów. Z pewnością wniesie poprawki. Lord David Alton, katolik, działacz *pro life*, chce zbudować „koalicję sumienia" za odrzuceniem projektu, ale poprawki może odrzucić większość w Izbie Gmin. I tak zacznie się ping-pong, który może trwać lata. W zasadzie Izba Lordów nie blokuje projektów zgłoszonych przez rząd, ale ten projekt jest poselski. Zgłosiła go Kim Leadbeater z Partii Pracy, laburzystowski gabinet Keira Starmera oficjalnie jest neutralny. Projekt dotyczy jedynie Anglii i Walii. Jeśli stanie się prawem, to skorzystać z niego – po konsultacji z lekarzami – mogłyby osoby nieuleczalnie chore, którym pozostało najwyżej pół roku życia.

Kościół rzymskokatolicki w Wielkiej Brytanii jest zdecydowanie przeciw. Państwowy Kościół Anglii również, brytyjska Rada Muzułmańska wezwała lordów do „poważnej refleksji". Krytycy się niepokoją, że zmiana przepisów może wytworzyć klimat presji na osoby nieuleczalnie lub ciężko chore, w podeszłym wieku, samotne, z poważnymi niepełnosprawnościami. A jednocześnie zassać środki państwowej ochrony zdrowia (NHS) przeznaczone na opiekę paliatywną. Kardynał Vincent Nichols, przewodniczący brytyjskiego episkopatu, przestrzegł, że może na tym tle zajść konieczność zamknięcia katolickich hospicjów i domów opieki, chyba że mogłyby nie świadczyć eutanazyjnych usług. Zwolennicy legislacji podkreślają, że zabezpiecza ona przed nadużyciami i ma wielkie poparcie w kręgach społecznych reformatorów. Liczą, że wejdzie w życie najpóźniej za cztery, a może nawet dwa lata.

© TOM BRENNER FOR THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES, JAKUB PORZYCKI/NURPHOTO/GETTY IMAGES, UMSN/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a5536f9e2

Rosjanie bez głosu

Od 2022 r. rząd Estonii systematycznie odcina kraj od Rosji. Nie wystawia Rosjanom wiz, ograniczył działalność rosyjskich biznesów i dostępność rosyjskojęzycznych mediów. Estończycy, w sumie 1,3 mln ludzi, zbroją się też na potęgę. Od czasu pełnoskalowego ataku Rosji na Ukrainę do wojska zgłosiło się już ponad 4 tys. obywateli, rząd planuje podwyższenie wydatków na zbrojenia do rekordowych 5,4 proc. PKB i buduje zaporę na całej długości granicy z Rosją.

Teraz Estończycy poszli jeszcze krok dalej i odebrali prawo do głosowania miejscowym Rosjanom i Białorusinom w wyborach lokalnych (w ogólnokrajowych nigdy ich nie mieli). W marcu zdecydował o tym estoński parlament (Riigikogu) większością 93 do 7. Niedawno nowe prawo podpisał prezydent **Alar Karis**. I tym samym pierwszy raz w historii Estończycy zmienili swoją konstytucję z 1992 r. Dotychczas osoby nieposiadające estońskiego obywatelstwa, ale z prawem rezydencji w kraju, mogły głosować w lokalnych wyborach. Chodzi o 150 tys. ludzi, w tym ok. 80 tys. głównie z rosyjskimi paszportami. Pozostali albo są bezpaństwowcami, albo posiadają tzw. szare paszporty (rodzaj dokumentu podróżnego).

Parlamentarna większość przekonuje, że to długo odkładany akt sprawiedliwości dziejowej oraz zabezpieczenie przed wpływami coraz bardziej agresywnej Rosji. Przeważył m.in. argument, że etniczni Rosjanie mieli 34 lata estońskiej niepodległości, żeby się zintegrować, nauczyć języka. Jeśli nie uczynili tego w tym czasie, to już nie zrobią. Tym bardziej że – jak wskazuje miejscowa prasa – nigdy nie potępili zbiorowo rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Według nowego prawa tylko obywatele państw członkowskich Unii Europejskiej i strefy Schengen zachowują prawo do głosowania w wyborach lokalnych. Bezpaństwowcy i szaropaszportowcy – w odróżnieniu od obywateli obcych państw – będą mogli zagłosować po raz ostatni w październikowych wyborach. Otrzymali

czteroletni okres karencji na złożenie wniosku o obywatelstwo estońskie, ale eksperci nie spodziewają się nagłego wzrostu zainteresowania tym dokumentem. Od czasu rosyjskiej agresji na Ukrainę tylko ok. 1 tys. byłych obywateli Rosji i 50 eks-Białorusinów zostało obywatelami Estonii.

Gdy w 1991 r. Estonia odzyskała niepodległość i rozpadł się Związek Radziecki, co trzeci mieszkaniec tego bałtyckiego kraju miał rosyjskie korzenie, co było skutkiem wielu dekad forsowanego osadnictwa. W odpowiedzi młoda Estonia zaczęła przyznawać obywatelstwo osobom z całego świata, które mogły udowodnić związki z krajem przed 1940 r. Etnicznym Rosjanom, którzy chcieli zostać, zaproponowano drogę do obywatelstwa poprzez egzamin z języka estońskiego i lokalnej historii. Niewielu do niego przystąpiło, jeszcze mniej zdało.

Ukraina się cofa

Donald Trump rzadko przyznaje, że coś mu nie wyszło. Ostatnie tygodnie widzi jako pasmo sukcesów. Zmusił NATO do większych wydatków, pokonał Iran, pogodził Kongo z Rwandą i poszerzył władzę dzięki Sądowi Najwyższemu. Nie idzie mu tylko w staraniach o rozejm między Rosją a Ukrainą, który miał mu dać pokojowego Nobla. Po ostatnim, szóstym od początku drugiej kadencji telefonie do Putina Trump przyznał, że nic nie wskórał, ale miał wspomnieć o sankcjach. Na to Kreml, jakby w geście środkowego palca, powtórzył, że nie zrezygnuje z pokonania i podporządkowania Ukrainy, a także zlikwidowania „korzeni konfliktu", czyli wyrugowania obecności NATO u swoich granic. Wizerunkową porażkę Trump próbował jeszcze ratować telefonem do Wołodymyra Zełenskiego, który sam ocenił tę rozmowę jako „najlepszą", ale na niewiele to się zdało.

Kilka dni wcześniej Waszyngton uderzył przecież Ukrainę tam, gdzie boli najbardziej. Wstrzymanie dostaw kluczowych pocisków do obrony powietrznej Pentagon uzasadnił kurczącymi się zapasami, a Biały Dom skwitował, że to „Ameryka musi być na pierwszym miejscu". Jak donoszą media, chodzi o zaledwie 30 najcenniejszych pocisków do Patriota, czyli mniej niż ich miesięczną produkcję. Ukraina używa ich oszczędnie, głównie do obrony Kijowa i kluczowych zgrupowań wojsk. Jednak bez nich nie da sobie rady, gdy Rosja w kolejnych rekordowych nalotach wysyła po ponad 500 rakiet, pocisków i dronów.

Taktyka to nie całkiem nowa, ale realizowana w przytłaczającej skali. Rosja o status potęgi dronowej rywalizuje wyłącznie z Ukrainą, ale w zakresie bezzałogowców uderzeniowych dużego zasięgu ma przewagę. Produkuje większe, szybsze i groźniejsze odpowiedniki irańskich Szahidów na masową skalę, ulepszając je z użyciem sztucznej inteligencji. Ukraina wciąż może być lepsza w konkurencji małych dronów frontowych, tzw. efpiwiszek, bezlitosnych dla rosyjskich żołnierzy, ich pojazdów, a ostatnio nawet śmigłowców (i innych dronów). Jednak stawiając na obronę i atakując wyłącznie wybrane cele wojskowe, nie jest w stanie i nie chce zasypywać rosyjskich miast gradem skrzydlatych pocisków. Umiejscowienie produkcji zbrojeniowej tysiące kilometrów od teatru wojny sprawia, że choć ukraińskie uderzenia bywają spektakularne, to nie mogą być częste.

Z drugiej strony Ukraina jest w połowie otoczona przez rosyjskie terytorium, z którego startować mogą samoloty i drony. Na lądzie trwa pełzająca ofensywa, o której dużo się mówiło, ale długo nie było jej widać. Rosyjskie wojska zajęły cały obwód ługański przy milczeniu Kijowa. Po raz pierwszy w całej wojnie Rosjanie weszli też od południa do **obwodu dniepropietrowskiego**, czyli do serca Ukrainy. Dynamiczne postępy wroga ukraińska armia już wiele razy zatrzymywała po dwóch, trzech tygodniach ciężkich walk, kosztem wielu ofiar i heroicznego wysiłku tysięcy wyczerpanych ludzi. Moment takiej próby znów nadchodzi.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Dygnitarze bez kar?

Do wyborów zostało nieco ponad dwa lata. Ilu funkcjonariuszy rządów PiS zostanie rozliczonych z łamania prawa? Na pewno żadnego nie da się do wyborów osądzić. Czy uda się przynajmniej skierować do sądu akty oskarżenia?

EWA SIEDLECKA

Po wyborach PiS może wrócić do władzy i nie pozwoli już rozliczyć swoich ludzi. Więc trzeba by się spieszyć. Jednak akty oskarżenia muszą być porządnie przygotowane, bo inaczej skompromitują się w sądzie. Toczących się śledztw są dziesiątki. Powstały dla nich w Prokuraturze Krajowej specjalne zespoły.

Prokurator generalny Adam Bodnar co jakiś czas podsumowuje osiągnięcia w sprawach rozliczeniowych. Ostatnie: „Fundusz Sprawiedliwości – pierwszy akt oskarżenia wobec 6 osób. W sumie 25 osób ma zarzuty; granatnik w Komendzie Głównej Policji – akt oskarżenia wobec byłego Komendanta Głównego Policji; kilometrówki Czarneckiego – akt oskarżenia dotyczący wyrządzenia szkody na sumę ponad 850 tys. zł; afera Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych – 13 osób, 36 zarzutów, 3 osoby aresztowane; oświadczenia majątkowe Mejzy – akt oskarżenia, 11 zarzutów; niegospodarność w Lasach Państwowych – zarzuty dla 3 byłych dyrektorów Lasów Państwowych".

Ale wymienione akty oskarżenia nie dotyczą członków rządu czy wiceministrów – na co czeka opinia publiczna – lecz funkcjonariuszy niższych rangą. A i zarzuty postawione ma niewielu. Stąd niedosyt. W dodatku są sprawy – np. afera hejterska

eprasa.pl 1a5536f9e2

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, EAST NEWS

z udziałem sędziów, w tym wiceministra Łukasza Piebiaka – nierozliczalne, bo podejrzanych chronią immunitety sędziowskie, których uchylenia odmawia Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN.

Trzeba też pamiętać, że część prokuratorów poważnie liczy się z powrotem do władzy tych, przeciw którym prowadzą śledztwa. Po ogłoszeniu wyników wyborów prezydenckich przypomniał im to na konferencji prasowej były prokurator generalny Zbigniew Ziobro: „Chodzi nam o to, żeby każdy sędzia, każdy prokurator, każdy funkcjonariusz tej lub innej służby zastanowił się, czy warto dać się wykorzystywać? Czy warto dać się zaprzęgnąć do tych niesprawiedliwości i do tego bezprawia? Jeśli tak się stanie, jeśli to zaangażowanie będzie miało miejsce, to będzie miała miejsce nieuchronna odpowiedzialność".

Na jakim etapie jest rozliczanie najważniejszych ludzi władzy PiS, w tym samego Zbigniewa Ziobry i szefa wszystkich szefów Jarosława Kaczyńskiego? Przyjrzeliśmy się temu na podstawie odpowiedzi otrzymanych z prokuratur. Oto „Top 10" z długiej listy.

Jarosław Kaczyński

Jego pozycja w śledztwach jest o tyle szczególna, że nie występuje w nich jako funkcjonariusz publiczny, który mógł nadużyć władzy lub nie dopełnić obowiązków. Był wprawdzie przez 20 miesięcy (2020–22) wicepremierem bezpieczeństwa narodowego, więc można by ewentualnie rozważać jego współodpowiedzialność za przepisy antycovidowe, ale takiego śledztwa nie ma. Są natomiast trzy inne.

Sprawa dwóch wież (Prowadziła ją do czerwca prokurator Ewa Wrzosek, ale skończyła się jej delegacja do Prokuratury Okręgowej w Warszawie). Dotychczas przesłuchano m.in. Rafała Sawicza, Barbarę Skrzypek, Jacka Cieślikowskiego, Geralda Birgfellnera, Krzysztofa Czabańskiego, Piotra Kąkolewskiego, Grzegorza Tomaszewskiego, Małgorzatę Kujdę, Janinę Goss i byłego prezesa PKO SA Michała Krupińskiego. Część z tych osób była przesłuchiwana z pouczeniem o treści art. 183 kpk, czyli o możliwości odmowy odpowiedzi, by nie naraziła świadka na odpowiedzialność karną. Prokuratura informuje, że nie został zaplanowany jeszcze termin i charakter przesłuchania posła Jarosława Kaczyńskiego.

Śledztwo prowadzone jest w sprawie doprowadzenia Geralda Birgfellnera „w wykonaniu z góry powziętego zamiaru, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej do niekorzystnego rozporządzenia mieniem wielkiej wartości w postaci pieniędzy w kwocie nie mniejszej niż 1 300 000 euro przez osobę działającą w imieniu Srebrna sp. z o.o.". Czyli generalnie o oszustwo.

Jednak taki zarzut byłby kontrowersyjny, bo z przebiegu całego zdarzenia nie wynika, by Jarosław Kaczyński planował oszustwo, żeby nie chciał budować „dwóch wież" ani płacić Birgfellnerowi. Wygląda na to, że cały pomysł upadł, bo inwestycja nie dostała zezwolenia od władz Warszawy. Sprawa jest raczej o zapłatę i powinna trafić do sądu cywilnego. Potencjał karny ma natomiast wątek 50 tys. zł dla członka zarządu spółki Srebrna Rafała Sawicza za wyrażenie zgody na wydanie pieniędzy na inwestycję. Pieniądze dla Sawicza wziął od Birgfellnera Kaczyński.

Druga sprawa to wybory korespondencyjne. O włączenie Jarosława Kaczyńskiego jako inspiratora takich wyborów zawnioskowała do prokuratury w swoim sprawozdaniu sejmowa komisja śledcza. Argument: przekroczył uprawnienia, wykorzystując pozycję prezesa partii PiS, działając na szkodę interesu publicznego. Tylko że prezesi partii – w myśl Kodeksu karnego (art. 115 § 13) nie są funkcjonariuszami publicznymi. Można co najwyżej rozważać podżeganie do przestępstwa polegającego na działaniu bez podstawy prawnej (rozpoczęcie przygotowań do wyborów korespondencyjnych, mimo że uchwalona o nich ustawa jeszcze nie weszła w życie).

Jest też śledztwo w sprawie listu do ministra Ziobry autorstwa Jarosława Kaczyńskiego znalezionego w domu Marcina Romanowskiego. We wrześniu 2024 r. wszczęte zostało śledztwo w sprawie „niedopełnienia (...) obowiązków przez Posła na Sejm RP, w zakresie dbałości o interes finansowy budżetu państwa, w ten sposób, że (...) zaniechał formalnego zawiadomienia organów ścigania o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ przestępstwa polegającego na wykorzystywaniu środków publicznych z Funduszu Sprawiedliwości na cele kampanii wyborczej (...)".

Rozumowanie ma tę słabość, że w liście do Ziobry Kaczyński nie wspomina, że podejrzewa przestępstwo, a jedynie, że PKW może te wydatki zakwestionować. Jeśli nie miał świadomości przestępstwa, to nie miał obowiązku o nim zawiadomić.

„W ramach tego śledztwa przesłuchani zostali z pouczeniem o treści art. 183 kpk posłowie Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro. Trwają przesłuchania innych świadków, planowane jest podjęcie działań zmierzających do przesłuchania ukrywającego się poza granicami RP posła Marcina Romanowskiego" – pisze prokuratura. Tyle że prawdopodobieństwo przesłuchania Romanowskiego jest minimalne, więc śledztwo może zostać zablokowane.

Mateusz Morawiecki

Premier w rządzie PiS. Dotyczą go dwa śledztwa. Pierwsze w sprawie wyborów korespondencyjnych, bo wziął na siebie wydanie zarządzenia o przygotowaniach do tych wyborów, co dało podstawę m.in. do drukowania pakietów wyborczych. Normalnie powinien to zrobić minister aktywów państwowych, wicepremier Jacek Sasin, ale wiedząc, że zarządzenie takie nie ma podstawy prawnej, nie chciał tego zrobić. Drugie śledztwo prowadzone jest w sprawie Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS), gdzie skupiła się większość kuriozalnych zakupów w czasie pandemii, m.in. nietrzymających standardów maseczek, nieużytecznych respiratorów czy agregatów prądotwórczych (kupione za 69 mln zł, a odsprzedane Agencji za 350 mln). Zakupy były wielokrotnie przepłacone i zwolnione z obowiązku ogłaszania przetargów.

W sprawie wyborów korespondencyjnych Mateusz Morawiecki dostał zarzuty przekroczenia uprawnień. Będąc funkcjonariuszem publicznym zobowiązanym do działania na podstawie i w granicach prawa oraz odpowiedzialnym za działalność podległych mu ministrów, osobiście oraz za pośrednictwem podległych mu ministrów i urzędników Kancelarii Premiera, przekroczył swoje uprawnienia i, choć nie mając podstawy prawnej, wydał dwie decyzje, wiedział, z uprzednio zamówionych ekspertyz, że jest to bezprawne. Pierwsza, polecająca Poczcie Polskiej SA przygotowania do przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych, w wyniku której Skarb Państwa poniósł stratę w wysokości 53 205 344,65 zł, które oddał Poczcie Polskiej. I druga decyzja, polecająca Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych SA wydrukowanie pakietów wyborczych, co kosztowało Skarb Państwa 3 245 061,51 zł.

W sądzie rozstrzygnie się spór, czy podstawą do wydania poleceń w sprawie wyborów kopertowych mógł być przepis ustawy antycovidowej mówiący, że „premier (...) może, w związku z przeciwdziałaniem Covid-19, wydawać polecenia obowiązujące inne (...) osoby prawne i jednostki organizacyjne (...) oraz przedsiębiorców". Ekspertyzy, które Kancelaria Premiera zamówiła przed podpisaniem przez premiera Morawieckiego zarządzenia o przygotowaniach do wyborów korespondencyjnych, mówiły, że ten przepis podstawą być nie może. Oprócz jednej ekspertyzy, którą premier dostał już po wydaniu zarządzenia.

Wydaje się, że to śledztwo powinno być zamknięte szybko, bo nie jest skomplikowane dowodowo.

Śledztwo w sprawie RARS zostało wszczęte 1 grudnia 2023 r. na podstawie materiałów zgromadzonych przez CBA oraz zawiadomienia Generalnego Inspektora Informacji Finansowej. Dotychczas przeprowadzono liczne przeszukania w siedzibie RARS i siedzibach podmiotów oraz instytucji podejrzanych o czerpanie nieuzasadnionych korzyści z transakcji z RARS. Korzystając z przepisów ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy oraz finansowaniu terroryzmu, prokuratura dokonała blokady rachunków bankowych i zabezpieczeń środków finansowych na sumę ponad 117 mln zł. Zarzuty postawiono do tej pory 14 osobom z kierownictwa RARS – w tym Michałowi Kuczmierowskiemu, prezesowi Agencji i protegowanemu Morawieckiego; i spośród dostawców – Pawłowi Szopie, producentowi odzieży patriotycznej, który z RARS handlował m.in. maseczkami i agregatami. Są to zarzuty o przekroczenie uprawnień, działanie w grupie przestępczej i korupcję.

Śledztwo w sprawie wyborów korespondencyjnych obejmuje także Jacka Sasina, wicepremiera i ministra aktywów państwowych w rządzie Morawieckiego, a także m.in. Michała Dworczyka, szefa Kancelarii Premiera, szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, Jarosława Kaczyńskiego, marszałek Sejmu Elżbiety Witek.

Chodzi o przestępstwo nadużycia władzy lub niedopełnienia obowiązków. Wcześniej pokontrolne doniesienie do prokuratury złożyła NIK. W śledztwie przesłuchano jako świadków Jacka Sasina, Mariusza Kamińskiego i Michała Dworczyka. Zarzuty – przypominamy – postawiono Mateuszowi Morawieckiemu.

Zbigniew Ziobro

Tego polityka może dotyczyć **śledztwo w sprawie zakupu i użycia systemu Pegasus,** ale na razie nie występuje w nim w żadnym charakterze: ani świadka, ani podejrzanego. Sprawę prowadzi zespół nr 3 powołany w Prokuraturze Krajowej. Według naszych informacji w toku śledztwa postawiono zarzuty przekroczenia uprawnień dwóm byłym funkcjonariuszom Centralnego Biura Antykorupcyjnego, tj. Jarosławowi W. (byłemu dyrektorowi Delegatury CBA w Warszawie) oraz Katarzynie S. (byłej naczelnik I Wydziału Operacyjno-Śledczego Delegatury CBA w Warszawie). Chodzi o inwigilację „pomimo braku ku temu podstaw faktycznych i prawnych" Pegasusem Jacka Karnowskiego, byłego prezydenta Sopotu, obecnie posła PO. Zarzuty dotyczą także wyłudzenia poświadczenia nieprawdy poprzez „podstępne wprowadzenie sędziów w błąd co do istnienia przesłanek do zastosowania i przedłużenia kontroli operacyjnych". Jednak Zbigniew Ziobro jako prokurator generalny nie podpisywał wniosków o inwigilację – robił to jego zastępca Bogdan Święczkowski (obecnie prezes Trybunału Konstytucyjnego).

eprasa.pl 1a5536f9e2

Prokuratorzy uzyskali tajne dokumenty i informacje z CBA, ABW, Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Policji dotyczące nabycia i wykorzystywania oprogramowania Pegasus. ABW stwierdziła, że system Pegasus powinien mieć akredytację bezpieczeństwa teleinformatycznego, ale jej nie uzyskał.

W kolejnym śledztwie, w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, Ziobro również nie występuje w żadnym charakterze. Z wysokich funkcjonariuszy Ministerstwa Sprawiedliwości pojawiają się w nim jako podejrzani Marcin Romanowski i Michał Woś – obaj w Ministerstwie Sprawiedliwości Ziobry odpowiadali za Fundusz. Zarzuty postawiono 22 osobom. Dotyczą m.in. przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy publicznych, przywłaszczenia powierzonego mienia i prania brudnych pieniędzy (wystawianie faktur legalizujących).

Wydaje się, że w tym śledztwie Ziobro mógłby dostać zarzuty, i to nawet sprawstwa kierowniczego, bo – jak wiemy z zeznań „małego świadka koronnego" Tomasza Mraza – to w jego podwarszawskim domu odbywały się narady nad tym, jak umożliwić związanym z Solidarną Polską organizacjom i osobom dostęp do pieniędzy z Funduszu, „skręcając" konkursy na granty.

Ze śledztwa do odrębnego postępowania wyłączono sprawy ośmiu osób, w tym ks. Michała Olszewskiego i urzędniczki ministerstwa zajmujące się Funduszem. Ten wątek zmierza już do końca. Natomiast całe śledztwo, to w którym zarzuty dostali m.in. Michał Woś i Marcin Romanowski, i Dariusz Matecki, a mógłby dostać także Ziobro, może zablokować ucieczka na Węgry Romanowskiego. Chyba że prokuratura i jego sprawę wyłączy do odrębnego postępowania.

Kolejne śledztwo dotyczy przetrzymywania przez Zbigniewa Ziobrę akt dotyczących śledztwa w sprawie śmierci jego ojca. Akta były uprzednio zarchiwizowane w Prokuraturze Krajowej, a znalazły się w domu Ziobry. Były to akta nadzoru nad postępowaniem przygotowawczym. Ziobro nie ma jednak postawionego zarzutu. Być może problem tkwi w tym, jak udowodnić, że Ziobro zabrał je z prokuratury w celu „ukrycia", a nie żeby je przestudiować. To drugie bowiem byłoby co najwyżej deliktem służbowym.

Kolejne śledztwo, w którym Ziobro mógłby ewentualnie dostać zarzut, dotyczy znalezionego w domu Marcina Romanowskiego wysłanego oficjalnie do ministra Zbigniewa Ziobry pisma autorstwa Jarosława Kaczyńskiego z 26 sierpnia 2019 r. (o którym już pisaliśmy).

We wrześniu 2024 r. wszczęte zostało śledztwo m.in. w sprawie niepodjęcia przez Ministra Sprawiedliwości – Prokuratora Generalnego, w związku z otrzymaną od prezesa PiS pisemną informacją „uzasadniającą podejrzenie popełnienia przestępstwa polegającego na wykorzystywaniu środków publicznych z Funduszu Sprawiedliwości na cele kampanii wyborczej do Sejmu RP przez kandydatów Komitetu Wyborczego Prawo i Sprawiedliwość". Zarzut ten jest jednak o tyle wątpliwy, że polskie prawo nie zezwala przymuszać do samooskarżenia się, więc jeśli prokuratura zamierza postawić Ziobrze zarzut za wykorzystywanie Funduszu Sprawiedliwości do celów partyjnych, to nie może mu jednocześnie stawiać zarzutu, że na siebie nie doniósł.

W ramach tego śledztwa przesłuchani zostali m.in. Jarosław Kaczyński i Zbigniew Ziobro. Prokuratura informuje, że chce też przesłuchać ukrywającego się za granicą Marcina Romanowskiego. A to może zablokować śledztwo.

Marcin Romanowski

Były wiceminister sprawiedliwości jest podejrzanym w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. Ma uchylony immunitet poselski, a 15 października 2024 r. prokurator przedstawił mu 11 zarzutów. Dotyczą udziału w zorganizowanej grupie mającej na celu popełnianie przestępstw przeciwko mieniu oraz poświadczenie nieprawdy w dokumentach, wyrządzanie szkody w wielkich rozmiarach w mieniu Skarbu Państwa, w celu osiągnięcia korzyści osobistych i majątkowych. Straty Skarbu Państwa to 107 mln zł i usiłowanie przywłaszczenia kolejnych ponad 58 mln zł.

Dowody są mocne, obciążają go m.in. nagrania rozmów w ministerstwie i nie tylko dokonane przez jego podwładnego, dyrektora Funduszu Tomasza Mraza, który współpracuje z prokuraturą. Romanowskiemu grozi do 25 lat więzienia, ale uciekł na Węgry tuż przed tym, jak sąd rozpatrzył wniosek prokuratury o jego aresztowanie. Prokuratura nie przyjmuje zarzutów, że pokpiła sprawę, bo nie pilnowała Romanowskiego. Na Węgrzech otrzymał azyl polityczny, więc na razie jest nieosiągalny. Prokuratura Krajowa, która prowadzi to śledztwo, zadbała o wydanie za nim nie tylko europejskiego nakazu aresztowania, ale też czerwonej noty Interpolu, obowiązującej także poza Europą.

Adam Bielan

Uważany za zausznika Jarosława Kaczyńskiego, były szef Partii Republikańskiej, która połączyła się z PiS. Jego nazwisko pada w kontekście **poważnych nadużyć w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.** W śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Regionalną w Warszawie Adam Bielan, podobnie jak Jacek Żalek (obaj byli członkowie Partii Republikańskiej), zostali przesłuchani w charakterze świadków.

NCBiR zostało nieformalnie oddane w lenno Partii Republikańskiej, której przewodniczył Adam Bielan. Nieformalnie mówi się, że NCBiR było obsadzone ludźmi Bielana, ale po pierwsze, on się od tego odżegnuje, a po drugie, nawet gdyby tak było, nie jest to przestępstwem. A ponieważ Bielan nie był funkcjonariuszem publicznym, nie można mu stawiać zarzutów nadużycia uprawnień czy niedopełnienia obowiązków. Inaczej rzecz się ma z Jackiem Żalkiem, który jako wiceszef Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej nadzorujący NCBiR był funkcjonariuszem publicznym i można by mu postawić zarzut niedopełnienia obowiązku ▶

© EAST NEWS (3), REPORTER

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ nadzoru. Podobnie jak Grzegorzowi Pudzie, ówczesnemu ministrowi funduszy i polityki regionalnej. Puda nie został do tej pory przesłuchany.

W tym śledztwie prokuratorzy dotychczas przedstawili zarzuty 45 osobom, w tym funkcjonariuszom publicznym, przedsiębiorcom czy osobom pełniącym role słupów w spółkach, które wyłudzały dotacje z NCBiR. Szacowana wysokość strat poniesionych w mieniu publicznym przekracza 223 mln zł. Swoje śledztwo prowadzi też unijna agencja OLAF, bo NCBiR dysponowało środkami unijnymi m.in. w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014–2020.

Daniel Obajtek

Były szef Orlenu, obecnie europoseł PiS. W 13 śledztwach dotyczących Orlenu Obajtek nie ma postawionych zarzutów. Może je niebawem dostać w śledztwie dotyczącym zlecenia usług detektywistycznych za blisko 4 mln zł. Usługi te polegały także na zbieraniu informacji o posłach opozycji za rządów PiS. Prokuratura poinformowała POLITYKĘ, że zgromadzono materiał dowodowy uzasadniający podejrzenie popełnienia przez Daniela Obajtka przestępstwa wyrządzenia szkody w obrocie gospodarczym w ramach sprawstwa polecającego (kara więzienia od 3 miesięcy do 5 lat).

Kolejne śledztwa orlenowskie:

Zaniżanie cen paliw w 2023 r., śledztwo znajduje się w fazie *in rem* (nikomu zarzutów nie postawiono). Przesłuchano dotychczas blisko 120 osób i zamówiono opinie biegłych. Śledztwo powierzono ABW.

Fuzja Orlenu z Lotosem i sprzedaż udziałów w spółkach należących do Grupy Lotos, w tym 30 proc. udziałów w spółce Rafineria Gdańska na rzecz saudyjskiego Saudi Aramco. I to śledztwo znajduje się w fazie *in rem*. Przesłuchano do tej pory blisko 40 świadków, planowane jest m.in. zwrócenie się do Komisji Europejskiej o przekazanie dokumentacji, która została przesłana w związku z procesem połączenia spółek PKN Orlen SA z Grupą Lotos SA. „Na dalszym etapie postępowania zajdzie konieczność wykonania licznych czynności procesowych w ramach międzynarodowych pomocy prawnych na okoliczność zawartych umów handlowych, poprzedzających je rozmów i negocjacji". Z tego wynika, że śledztwo – które prowadzi ABW – potrwa lata. To samo dotyczy śledztw, m.in. w sprawie działania na szkodę spółek **OTS** Switzerland Gmbh (Grupa Orlen) i Orlen SA w związku z zawarciem niekorzystnych kontraktów na zakup ropy naftowej, w sprawie budowy Kompleksu Olefiny III w Płocku. Lepiej rokują m.in. śledztwa w sprawie nadużyć podróży służbowych i służbowych kart płatniczych przez byłych członków zarządu i kadrę zarządzającą spółki, składanie fałszywych zeznań przed sądem, zawierania niekorzystnych dla Orlenu umów na kampanie reklamowe czy nieprawidłowości przy zatrudnianiu i wynagradzaniu cudzoziemców przy budowie Olefin III. Ale te niekoniecznie dotyczą Daniela Obajtka.

Śledztwa dotyczące inwestycji Orlenu są niezwykle skomplikowane, bo wymagają wiedzy specjalistycznej i będą się opierać na ekspertyzach fachowców. Te zaś prawdopodobnie będą sprzeczne, bo istnieje margines swobody decyzji inwestycyjnych, a wstępna ocena opłacalności inwestycji niekoniecznie musi się ziścić. Dlatego śledztwa mogą się ciągnąć długo, a postawione zarzuty mogą się nie utrzymać w sądzie.

Dariusz Matecki

Obecnie poseł PiS, ma uchylony immunitet i zarzuty w związku ze śledztwem w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, którego beneficjentem były związane z nim organizacje Stowarzyszenie Fidei Defensor i Stowarzyszenie Przyjaciół Zdrowia. Szkodę w mieniu publicznym prokuratura wylicza na ponad 16,5 mln zł. Do tego dochodzą zarzuty o fikcyjne zatrudnienie w Lasach Państwowych. Sąd nie zgodził się na areszt tymczasowy dla Mateckiego. Grozi mu do 10 lat pozbawienia wolności.

Michał Woś

Był wiceministrem sprawiedliwości. Ma zarzut przekazania CBA 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości na zakup systemu Pegasus, „wiedząc, iż ta służba specjalna nie spełniała warunków do uzyskania takiego wsparcia finansowego z tego źródła". Sejm uchylił mu na wniosek prokuratury immunitet poselski.

Czy i kiedy dojdzie do postawienia go w stan oskarżenia przed sądem, nie wiadomo. Sprawa nie jest oczywista, bo przepis (art. 4) ustawy o CBA, który miał złamać, brzmi: „Działalność CBA jest finansowana z budżetu państwa". Woś podkreśla, że nie jest tam powiedziane, że „wyłącznie" z budżetu, a jeśli nie ma wyraźnego zakazu, to nie można go domniemywać i na tej podstawie stawiać zarzutu karnego.

Mariusz Błaszczak

Ministra obrony w rządzie PiS dotyczą dwa śledztwa. **W pierwszym, w sprawie ujawnienia informacji niejawnych**, ma postawiony zarzut. Chodzi o to, że w 2023 r., miesiąc przed wyborami do Sejmu, odtajnił i ujawnił publicznie część archiwalnego planu użycia Sił Zbrojnych RP pod kryptonimem „Warta". Fragmenty dokumentu zostały użyte w spocie wyborczym PiS, w którym Błaszczak mówił, że poprzedni rząd premiera Donalda Tuska „w razie wojny był gotowy oddać połowę

eprasa.pl 1a5536f9e2

Polski", a dokumenty pokazują, że „Lublin, Rzeszów i Łomża mogły być polską Buczą".

Fakty w tej sprawie są niesporne, sporna jest zaś ich ocena: czy odtajnienie i ujawnienie tego archiwalnego planu było szkodliwe dla obronności państwa, czy nie. Może to zostać rozstrzygnięte dopiero na etapie postępowania sądowego. Okolicznością obciążającą jest na pewno cel tego ujawnienia: propaganda wyborcza.

Druga sprawa to **śledztwa (w sumie siedem) w sprawie podkomisji smoleńskiej**. Działała ona w ramach resortu obrony podlegającego Błaszczakowi, a więc jest on odpowiedzialny za nieprawidłowości w finansowaniu podkomisji i brak dozoru. Na razie zarzut ma tylko Wacław B., przewodniczący podkomisji: utrudniania śledztwa. Ministra obrony dotyczą śledztwa w sprawach przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków.

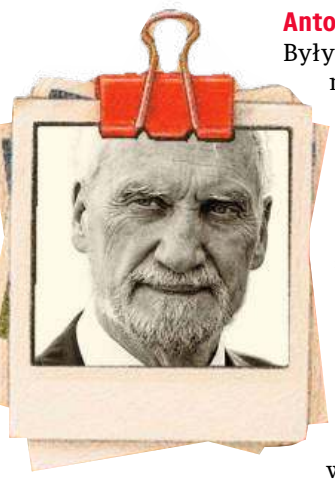

Antoni Macierewicz

Były szef MON i podkomisji smoleńskiej nie ma przedstawionych zarzutów, nie był przesłuchany, ale w zeszły piątek prokurator generalny wysłał do Sejmu wniosek o uchylenie mu immunitetu w jednym z 41 wątków prowadzonych w jego sprawie siedmiu śledztw. Pierwsza grupa śledztw dotyczy działania podkomisji smoleńskiej, druga sprawy zdrady dyplomatycznej, gdy był szefem MON. Zdrada dotyczy doprowadzenia do nieprzystąpienia Polski do międzynarodowego programu zakupu samolotów do tankowania w powietrzu, co skutkowało obniżeniem zdolności Sił Zbrojnych RP, negatywnie wpłynęło na strategiczne bezpieczeństwo państwa i spowodowało szkodę w mieniu wysokości 473 600 euro (wydatki poniesione wcześniej w związku z przygotowaniami do przystąpienia do programu). To przestępstwo z art. 129 kk: „Kto, będąc upoważniony do występowania w imieniu RP w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją, działa na szkodę RP" – kara od roku do 10 lat.

I znowu: to rzecz ocenna, zapewne przedmiot sporu ekspertów. Znacznie większa jest szansa na oskarżenie Macierewicza o oszustwa, fałszowanie raportów, marnotrawienie pieniędzy, a także niszczenie dowodów w ramach działania w podkomisji smoleńskiej. Wniosek o uchylenie immunitetu dotyczy publicznego ujawnienia niejawnych materiałów, do których dostęp dostała podkomisja smoleńska.

***

Zarzuty o niegospodarność, przywłaszczanie publicznych pieniędzy, przekraczanie uprawnień itp. obejmują dziesiątki funkcjonariuszy PiS, a po uwzględnieniu nadużyć w spółkach Skarbu Państwa – mogłyby objąć nawet kilkaset osób. Przy obecnych procedurach i stanie prokuratury skuteczne rozliczenie nieprawidłowości z ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy jest praktycznie niewykonalne. Jeśli, to w bardzo ograniczonym zakresie.

Trzeba też pamiętać, że nowy prezydent może zastosować wątpliwą prawnie praktykę poprzednika i ułaskawiać partyjnych działaczy „na dowolnym etapie procedur", aby „odciążyć wymiar sprawiedliwości". Czyli – zapewnić bezkarność.

EWA SIEDLECKA

© EAST NEWS (3), REPORTER (3)

Każdy winny odpowie

Rozmowa z prokuratorem krajowym Dariuszem Kornelukiem o rozliczaniu przestępstw poprzedniej władzy

EWA SIEDLECKA: **– Czy i kogo z ludzi rządu PiS uda się postawić w stan oskarżenia przed wyborami?**

DARIUSZ KORNELUK: – Pani redaktor, to nie jest już prokuratura zarządzana centralnie. Presja opinii publicznej jest dla mnie zrozumiała, jednak prokurator powinien kierować się kompletnością materiału dowodowego, uzasadniającego podjęcie danej decyzji.

Zbigniew Ziobro niedawno ostrzegł prokuratorów i sędziów, żeby nie byli zanadto gorliwi.

Słowa pana ministra Ziobry na mnie nie robią wrażenia. I mam nadzieję, że na żadnym prokuratorze Rzeczpospolitej nie wywierają takiego wrażenia, jakie on chciałby osiągnąć. Bo to, jakim był prokuratorem generalnym, to 6 tys. prokuratorów doskonale wie.

Widziało, i wielu się bało. A pan wie, ile jest postępowań dotyczących odpowiedzialności osób z rządu PiS?

Może panią zaskoczę, ale nie. I uważam, że tak być powinno. Ja nie uprawiam polityki. Jednak śmiem twierdzić, że toczy się liczba postępowań w skali dotychczas niespotykanej.

Ale Ziobro z prokuratury może drwić. Michał Woś ma jako wiceminister zarzut w sprawie zakupu Pegasusa, a nie ma go Ziobro jako minister.

Odpowiem tak: każdy, kto dopuścił się przestępstwa, także decydując o środkach z Funduszu Sprawiedliwości, poniesie odpowiedzialność. W tej sprawie materiał jest gromadzony.

Czy ucieczka Marcina Romanowskiego na Węgry może zablokować postawienie zarzutów innym osobom w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, jak Zbigniew Ziobro czy Dariusz Matecki?

To, że pana Romanowskiego nie ma w Polsce, w żadnej mierze nie hamuje postępowania. Pan Romanowski ma status podejrzanego, więc ma też prawo odmowy składania wyjaśnień. Uzależnienie zamknięcia postępowania od informacji od pana Romanowskiego byłoby błędem. Jego sprawę można wyłączyć do odrębnego postępowania i zapewne tak się stanie. Prokuratorzy będą czekali na jego powrót do Polski: dobrowolny lub w ramach ENA czy noty Interpolu.

Wartością dodaną tych wszystkich postępowań jest ujawnienie prawdy. Opublikowaliśmy już w Prokuraturze Krajowej raporty, z których wynika, jak były prowadzone postępowania za czasów byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Które kategorie spraw cieszyły się zainteresowaniem, a które nie były prowadzone. Wiem, nie ma tam nazwisk prokuratorów czy pokrzywdzonych z uwagi na ochronę danych osobowych czy ewentualne groźby. Społeczeństwo jednak ma prawo wiedzieć, jak funkcjonowała prokuratura w latach 2016–23.

Czy jeśli będą umorzenia jakichś konkretnych wątków, bo nie da się postawić zarzutu, to państwo np. ujawnią akta? Rozumowanie prokuratury?

Ja nie widzę przeszkód.

Obszerniejsza wersja rozmowy na www.polityka.pl

eprasa.pl 1a5536f9e2

Granica rozsądku

I stało się. Na polskie granice z Niemcami i Litwą wróciły kontrole. Na razie wyrywkowo sprawdzane są busiki i auta z przyciemnianymi szybami. Korki tworzą się niewielkie. I bardziej powolutku jadą, niż stoją.

ZBIGNIEW BOREK

W piątek 4 lipca rząd wydał rozporządzenie o wznowieniu kontroli granicznych. Od poniedziałku 7 lipca działają 52 punkty kontroli na granicy z Niemcami i 13 z Litwą (bo tędy ma płynąć fala nielegalnej imigracji po uszczelnieniu granicy z Białorusią). Kontrole mają trwać 24 godziny na dobę, na początek przez miesiąc, obejmować osoby oraz pojazdy wchodzące i wjeżdżające do Polski. „Żółte kamizelki" rozporządzenie rządu uznały za swój sukces, ale z granicy się nie wyniosą. Szef MSWiA Tomasz Siemoniak podkreślił, że na terenie kontroli granicznej mogą przebywać tylko służby państwowe. Poinformował też, że w związku z wprowadzeniem kontroli w pełnej gotowości było 800 funkcjonariuszy Straży Granicznej, 300 policjantów, 200 żandarmów i 500 żołnierzy WOT.

***

Kilka dni wcześniej. Trzech młodych mężczyzn idzie z Frankfurtu do Słubic przez most graniczny nad Odrą. Wśród dziesiątek osób zmierzających w obu kierunkach wyróżniają się ciemnym kolorem skóry. Od patrolu Straży Granicznej odłącza się dwóch funkcjonariuszy, przecina skrzyżowanie, zatrzymuje mężczyzn. Legitymuje. Dwóch wpuszcza na terytorium RP, jednego cofa, bo nie miał wizy uprawniającej do przekroczenia granicy. „Respekt!" – krzyczy do strażników ktoś z przejeżdżającego samochodu.

Legitymowanie, wpuszczanie i cofanie odbywają się kilka kroków od biało-czerwonej flagi i baneru Ruchu Obrony Granic z napisem „Stop imigracji". Flaga i baner wiszą u wejścia do Polski. Obok łopocze żółta kamizelka Ruchu Obrony Granic. Po drugiej stronie ulicy też jest taki baner, ale po angielsku, a kamizelki wiszą na grzbietach czterech panów. Na straganie, niczym marchewkę, wyłożyli ulotki o „masowej migracji, która zniszczyła już Zachód", a teraz zagraża naszym żonom, matkom i córkom: „Czy chcemy, by spotkała je krzywda?".

Jest 1 lipca 2025 r. Za sześć dni po polskiej stronie będą obowiązywały wyrywkowe kontrole graniczne (po niemieckiej obowiązują od jesieni 2023 r.). Na razie strażnicy przy moście w Słubicach cedzą słowa: strzegą granicy, żeby zapobiec nielegalnej migracji, przekraczających granicę weryfikują losowo, nie kierują się kolorem skóry, nie mają wpływu na to, jakie banery ktoś obok wywiesił, ani na to, kto jeszcze stoi na moście. Dopiero 2 lipca prokurator generalny Adam Bodnar poinformuje o pierwszych prokuratorskich postępowaniach wobec ludzi z Ruchu Obrony Granic, choć udają strażników granicznych od wielu tygodni. Strażnicy funkcjonują tu w trzech równoległych światach, które się ze sobą nie zazębiają.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Świat numer 1. Wojna hybrydowa

Panowie w kamizelkach nie chcą rozmawiać z reporterem („węszące medialne hieny" – tak dziennikarzy nazywają w socialach). Ktoś im podrzuca zgrzewkę wody, ktoś inny czereśnie, kierowca z samochodu podnosi kciuk ku górze. – *Co wy robicie?! Co wy wygadujecie?!* – oburza się młoda kobieta wracająca z Frankfurtu, gdy reporter znajduje w końcu „strażnika", który godzi się porozmawiać.

– *Zmieni zdanie, jak jej wydłubią oczy i ją zgwałcą* – rzuca pan Tomek. O nielegalnym (to słowo mu wystarczy), który w Toruniu okaleczył i zgwałcił 24-letnią Kamilę, mówi, że to efekt polityki rządu Tuska. 19-letni Wenezuelczyk Yomeykert (kawaler, niepracujący, w Polsce od lutego, 1,2 promila alkoholu) zaatakował Kamilę w parku, gdy nocą 12 czerwca wracała z pracy do domu. Ofiara zmarła w szpitalu 27 czerwca. Tego samego dnia 57-letni Tadeusz Duda ze Starej Wsi koło Limanowej postrzelił 72-letnią teściową, następnie zastrzelił 26-letnią córkę i 31-letniego zięcia (piszemy o tym na s. 34). Pan Tomek nie chce powiedzieć, kim jest, skąd przyjechał, gdzie pracuje i czy wziął urlop, żeby stać na granicy.

– *To wszystko nie ma żadnego znaczenia* – mówi pan Tomek. Na oko ma 40 lat, na głowie „trumpówkę" (MAGA 2024), chyba działał w zbliżonym do PiS Ruchu Kontroli Wyborów, bo co rusz myli go z Ruchem Obrony Granic. Znaczenie według pana Tomka ma to, żeby nielegalni nie zalali naszego kraju, i jak ktoś tego nie rozumie, to nie wie, gdzie żyje. Nielegalnego pan Tomek pozna z daleka: idzie niepewnym krokiem, czasem ma walizkę i plik dokumentów, że przyszedł do Niemiec z Polski, a więc to Polska musi go przyjąć z powrotem. Nie trzeba dodawać, że nielegalny ma ciemną skórę – filmikami o kontrolowaniu takich osób zalany jest internet. Pod wpisami lajki, serduszka, tak trzymać, niech żyje Polska.

„Prawdziwi patrioci" – tak mówią o sobie członkowie Ruchu Obrony Granic. Wielu nie ukrywa kibolskiego rodowodu, ale w żółtej kamizelce na granicy paradował też dr hab. Jacek Kurzępa, socjolog, radny wojewódzkiego sejmiku z PiS. Skrzyknął ich Robert Bąkiewicz. Po wojnie w łonie organizatorów Marszu Niepodległości trafił na boczny tor. Przez dawnych towarzyszy był oskarżany o kradzież mienia, w tym bazy danych, którą teraz wykorzystał do zorganizowania ludzi nad granicą. Chwycił antyimigrancki wiatr w żagle i wrócił do politycznego obiegu. „Patriotom" Bąkiewicza dziękowali Andrzej Duda i Karol Nawrocki, przymilają się do nich PiS i Konfederacja.

„Mamy do czynienia z jakimiś tajnymi rokowaniami między Niemcami a częścią państw, które z Niemcami graniczą, właśnie w sprawie przesyłania im tego, co – tak mówiąc najprostszym językiem – Niemcy sobie sami nabrali" – mówił Jarosław Kaczyński na konferencji prasowej przy moście granicznym w Słubicach. PiS zorganizował ją nie tydzień czy dwa tygodnie temu, lecz 29 marca, żeby straszyć migrantami z myślą o wyborach prezydenckich. Każdy, kto był wtedy w Słubicach, czuł, co się kroi. Każdy rozumiał, że to emigranci są „tym, co Niemcy sobie sami nabrali", a gdyby ktoś miał wątpliwości, Kaczyński objaśnił: „To niemiecka kanclerz zapraszała imigrantów, ale teraz oni mają być przerzucani do Polski. Na to nie może być zgody".

Potem fedrowanie w społecznych lękach ruszyło pełną parą. W kwietniu była premier i obecna europosłanka Beata Szydło pisała na portalu X: „Tusk zezwala na zalanie Polski migrantami, których chcą się pozbyć Niemcy". Poseł PiS ze Szczecina Dariusz Matecki ostrzegał, że w przygranicznym Eisenhüttenstadt powstał ośrodek dla migrantów, z którego zostanie odesłanych do Polski „nawet 70 tys. migrantów". „Migranci będą zwożeni do Polski autobusami" – taka informacja zaczęła krążyć na portalu X. Nikt tego nie weryfikował (szef ośrodka w Eisenhüttenstadt Olaf Jansen oszacował liczbę odsyłanych każdego roku na 300–400 osób), za to prawicowe portale i telewizje kolportowały informacje o „zorganizowanym transporcie nielegalnych migrantów".

Oliwy do ognia dolały prawdziwe, choć jednostkowe wydarzenia. W czerwcu 2024 r. niemieccy policjanci przywieźli do przygranicznego Osinowa Dolnego pięcioosobową rodzinę i pozostawili na parkingu. W Gorzowie Wielkopolskim (45 km od granicy) ktoś nagrał kilka czarnoskórych osób na ulicy i wrzucił do sieci. „Migranci już w Gorzowie!" – napisał radny Jarosław Porwich, a była minister rodziny i obecna europosłanka Elżbieta Rafalska skomentowała, że „niekontrolowany przez państwo napływ cudzoziemców trwa u nas, w mieście Gorzowie". Oboje usunęli posty, gdy mieszkańcy uświadomili im, że rzekomi imigranci to artyści z Senegalu, którzy przyjechali na trwający w mieście festiwal folkloru. W Lublinie dwóch nagich Etiopczyków zatrzymało samochód i prosiło kierowcę, aby wezwał policję. Nagrały to kamery miejskiego monitoringu, a prawicowi politycy i media wykorzystały do nagonki na imigrantów. Tymczasem Etiopczycy byli ofiarami przestępstwa.

Na zdjęciach: **przejście graniczne w Słubicach. Na migrantów miejscowi nie narzekają. Prawdziwy problem to samozwańczy „strażnicy".**

W sieci roi się też od klasycznych fejków, jak choćby ten, w którym Niemcy pilnują polskich strażników granicznych, żeby nie przeszkadzali w podrzucaniu na polską stronę migrantów. Dowodem miał być niemiecki policjant siedzący w radiowozie polskiej straży. Temat podgrzewała Telewizja Republika, choć tak naprawdę to był jeden ze wspólnych patroli polsko-niemieckich, które kontrolują granicę od 2012 r.

Świat numer 2. Prowokacja

Po haśle „Murem za polskim mundurem", którym politycy PiS szermowali, będąc u władzy, nie ma już śladu. – *Mam nadzieję, że relację z tego wydarzenia przeczyta jakiś prokurator i zajmie się znieważeniem polskiego munduru* – mówi reporterowi strażnik graniczny, gdy w pełnym rynsztunku i 40-stopniowym upale stoi kilka metrów od tych, którzy w ramach „obrony polskich granic" go opluwają. Był też na służbie kilka dni wcześniej, gdy na most wszedł Bąkiewicz, nawrzucał strażnikom, że wykonują ▶

© ZBIGNIEW BOREK, LECH MUSZYŃSKI/PAP

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ antypolskie rozkazy, groził ujawieniem ich personaliów. – *Tylko czekał, aż nam puszczą nerwy. Prowokator* – dodaje strażnik.

– *Staram się wykonywać swoje obowiązki i rozkazy najlepiej, jak umiem* – mówi kolejny, wyzywany w realu i wirtualu – za to, że plami honor munduru, bo wpuszcza do Polski „ciapatych", a z drugiej strony – że toleruje bojówki Bąkiewicza.

Towarzystwo panów od Bąkiewicza mu się nie podoba, ale w jego ocenie nie łamią prawa. – *Podchodzą do obcokrajowców, zadają im pytania, a ci dobrowolnie na nie odpowiadają, czasem też pokazują dokumenty. Jeśli w ocenie panów z Ruchu Obrony Granic coś jest nie tak, to tych obcokrajowców prowadzą do nas, żebyśmy ich sprawdzili* – relacjonuje strażnik.

„Łaszenie się do prawicy w wyborach prezydenckich na dobre wam nie wyszło. Dlaczego zatem nadal się łasicie?!" – pisze w internecie autor analizy prawnej wskazującej przepisy, jakie łamią bojówki Bąkiewicza, gdy na granicy legitymują ludzi i zatrzymują pojazdy do kontroli. Wymienia: przywłaszczenie funkcji publicznej (art. 227 Kodeksu karnego), zmuszanie do określonego działania lub zaniechania (art. 191), nieuprawnione dawanie poleceń lub sygnałów uczestnikom ruchu (art. 6 Prawa o ruchu drogowym), tamowanie lub utrudnianie ruchu (art. 90 Kodeksu wykroczeń) i inne przepisy. Dopiero kilka dni później pojawiają się pierwsze oficjalne komunikaty o wszczęciu śledztw przeciwko „żółtym kamizelkom" („Bodnar uderza w obrońców granicy" – alarmuje prawicowa wPolsce24).

Rząd nie radzi sobie z zalewem fake newsów i antyimigranckiej propagandy. Brakuje skoordynowanej polityki informacyjnej. W konfrontacji z rzeczywistością teza o „kryzysie na zachodniej granicy" się nie broni, ale też trudno ją obalić, bo brakuje pełnych porównawczych danych o skali migracji. Przy opowieściach o „przerzucaniu migrantów do Polski", które hulają w prawicowej retoryce, bledną zapewnienia, że „patrole obywatelskie nie są potrzebne", bo wzdłuż granicy są prowadzone wzmożone kontrole w ramach operacji Most.

Generalnie opowieści o „podrzucaniu" i „zwożeniu autobusami" tysięcy migrantów można włożyć między bajki, a formalnie Polska przyjmuje od Niemiec mniej migrantów niż za czasów PiS – pisała w kwietniu na polityka.pl Małgorzata Tomczak, doktorantka na Uniwersytecie Complutense w Madrycie, zajmująca się trendami migracyjnymi. I dodaje, że ponieważ Niemcy znacznie zaostrzyły politykę graniczną, skutki tego widać na naszej zachodniej granicy. Liczba migrantów odsyłanych do Polski jest dziś niższa niż za rządów poprzedniej ekipy o ok. 30 proc. W ocenie MSWiA spadek ten jest wynikiem dokładniejszej weryfikacji niemieckich wniosków o odsyłanie cudzoziemców do Polski, bo Polska nie ma pełnego zaufania do weryfikacji przez stronę niemiecką.

Od czasu przywrócenia jesienią 2023 r. tymczasowych kontroli granicznych Niemcy jednak nie tyle „odsyłają", ile „nie wpuszczają", czyli zawracają na granicy migrantów próbujących się tam dostać. Odbywa się to na mocy rozporządzenia o kontrolach granicznych. Rzeczniczka prasowa policji federalnej Christina Maul podała, że w 2024 r. na granicy polsko-niemieckiej odmówiono wjazdu do Niemiec 9387 migrantom. Połowę osób zawróconych na granicy stanowili obywatele Ukrainy. Maul podkreśliła, że odmowy wjazdu są zgodne z art. 6 Kodeksu granicznego Schengen oraz że Polska jest zobowiązana do przyjmowania z powrotem takich osób bez dodatkowych formalności.

Migranci trafiają do przygranicznych miejscowości. Od polskich służb otrzymują zwykle polecenie udania się do otwartego ośrodka dla cudzoziemców na drugim końcu Polski (np. w Białej Podlaskiej), ale nikt im nie oferuje transportu czy biletu na pociąg. Większość z nich przy najbliższej okazji próbuje więc znów przekroczyć granicę.

– *I tak kółko się zamyka. Odnoszę wrażenie, że obie strony byłyby zadowolone, gdyby migranci zamieszkali na moście w Słubicach i nie próbowali przejść dalej ani do Polski, ani do Niemiec* – mówi Michael Kurzwelly, twórca Słubfurtu.

Świat nr 3. Cały ten pasztet

Słubfurt narodził się pod koniec lat 90. jako idea wspólnej przestrzeni miejskiej niemieckiego Frankfurtu i polskich Słubic leżących na obu brzegach Odry. Dla wielu Niemców Michael jest za bardzo polski, dla wielu Polaków – zbytnio niemiecki, ale także dzięki ludziom takim jak on oba miasta łączy dziś wspólna linia autobusowa i sieć ciepłownicza, w Słubicach powstało Collegium Polonicum jako polski filar Uniwersytetu Europejskiego Viadrina, organizowane są transgraniczne imprezy, projekty edukacyjne, gospodarcze i turystyczne. – *Ale świat skręcił w prawo, migrantami straszy Trump oraz narodowcy w całej Europie i na naszym pograniczu, bo mają w tym polityczny interes. Inne partie też zaostrzają przepisy migracyjne, żeby nie przegrać wyborów. Przez to jest cały ten pasztet* – mówi Kurzwelly.

Dzięki sieci wsparcia migrantów dostał informację o dwóch młodych Afgańczykach, którzy koczują w krzakach w Słubicach bez jedzenia i picia. Okazało się, że byli wcześniej w Niemczech, prosili o azyl, ale niemieccy policjanci wbrew przepisom nie zareagowali na tę prośbę. Wręczyli Afgańczykom dokument, że zagrażają bezpieczeństwu publicznemu, po czym przerzucili do Polski. Gdy Michael zaprowadził ich do policjantów na stronę niemiecką, chcąc wyjaśnić „nieporozumienie", otoczyli go z bronią jako „przemytnika ludzi". Wyszedł z tego cało, a Afgańczycy jeszcze tego dnia znów znaleźli się w Słubicach, skąd dostali się do pociągu i wyjechali w głąb Niemiec.

Choć „żółte kamizelki" chcą wyglądać na siłę, która postawiła się Niemcom, to w przygranicznym Frankfurcie mało kto o nich słyszał. Kiedy reporter zagaduje niemieckich przechodniów, tylko jeden deklaruje, że do Słubic się nie wybierze, bo „przez nich korki będą większe".

Napięcie nadgraniczne uderza zwłaszcza w osoby mieszkające po polskiej stronie, pracujące w Niemczech. Problemy na granicy miewają czarnoskórzy studenci i pracownicy Collegium Polonicum. Somalijskiego pracownika Tesli pod Berlinem, który do Słubic przyjeżdża na zakupy, polscy koledzy nauczyli mówić „spierdalaj" (ponoć zadziałało na „żółte kamizelki"). – *Kryzys to jest w głowach niektórych polityków, bez nich nad granicą jest spokój. Nie zalewają nas żadni migranci, nie gwałcą, nie mordują. My tu żyjemy dobrze z sąsiadami z drugiej strony ulicy i z drugiej strony Odry. Obcy to są dla nas ci w żółtych kamizelkach. Oni ani tu nie mieszkają, ani nie pracują. Przyjechali robić politykę, wyjadą, a nam zostawią wstyd!* – denerwuje się Aldona Sadowska. Razem z mężem Krzysztofem prowadzą bar na słubickim bazarze. Kiedyś tu było ponad tysiąc stoisk, teraz ledwie 400 i nie wszystkie najęte. – *Ruch nam spadł, jak Niemcy wprowadzili swoje kontrole, a jeszcze bardziej przez tych w żółtych kamizelkach* – mówią. – *„Żółte kamizelki" niech jadą do domu, bo my ich ochrony nie potrzebujemy.*

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 1a5536f9e2

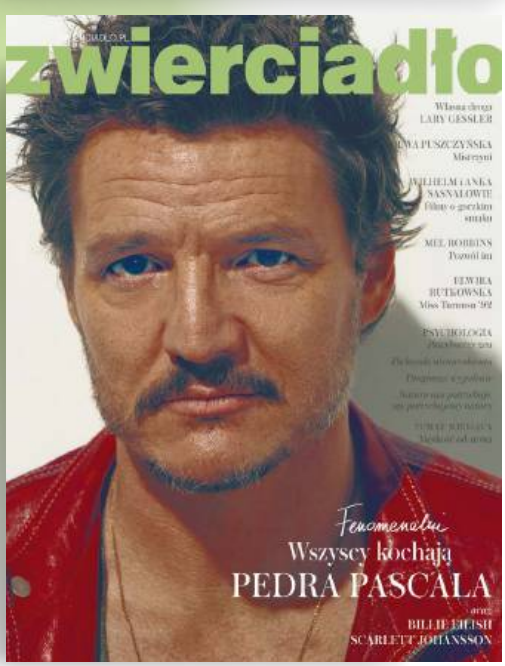

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY

WYDANIE KUPISZ TAKŻE Z KOSMETYKIEM **EVELINE COSMETICS** DO WYBORU

ZWIERCIADLO.PL

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

ODWIEDŹ NAS

zwierciadlo.pl zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

Wydawnictwo Zwierciadło wydawnictwo_zwierciadlo

eprasa.pl 1a5536f9e2

Dinozaury mogą

Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, autorzy raportu „Nowy duopol obali ten system", o nowych podziałach politycznych ujawnionych w wyborach prezydenckich, o powodach wygranej Karola Nawrockiego oraz o tym, czy nastąpi koniec hegemonii Platformy i PiS.

RAFAŁ KALUKIN: **– Karol Nawrocki bardziej wygrał, niż Rafał Trzaskowski przegrał, czy może raczej było na odwrót?**

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: – W przypadku Trzaskowskiego to nie była skromna dwuprocentowa przegrana i to nawet nie była specjalnie jego przegrana. Zawsze, kiedy absolutny faworyt przegrywa z postacią wcześniej niemal anonimową, mamy do czynienia z czymś więcej. I to nieprawda, że wszystko przez nieudaną kampanię, bo jego rywal też nie miał wyjątkowej. Zadziałał tutaj bardzo silny trend politycznej radykalizacji, masowego wzrostu postaw antysystemowych i wyłaniania się nowych sił politycznych, a w konsekwencji także nowej polaryzacji, ale już poza istniejącym porządkiem. Nawrocki jest wehikułem tej zmiany.

Nieprzypadkowo uzyskał w drugiej turze tak wysokie poparcie wyborców Konfederacji. Nie był takim kandydatem jak wcześniej Andrzej Duda, czyli kimś trwale sklejonym z PiS. Nawrocki wygrał dzięki temu, że znalazł sobie miejsce w korytarzu łączącym PiS z Konfederacją albo w przejściu od starej prawicy do nowej.

Może więc popełniliśmy błąd, faworyzując Trzaskowskiego? W sumie to nawet dziwne, że on przez większość kampanii prowadził w sondażach, skoro jego obóz od dawna znajdował się w defensywie.

PRZEMYSŁAW SADURA: – Mimo wszystko my też sądziliśmy, że ta kampania odbędzie się jeszcze w starej logice i zagrają te same mechanizmy, co w wyborach parlamentarnych dwa lata temu. Trochę oczywiście skorygowane o trendy, które określiliśmy mianem „ukrytego kryzysu władzy", nawiązując do rosnącego społecznego rozczarowania niską skutecznością rządu Donalda Tuska. Ale mimo wszystko wydawało nam się, że czerwona kartka pokazana PiS w 2023 r. pozostaje w mocy i jeżeli Trzaskowski odwoła się do tych samych emocji – czyli rozliczenia tamtych rządów, ale też do „polityki miłości" i pojednania – powinno mu to wystarczyć do zwycięstwa. Początkowo wydawało się zresztą, że nie ma z kim przegrać, bo kandydat PiS sprawiał wrażenie wymuszonego, a Konfederacja przez długi czas też nie mogła się odnaleźć.

Czemu więc stare patenty przestały działać?

P.S.: – Pod powierzchnią zachodziły już zmiany, które w kampanii ujawniły się z pełną mocą. Otóż nastąpiło zbliżenie starego elektoratu PiS oraz wyborców nowej prawicy, których reprezentowali Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun. Nie stało się to nagle, był to proces stopniowo nabierający tempa i nadający kampanii

© JAKUB SZAFRAŃSKI/KRYTYKA POLITYCZNA

eprasa.pl 1a5536f9e2

odejść

zupełnie nową dynamikę. Jedna z tez, którą wtedy postawiliśmy, brzmiała: Konfederacja jest na autostradzie do 20 proc. W tym kontekście decyzja Kaczyńskiego, żeby wystawić w wyborach kogoś spoza partii, okazała się trafiona, nawet jeśli ustawiczne podkreślanie „kandydata obywatelskiego" budziło politowanie. To jednak ułatwiło zbliżenie starej prawicy z nową. Zagrały antysystemowość i radykalizm Nawrockiego, dzięki którym on był w stanie zalegalizować się w elektoracie konfederackim.

Zarazem wciąż jednak reprezentował ten stary „duopol". Może więc wieszczony powszechnie zmierzch podziału PO-PiS jest jeszcze przedwczesny?

P.S.: – Nie sądzę. Zresztą wszystkie podziały mają tendencję do wypalania się. Wcześniejszy podział postkomunistyczny utrzymywał się przez półtorej dekady i chociaż był racjonalny, w końcu ludzie mieli go już dosyć. Weszły bowiem nowe roczniki, które nie przeżywały tak osobiście stanu wojennego. Obecny podział trwa nawet jeszcze dłużej, a pamiętajmy, że personalizujący go Tusk i Kaczyński funkcjonują w polityce już od przełomu '89. Dla młodszych wyborców są dinozaurami z dawnej epoki, które jakimś cudem przetrwały do naszych czasów. Mówią niezrozumiałym językiem, komunikują się archaicznymi kanałami, a jeśli nawet próbują używać tych nowoczesnych, kiepsko im to wychodzi.

I co się stanie, kiedy podzielona przez nich scena już całkiem imploduje?

P.S.: – Po zmierzchu tej starej polaryzacji kolejnym etapem wcale nie będzie depolaryzacja, tylko już prędzej repolaryzacja. Wyłoni się nowy podział, być może jeszcze ostrzejszy od dotychczasowego. Jeszcze silniej osadzony w logice plebiscytu nad demokracją. Bo plebiscyt jest po prostu atrakcyjny, angażuje emocje i podbija frekwencję.

S.S.: – Co ważne podkreślenia, utrzymując się przez tyle lat, stary duopol zlał się ludziom z demokracją jaką taką, co wzmacnia teraz postawy wobec niej sceptyczne. Bo kojarzył się już głównie z dryfem, ogólną nieskutecznością, wieczną kłótnią. Postrzeganie obecnego rządu jako nieskutecznego dodatkowo takie przekonania ugruntowało. Uwolniło się zatem miejsce dla nowych sił. Krystalizująca się nowa prawica łącznie dostała w tych wyborach ponad 20 proc. poparcia i wciąż jest w trendzie rosnącym. Kandydaci lewicowi dostali łącznie 10 proc. i chociaż nie wszystkie te głosy oddano w logice antysystemowej, ona też zacznie po tej stronie dominować, co zapowiada korzystny trend dla Adriana Zandberga, i on ten sceptycyzm próbuje wykorzystać, radykalizując swoją krytykę rządu. Tym, co łączy nową prawicę i nową lewicę, jest właśnie antysystemowość.

Na razie to Trzaskowski został jednak przede wszystkim odrzucony.

S.S. : – Bo Nawrocki jest kimś więcej niż kandydatem duopolowym. Dziennikarze przez całą kampanię demaskowali skandaliczne fakty z jego biografii w przekonaniu, że komuś z taką przeszłością nie można przecież powierzyć losów polskiej demokracji. Problem w tym, że było to przekonanie wywiedzione ze świata wartości liberalno-demokratycznych, który szczególnie nowa prawica chciałaby wreszcie rozbić. Biograficzne skazy Nawrockiego w jakimś sensie mu pomogły, stał się atrakcyjny, bo w percepcji kluczowej części głosujących antysystemowy. Pomogła mu krytyka ze strony mediów i autorytetów, czytaj: elit. W mniejszym stopniu działało to na zwolenników Zandberga, który jednak także nie poparł w drugiej turze Trzaskowskiego i w kolejnych sejmowych wystąpieniach już po wyborach utrzymał radykalny ton z kampanii.

Stary duopol wciąż jednak utrzymuje dwie trzecie sceny, a nowy jak na razie tylko jedną trzecią.

S.S.: – Stary system zbyt wyraźnie się kruszy, żeby to się miało utrzymać w dotychczasowej formie. A jak ten nowy podział będzie później ewoluować, to już inna sprawa. Dziś najbardziej prawdopodobny wydaje się chwilowy kompromis z częścią starego porządku, czyli koalicja PiS-Konfederacja po najbliższych wyborach i koalicja Razem z Lewicą, ale raczej na warunkach Razem.

P.S.: – Ona zresztą w głowach wyborców już powstała. Chociaż ja bym nawet zaryzykował prognozę, że to będzie koalicja Konfederacja-PiS, bo to młoda prawica dzisiaj puchnie, a stara znajduje się w stagnacji i grożą jej rozłamy. Równolegle nowa lewica jako siła radykalna będzie odbierać poparcie staremu centrolewowi, nawet jeśli dzisiaj ona tylko balansuje wokół progu. Na tej komplementarności opieramy jednak naszą całościową diagnozę. Bo w przeszłości było już przecież sporo ugrupowań, które chciały rozbijać duopol albo to deklarowały. Dopiero jednak ujawnienie się szerokiej formacji, która ma swoją prawicę i swoją lewicę, tak naprawdę otwiera do tego drogę. Klamrą spinającą obydwa bieguny jest radykalizm.

Ale taki prawdziwy czy może to tylko młodzieńcza zabawa w radykalizm? Dyskusje pod filmikami polityków na TikToku mnie akurat kojarzą się ze sporami polskich kibiców Realu i Barcelony na jakimś forum fanów ligi hiszpańskiej. Ta młoda polityczność nie wydaje się trwale ukształtowana.

P.S.: – Nie, nie. Ten radykalizm jest funkcjonalny, on wynika z natury współczesnej polityki. Mamy walkę polityczną na sterydach nowych mediów i algorytmów. Wpisany w to jest mechanizm ucieczki od środka, szukania skrajności, budowania na różnicy. Na razie utrzymuje się wyraźna asymetria pomiędzy nową prawicą i nową lewicą, co trochę myli komentatorów. Ale już Konfederacja świetnie rozumie, o co chodzi i jak to będzie się rozwijać. Ona od dawna ustawiała się w opozycji głównie wobec lewicy. Tępiła „lewaków" do upadłego, jakby to oni stanowili dominującą siłę.

Ale już lewica przeważnie nie chciała podejmować tej gry.

P.S.: – Bo obawiała się, że będzie w ten sposób legitymizować Konfederację, uważając samą jej obecność na scenie za skandal. Przekierowywali się zatem na krytykę PiS, w czym byli jednak zawsze w cieniu Koalicji Obywatelskiej. I dopiero Zandberg trafił w nastrój, z jednej strony odwracając się od rządu, a z drugiej ostro wchodząc w zwarcia z Konfederacją w nowoczesnych kanałach społecznościowych.

I legitymizowanie „faszoli" mu nie zaszkodzi?

S.S.: – Wyborcy młodej lewicy inaczej patrzą na Konfederację niż lewicowi politycy. Cechą starego podziału było to, że jedna strona odmawiała legitymizacji drugiej. U młodej prawicy i młodej lewicy tego na razie nie widać. One zajmują pozycje skrajne, ale zarazem wzajemnie się w tej roli akceptują, gdyż łączy ich kontestacja starego duopolu, ale też silne po obu stronach poczucie ideowej integralności. ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ P.S.: – I to jest faktycznie ciekawe. Zwolennicy nowej radykalnej prawicy mówili w naszych badaniach, że absolutnie nie zgadzają się z poglądami Zandberga, ale czują do niego szacunek. Doceniają za wiarygodność, szczerość, wyrazistość. W tym sensie w ich oczach on się pozytywnie odróżnia od polityków obozu rządzącego.

S.S.: – Co nie znaczy, że na kolejnym etapie oba te bieguny nie będą w stanie wejść w bardzo ostry spór i wtedy potencjał wzajemnej akceptacji może się wyczerpać.

Gdzie w nowej polaryzacji miejsce dla liberalnej demokracji?

S.S.: – Przywiązanie do niej spada, już od dłuższego czasu obserwujemy symptomy słabnięcia. Spadek poparcia dla rządu, rozkład Trzeciej Drogi, porażka Trzaskowskiego... W środku sceny postępuje proces rozdrobnienia, co też jest dowodem na erozję starego podziału.

P.S.: – Ten komponent liberalny wciąż jednak znajduje się po lewej stronie, chociaż już nie jest tam dominujący. Trochę w młodej grupie zwolenników Zandberga, silniej u wyborczyń Magdaleny Biejat, czyli głównie kobiet po trzydziestce. Koalicji Obywatelskiej, praktycznie rzecz biorąc, pozostali już tylko wyborcy z grupy wiekowej 40 plus, którzy oczywiście prędko nie znikną, ale już wkrótce będą zmuszeni odnaleźć się w zupełnie nowej logice podziału.

Kiedy dwa lata temu młodzi wyborcy generalnie poparli rządzącą dziś koalicję, najczęściej przypisywaliśmy to ich prodemokratycznej orientacji. Jeżeli na wyrost, to w takim razie warto byłoby ustalić, co tak naprawdę ich wtedy zmobilizowało.

P.S.: – Owszem, ale to nie dotyczy wyłącznie młodych wyborców. Nam się wtedy wydawało, że PiS dostał czerwoną kartkę, a to chyba miała być co najwyżej żółta. Czyli ostrzeżenie, ale jeszcze nie dyskwalifikacja.

S.S.: – Powiedziałbym inaczej: w 2023 r. wyborcy pokazali Kaczyńskiemu czerwoną kartkę, a teraz to samo spotkało antyPiS, a więc siłą rzeczy stojącego na czele Tuska. I trzeba oba te głosowania potraktować łącznie, gdyż żadne z nich już nie zapowiada prostego obrotu w drugą stronę, chociaż oczywiście elity aktualnie zwycięskiego obozu chętnie przyjmowały takie założenie. Po 15 października zrodziła się z tego złudzenia pokusa odbudowywania liberalno-demokratycznego porządku w polskiej wersji, czyli skrajnie minimalistycznej, jakby nieśmiałej. Tak żeby unikać wyrazistych poglądów i być jak najdalej od ideologicznej integralności. Tylko że rosła już Konfederacja i pojawił się Zandberg, który odmówił podpisania umowy koalicyjnej, gdyż nie było w niej postulatów Razem.

Tylko właściwie po co komu Partia Razem, która wypisała się z jednego układu koalicyjnego, a do alternatywnego tym bardziej nie przystąpi?

P.S.: – Konfederacja też długo nie miała zdolności koalicyjnej, a teraz jej nabiera. W miarę przybywania masy, znaczenia. Na lewicy będzie podobnie, tylko że ten proces dopiero się zaczyna.

Jak zatem wygląda ten prawicowy styk „starego" PiS i „młodej" Konfederacji? Ile tam zbieżności, a ile różnic?

P.S.: – Teraz jest okres zbliżenia. Wyborcy prawicowi zaakceptowali kompromis zawarty przez Nawrockiego i Mentzena w kampanii. Zwolennicy PiS popierają niskie podatki, a konfederaci akceptują przynajmniej przejściowe utrzymanie transferów socjalnych, fantazjując o tym, że zwolnienie seniorów z podatków zniesie konieczność wypłacania im dodatkowych emerytur.

S.S.: – Obok antysystemowości i radykalizmu łączy obie te strony jeszcze jeden istotny element, czyli sceptycyzm wobec UE. Spoiwo wydaje się więc silne, ale ja bym go aż tak nie przeceniał. Jeżeli powstanie koalicja PiS–Konfederacja, to na pewno nie będzie to ideowe partnerstwo, tylko w pierwszej kolejności układ pragmatyczny, transakcyjny. Konfederacji będzie się opłacało w niego wejść, ale tylko po to, żeby odesłać stary duopol w przeszłość i zgarnąć pełną pulę.

A Kaczyński z tą swoją schyłkowością wydaje się wręcz wymarzoną figurą do takiej gry. Kiedyś budził strach, ale już nie ma w nim dawnej władczości, rozmachu, wizji. Krótko mówiąc, on już nie będzie dominował na prawicy. Z kolei nowy garnitur PiS, wszyscy ci młodzi politycy z Czarnkiem na czele, spokojnie mogliby już teraz odnaleźć się ze swoimi habitusami po stronie konfederackiej. I to oni tak naprawdę będą chowali PiS do grobu.

Przed 2005 r. również wydawało się, że koalicja PO-PiS jest nieuchronna.

P.S.: – Wtedy jednak istniała alternatywa, która umożliwiła Kaczyńskiemu zdobycie sejmowej większości z Samoobroną i LPR. Z drugiej strony mogę sobie wyobrazić scenariusz, w którym Konfederacja za dwa lata odmawia wejścia do jakiejkolwiek koalicji, żeby skazać PiS albo KO na mniejszościowe rządy, wywołać kryzys i samemu dalej na tym puchnąć. Wtedy w drugim ruchu mogliby już zawalczyć o pełną kontrolę.

S.S.: – Konfederacji może się opłacać jakaś forma rządu mniejszościowego, żeby pokazać, że stare siły nie potrafią się poukładać. Na tym tle dodatkowo zyskałaby ich twarda wersja prawicowości, która jeszcze nie rządziła, jest aktywna, ma nowych liderów.

A jak ten podział pokoleniowy wygląda po lewej stronie?

P.S.: – Jeśli chodzi o samych wyborców, tam nie ma antagonizmu.

S.S.: – Jeszcze nie, bo różnice między Razem i Nową Lewicą nie są aż tak wyraźne. Za Włodzimierzem Czarzastym stoją przecież takie polityczki jak Biejat albo Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, które wcześniej były w jednej formacji z Zandbergiem. Mienszewicy w koalicji z kadetami, konstytucyjnymi demokratami. Ale zwolennicy lewicy oczekują nie umiarkowania, lecz wyraźnej zmiany. Może więc pojawić się oczekiwanie, żeby obie strony się dogadały, tylko już na nowych warunkach.

P.S.: – Dla Czarzastego czas na lewicy chyba się już kończy, przynajmniej w roli widzialnego polityka, frontmana. Nowa Lewica powinna się przynajmniej zastanowić, czy to na pewno on powinien przejmować laskę marszałkowską.

Jesienią 2024 r. mówiliście o Trzaskowskim, że „jest na autostradzie do zwycięstwa". Ale też, że „jest to ostatnia deska ratunku" dla rządzącego obozu. A więc już pozamiatane?

S.S.: – Schyłkowo wyglądała debata nad wotum zaufania. Gdy słyszę polityków mówiących o problemach z komunikowaniem swoich osiągnięć, to już wiem, że będzie źle. O ile więc dwa lata temu można było się jeszcze łudzić, że stary duopol zdoła wykonać jeszcze jeden obrót, o tyle dzisiaj byłoby to już chyba tylko samooszukiwaniem się. Tusk potrzebuje cudu, czegoś spektakularnego dla ludu, żeby zachować władzę. Zresztą nie może polegać tylko na sobie, bo słabuje nie tyle KO, ile przystawki. Ich całkowite połknięcie też musiałoby być kolejnym cudem politycznym. Inna sprawa, że Tusk jest wytrawnym politykiem i niejedno wygrał. Jednak trendy społeczne są dziś przeciwko niemu, ale i przeciwko Kaczyńskiemu.

ROZMAWIAŁ RAFAŁ KALUKIN

Nowy raport powyborczy autorstwa Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego pt.: „Nowy duopol obali ten system" ukaże się w najbliższy piątek na stronach Krytyki Politycznej.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Baronessa

Zaczynała jako jeden z „siedmiu aniołków Kaczyńskiego". A od niedawna jest w gronie jedenastu wiceprezesów PiS. Na czym polega sekret kariery Anny Krupki?

ANNA DĄBROWSKA

© JACEK SLOMION/REPORTER

Tydzień po kongresie Prawa i Sprawiedliwości w Przysusze najbardziej emocjonujące rozmowy w partii dotyczą Anny Krupki i Mariusza Kamińskiego. Ona weszła do 11-osobowego grona wiceprezesów PiS jako trzecia kobieta (obok Beaty Szydło i Elżbiety Witek), a on z niego wyleciał i to bez rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim. – *Dokładnie rok temu już oficjalnie zajęła fotel Mariusza w Sejmie, a teraz zastąpiła go w prezydium partii. Oczywiście nie jest polityczką tej wagi, co Kamiński, ale on jest już skończony, a ona jest bardzo ambitna, skutFeczna i wchodzi na szczyt* – mówi ważny polityk PiS.

„Zmieniłam miejsce w Sejmie, ale to nie zmienia mojego zaangażowania i determinacji do działania dla Polski. Witam nowego sąsiada, Łukasza Schreibera" – napisała w czerwcu 2024 r. w serwisie X i zamieściła ich wspólne zdjęcie. Z drugiej strony za sąsiada ma teraz Antoniego Macierewicza, a awansowała z czwartego do drugiego rzędu. Na to odezwała się polityczna celebrytka, od miesiąca była już żona Schreibera, Marianna: „Rozwodowe. Pasujecie do siebie".

Panie rządzą panami

Kiedy rozmawiamy z posłami PiS o awansie Anny Krupki (rocznik 1981) do prezydium, padają skrajne opinie. – *Morawiecki irytuje się tym wzmocnieniem Czarnka w partii, więc prezes dla spokoju uznał, że na nowych wiceprezesów razem z Czarnkiem wskaże Krupkę, aby obniżyć nieco rangę tych wyborów* – twierdzi nasz rozmówca. Jego zdaniem prezes pokazał, że promuje lojalnych i skutecznych, a o Krupce z pewnością można dziś tak powiedzieć, co udowodniła w województwie świętokrzyskim, gdzie nazywana jest baronessą. Ktoś mniej życzliwy uważa, że prezes wykorzystuje Krupkę, aby poniżyć mężczyzn, którzy są wokół niego i mają wybujałe ambicje.

– *Skąd ten awans na wiceprezeskę?* – pytamy Annę Krupkę. – *Rekomendując mnie na to stanowisko w wyborach partyjnych, pan prezes Jarosław Kaczyński mówił, że zdecydowała skuteczność. Jesienią 2023 r. zostałam szefową struktur świętokrzyskich i pod moim przywództwem spektakularnie wygraliśmy wybory samorządowe, choć badania mówiły, że zdobędziemy najwyżej 13 mandatów, a mamy 16. Mieliśmy też świetne wyniki w wyborach do Parlamentu Europejskiego, jako jedyne województwo w kraju zwyciężyliśmy we wszystkich 102 gminach, a Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie w 101 gminach* – wylicza z satysfakcją.

Po ostatnich wyborach samorządowych PiS, wcześniej mocno tu skłócony, utrzymał władzę w sejmiku. O wpływy w regionie Krupka walczyła z zasiedziałym w Sejmie z tego regionu Krzysztofem Lipcem. – *On już w 2015 r. dostał sygnał ostrzegawczy, kiedy prezes przyjechał i ucałował Annę w policzek, dając jej poparcie* – mówi lokalny polityk. Prezes powiedział wtedy z wyczuwalną ironią: „Chciałem podziękować Krzysztofowi Lipcowi i innym świętokrzyskim parlamentarzystom, że byli tak wielkoduszni, że przyjęli na pierwsze miejsce listy działaczkę młodego, wschodzącego pokolenia".

Dziś w regionie panuje poczucie, że warto z Krupską trzymać, a ona ma spokój w szeregach. Już w kampanii ogłosiła, że jeśli PiS wygra, to na czele sejmiku stanie Renata Janik. – *Tworzymy z panią marszałek świetny duet, doskonale nam się razem pracuje dla regionu. Od dawna była bardzo rozpoznawalna i aktywna, wiedziałam, że warto na nią postawić* – mówi Krupka. Janik przez prawie dekadę do 2016 r. była w Platformie Obywatelskiej. Później politycznie związała się z Jarosławem Gowinem, a od niespełna roku jest w PiS.

Wszyscy, z którymi rozmawiamy, potwierdzają, że główną rozgrywającą w świętokrzyskim jest dziś Anna ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ Krupka, a jej kadrową – pani marszałek Janik. Wiadomo, że urząd marszałkowski ma w swoich zasobach dziesiątki etatów w podległych mu spółkach i instytucjach.

We wrześniu 2024 r. kielecka „Gazeta Wyborcza" opublikowała listę 50 nazwisk „tłustych kotów PiS", które „z podkulonym ogonem wracają z posad w państwowych spółkach". W województwie mówią, że kto żyje dobrze z tymi paniami, temu włos z głowy nie spadnie. Anna Krupka przyznaje, że wielu ludzi związanych z PiS pracuje w miejscach podległych urzędowi marszałkowskiemu, i jednocześnie zapewnia, że zawsze na pierwszym miejscu decydują kompetencje oraz doświadczenie.

Z wiankiem na głowie

Jednak nie wszędzie idzie jej tak łatwo. Partia wygrała w Końskich wybory, a z jej list wybranych zostało dziewięcioro radnych (na 19 w radzie powiatu) i większość opowiedziała się za tym, by starostą nadal pozostał Grzegorz Piec, wówczas jeszcze szef powiatowych struktur partii. Krupka forsowała jednak kandydaturę Kamila Kubickiego, w przeszłości związanego z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. W maju 2024 r. zwolennicy Pieca wystosowali list otwarty do prezesa Kaczyńskiego, zebrano blisko setkę podpisów. W 12 punktach przekonują o jej „autorytarnych działaniach".

Krupka odpiera te zarzuty, twierdząc, że szpital w Końskich pod rządami Pieca ulega degradacji, a mówią jej o tym sami mieszkańcy, stąd potrzeba zmiany starosty. – *Pan Piec startował z list PiS i uważam, że powinien podporządkować się decyzjom władz regionu. Zdecydował się na koalicję w powiecie z ludźmi lewicy, choć była szansa stworzenia koalicji z prawicowymi radnymi z komitetu burmistrza Końskich. Będę pracowała nad tym, aby odzyskać dla PiS starostwo w Końskich* – zapowiada Krupka. Autorzy listu do dziś nie otrzymali odpowiedzi od Kaczyńskiego

Senator Krzysztof Słoń, który wprowadzał Krupkę w środowisko świętokrzyskie, a przez osiem lat był współpracownikiem Przemysława Gosiewskiego, widzi sporo podobieństw Anny do tego zasłużonego dla partii i województwa człowieka. – *Też był tutaj do nas posłany przez prezesa i też musiał zapracować na pozycję lidera. Anna swoją pracowitością i spotkaniami z ludźmi chciała pokazać swoją prawdziwą wartość i udowodnić, że prezes nie przysłał jej do nas, bo była jego aniołkiem, tylko perspektywicznym i dobrze zapowiadającym się politykiem i posłem. Nie ma też lekko, bo są tacy, którzy być może zazdroszczą jej władzy i wpływów, ale Anna nikogo nie odtrąca i jest otwarta na współpracę.*

Ten doskonały wynik wyborczy Anna Krupka zawdzięcza też zagospodarowaniu kobiet angażujących się w koła gospodyń wiejskich. W mediach społecznościowych zamieściła wiele zdjęć z dożynek, pielgrzymek i imprez KGW. To głównie dzięki jej zabiegom PiS zmonopolizował działalność kół, których tradycja sięga 1877 r. PiS zagospodarował i dofinansował organizacje, które na wsi od lat są centrum życia społecznego, i taka inwestycja okazała się bardzo trafiona.

Ustawa z 2018 r. dała KGW formę osobowości prawnej (koło zarejestrowane w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa) i możliwość finansowania z budżetu państwa. Krupka pracowała nad tym, aby skonsolidować ich działalność, i tak powstał za rządów PiS Polski Związek Kół Gospodyń Wiejskich z siedzibą w Jędrzejowie, czyli w jej okręgu wyborczym. – *Uznałam, że kultura i tradycja, którą kultywują, jest warta zauważenia, docenienia i wsparcia. Jako wiceminister sportu miałam wiele kontaktów ze związkami sportowymi i korzystając z tego doświadczenia, uznałam, że warto zrobić taki związek właśnie dla tych zaangażowanych kobiet. Miałam duże możliwości, aby je wspierać, i skorzystałam z tego* – opowiada wiceprezeska. Szefową związku została Katarzyna Korus, żona jednego z najbliższych współpracowników posłanki. On zaś został redaktorem naczelnym portalu kolagospodynwiejskich.org. i po przegranych wyborach w 2023 r. z doradzania w państwowej Enea Elektrowni Połaniec przeniósł się do dyrektorowania departamentem IT w urzędzie marszałkowskim.

– *Te nasze gospodynie traktowały ją jak córkę albo wnuczkę, dawała się lubić, bo chciała się też od nich wiele nauczyć, choćby w kwestii typowych umiejętności gospodyni, np. kulinarnych. No i zapewne to zaprocentowało dużym poparciem w tym środowisku* – uważa Krzysztof Słoń, zasiadający już czwartą kadencję w Senacie. I przyznaje, że na pewno duży wpływ na świetny wynik Anny Krupki miało wsparcie rządu PiS dla działalności KGW. Polityk PiS ze świętokrzyskiego mówi, że Krupka zmonopolizowała wręczanie tych pieniędzy KGW, a czeki szły w miliony, co powodowało wiele napięć, ale ona uznała, że to wymyśliła, więc ma do tego prawo. Koła rozwinęły się błyskawicznie, dziś jest ich prawie 19 tys. Od 2018 r. z ARiMR zostało im przyznane prawie 500 mln zł, a do tego dochodziły pieniądze ze spółek Skarbu Państwa, które płynęły szeroko w latach wyborczych, m.in. z Orlenu, Pekao SA, BGK, Enei, a także z Funduszu Sprawiedliwości czy z Lasów Państwowych. Ktoś dodaje, że Anna Krupka mogła liczyć tu na pomoc Jacka Sasina, który stał na czele Ministerstwa Aktywów Państwowych i mobilizował spółki do wspierania jej działań.

Partia rodziną Anny

Nowa wiceprezeska trzyma z tymi, którzy są z Kaczyńskim od zawsze. W kwietniu relacjonuje posiedzenie Świętokrzyskiego Zarządu Wojewódzkiego PiS, a na zdjęciach siedzi przy stole, jak pisze na Facebooku, „z wyjątkowym gościem – premierem Mariuszem Błaszczakiem". Rozmowa „o kampanii, kierunkach działań i najważniejszych priorytetach". W minionym tygodniu razem z Błaszczakiem stała przy przejściach granicznych w Słubicach i Świecku, „aby na miejscu ocenić, jak funkcjonują działania Straży Granicznej, oraz okazać wsparcie Polakom, którzy z pełnym zaangażowaniem bronią naszych granic" (to z relacji na FB). Jej promotorami są też wspomniani już Jacek Sasin i Elżbieta Witek. W centrali przy Nowogrodzkiej pojawiła się w kampanii wyborczej w 2005 r. Pilna uczennica po „Batorym", jednym z najlepszych liceów w Polsce, skończyła socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Odpisywała na wiadomości kierowane do sztabu i redagowała stronę internetową partii. W 2011 r. pierwszy raz wystartowała do Sejmu z Gliwic jako jeden z siedmiu „aniołków prezesa", jak wówczas ochrzczono młode działaczki. Miały ożywić kampanię do Sejmu, dostały marne miejsca i żadna nie weszła do Sejmu. –*Tylko Krupka jest na partyjnym szczycie i zrobiła polityczną karierę. Reszta dziewczyn założyła rodziny, a rodziną Anny stała się partia. Pewnie pomogło jej to, że była makijażystką prezesa* – opowiada osoba pracująca dawniej przy Nowogrodzkiej.

Zaczęli tak o niej mówić, kiedy zgodziła się malować prezesa na partyjne kongresy i konferencje prasowe. Ktoś zauważa, że te 20 min na make-up nawet

eprasa.pl 1a5536f9e2

kilka razy w miesiącu umiała doskonale wykorzystać. – *Nie można odmówić jej sprytu i inteligencji. Dopytywała prezesa o jakieś ciekawe sprawy polityczne, a także donosiła, co się dzieje w biurze. Prezes jest zainteresowany takimi ploteczkami i zwyczajnie ją polubił* – relacjonuje jeden ze współpracowników Kaczyńskiego. Ona dobrze o tym wie i nie krępowała się prosić o stanowisko wiceministra sportu. Podobno przyszła do prezesa w 2018 r. i powiedziała, że ma już 40 lat i da sobie radę w resorcie. – *Prezes śmiał się, że jest jedyną znaną mu kobietą, która dodaje sobie lat, bo miała dopiero 37, ale się zgodził* – wspomina ważny polityk PiS.

Ona sama opowiada, że kiedy przegrała swoje pierwsze wybory, prezes poprosił ją na rozmowę i powiedział, że widzi w niej duży potencjał. Trzy lata później dostała jedynkę w wyborach do sejmiku mazowieckiego – 30 tys. głosów, rekord wśród wszystkich kandydatów PiS do sejmików. Rok później wchodzi do Sejmu z jedynki w świętokrzyskim (prawie 28 tys. głosów) i zadomawia się w tym regionie, a w 2019 r. zgarnia prawie 70 tys. z drugiego miejsca za Ziobrą ze 115 tys. głosów, co przyjęto w partii ze sporym uznaniem. Wcześniej jedynka w tym okręgu brała wszystko, zostawiając resztę daleko w tyle, a ona przełamała ten trend i odtąd mówiono, że jest tu dwóch liderów listy. W ostatnich wyborach jedynka przypadała tu Jarosławowi Kaczyńskiemu (177 tys.), a ona z drugiego miejsca dostała prawie 40 tys., czego też mocno jej gratulowano.

Zapewnia, że kiedy przekraczała lata temu próg centrali partii, nie chciała robić politycznej kariery. Bardziej widziała się jako ekspertka od badań, bo jej pasją jest geografia wyborcza. Umie policzyć, gdzie opłaca jej się robić kampanię, a w których gminach nie ma potencjału. Nie rusza tych, gdzie są mocni inni posłowie z partii, ale buduje swoje małe gminne bastiony, w których bije rekordy.

Z Warszawy jeździ do siebie

W Sejmie po skończonych obradach koleżanki posłanki pytają, czy jedzie już do siebie do Świętokrzyskiego, bo tak bardzo jest widoczna w regionie, że nawet w PiS myślą, że już na stałe się tam przeprowadziła. Na stałe, od dziecka, mieszka w Warszawie, ale w swoim okręgu wyborczym wynajmuje mieszkanie, bo faktycznie spędza tu kilkanaście dni w miesiącu. Z oświadczenia majątkowego wynika, że nie ma mieszkania i kredytu, ale za to 619 tys. zł oszczędności. Podobno sporo inwestuje w garderobę, modne garnitury i sukienki, uchodzi za jedną z lepiej ubranych w PiS. Zwierzała się komuś, że jeszcze niedawno bolało ją, kiedy nazywali ją „makijażystką prezesa". – *Teraz ma do tego dystans i uważa, że to pokazuje, jaką długą drogę przeszła, że potrafiła stuknąć obcasem w ważnym dla Kaczyńskiego regionie i doszła do jednej z najwyższych funkcji w partii* – opowiada jej znajomy.

W 2015 r., kiedy pierwszy raz została posłanką, napisała na Facebooku: „Podziękowania należą się przede wszystkim Panu Prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu, mojemu nauczycielowi, dzięki któremu mogłam w tych wyborach wziąć udział i który najbardziej cieszył się z mojego wyniku". Widać, że wiele się od niego nauczyła i bardzo się stara, ale w PiS dalej wszystko zależy od prezesa – także, a może szczególnie wtedy, kiedy jest się wiceprezeską.

ANNA DĄBROWSKA

REKLAMA

W SPRZEDAŻY

ŻYCIE Z AI: Jak z niej korzystamy i dlaczego rozmawiamy z chatem GPT?

DOROTA KOLAK: Nie lubię błyszczeć

KATARZYNA PAKOSIŃSKA: Jak mnie wychowano

SEKS: Wakacyjny romans i co dalej

wysokieobcasy extra

ZAMÓW DO DOMU LUB DO PACZKOMATU NA PRENUMERATA24.PL. DOSTAWA BEZPŁATNA.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Rozwody niezgody

Miało być prościej i szybciej. A wyszła awantura – Polskie Stronnictwo Ludowe stanęło na straży trwałości polskich małżeństw i ogłosiło, że uproszczenia procedury rozwodowej w ramach deregulacji państwa nie będzie. Jak teraz naprawdę wygląda rozwód po polsku?

KATARZYNA KACZOROWSKA

ILUSTRACJA **PAWEŁ SMARDZEWSKI**

Sylwia ma 43 lata, własną firmę i od ponad roku nie ma już męża. Po prostu któregoś dnia spakował najpotrzebniejsze rzeczy, wyszedł i nie wrócił. – *Do dzisiaj nie wiem, co się stało, choć jak mówią, nie odchodzi się w nicość. Po miesiącu milczenia wysłałam mu wiadomość, że ma wnieść pozew o rozwód. Bez orzekania o winie. Za porozumieniem stron. Odebrałam pozew we wrześniu. A w lutym byliśmy już po rozwodzie* – opowiada Sylwia, dodając, że nikt nie bawił się w mediacje – nie mieli dzieci, oboje uznali, że to małżeństwo nie ma już sensu. Na sali sądowej sędzia zapytała ich o wykształcenie (oboje mają wyższe), czy mieszkają razem (nie mieszkają), czy pożycie uznają za trwale zakończone (uznali).

– *Wyszliśmy z sali. Wróciliśmy po 5 minutach i już nie byliśmy mężem i żoną* – mówi Sylwia i od razu zastrzega, że jej zdaniem sądy są szybkie wtedy, kiedy nie ma problemów: małżonkowie nie walczą o dzieci przy pomocy dzieci i nie wyrywają sobie majątku. Wtedy nikt nikomu nie robi trudności, nie wysyła na mediacje. Po prostu dwoje dorosłych ludzi kończy jakiś etap w swoim życiu i każde idzie w swoją stronę.

Beata, która rozwodziła się 20 lat temu, przyznaje, że szczegółów swojego rozwodu już nie pamięta. Ona zostawiła mężowi na odchodnym mieszkanie, samochód i psa, ale zabrała syna. Zgodzili się za to, że wszystkie decyzje dotyczące dziecka będą podejmować wspólnie i nigdy tej zasady nie złamali.

eprasa.pl 1a5536f9e2

– *Ale jeśli taki szybki rozwód u urzędnika stanu cywilnego albo notariusza miałby odkorkować sądy czy po prostu ułatwić ludziom życie, to jestem za* – mówi Beata.

A Paweł, pracownik naukowy jednej z krakowskich uczelni, który właśnie jest w trakcie rozwodu, mówi wprost: – *Mamy dwoje dzieci, starszy syn ma 17 lat, młodszy 10. Opieka jest naprzemienna, ale chłopcy zostali w naszym mieszkaniu, to my się z żoną wymieniamy w opiece nad nimi co tydzień. Każdy ma swój pokój, nie ma wędrowania z plecakami co tydzień do innego mieszkania.*

Paweł przyznaje, że tanio nie jest – oboje z żoną musieli wynająć dla siebie mieszkania. Oboje poszli na terapię. I oboje usłyszeli, że gdyby zaczęli szukać pomocy kilka lat temu, kiedy zaczęło się psuć, dzisiaj dalej byliby małżeństwem. Ale nie ma już czego kleić, więc lepiej jeśli rozstaną się w zgodzie i szacunku.

– *Sąd nawet nie próbował mediacji, bo jesteśmy zgodni co do rozwodu. A w temacie opieki nad dziećmi... Ja dużo jeżdżę w związku z pracą naukową. Żona też, więc w gruncie rzeczy przed rozwodem też opiekowaliśmy się nimi w pojedynkę. Robimy wszystko, żeby chłopcy mieli mimo tej sytuacji poczucie bezpieczeństwa* – mówi Paweł, który gdyby nie dzieci, wolałby rozwód przed urzędnikiem niż sędzią. Mniejszy stres. Prostsze procedury.

Procedura i polityka

W maju rząd miał rozpatrywać projekt ustawy, której pomysł przygotował zespół deregulacyjny Rafała Brzoski. „Rozwiązanie małżeństwa następowało będzie w drodze czynności podejmowanych przed kierownikiem urzędu stanu cywilnego, który będzie weryfikował spełnienie ustawowych przesłanek rozwodu pozasądowego i dokona odpowiednich wpisów w rejestrze stanu cywilnego" – zapisano w dokumencie, a z nowych przepisów miały mieć możliwość skorzystania małżeństwa bez wspólnych małoletnich dzieci, z co najmniej rocznym stażem, zgodnie oświadczające o trwałym rozkładzie pożycia. Dodatkowe warunki, jakie należało spełnić, to polskie obywatelstwa (lub zamieszkanie w Polsce). Wprowadzenie rozwodu przed kierownikiem USC nie odbierałoby prawa do drogi sądowej, a polscy obywatele, którzy chcieliby się rozwieść za granicą, mieli mieć taką możliwość przed konsulem.

Projekt ustawy oprotestowało jednak koalicyjne PSL. W czerwcu Wirtualna Polska ujawniła, że z ministerstw, które w ramach umowy koalicyjnej objęło PSL, wyszło wspólne stanowisko, które można zawrzeć w jednym słowie: „nie".

„W ocenie MON, skutkiem proponowanych zmian będzie jeszcze wyższa liczba rozwodów, w szczególności rozwodów małżeństw bez dzieci, jak również niedecydowanie się na wspólne posiadanie potomstwa w pierwszych latach małżeństwa, co w konsekwencji wpłynie negatywnie na demografię kraju" – na czele Ministerstwa Obrony Narodowej stoi Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL i jednocześnie rozwodnik, bo z pierwszą żoną rozwiódł się lata temu. Ale nie tylko MON postanowił stanąć na straży trwałości małżeństwa, o którym w rzeczonym piśmie napisano: „Małżeństwo, poprzez administracyjne czynności utraci w społecznym postrzeganiu przymiot trwałości, na którym budowana jest rodzina, która to powinna być szczególnie chroniona przez państwo. O ile odformalizowanie niektórych obszarów codziennego życia jest uzasadnione i oczekiwane, to w przypadku instytucji małżeństwa przyniesie negatywne społecznie skutki i jednocześnie uczyni z małżeństwa instytucję fasadową".

Krzysztof Paszyk, minister rozwoju i technologii, stwierdził, że wiele małżeństw będzie bowiem zawieranych „na próbę", a jego partyjny kolega kierujący resortem rolnictwa Czesław Siekierski napisał, że „wejście w związek małżeński będzie traktowane jako umowa tymczasowa, a nie trwałe zobowiązanie".

Ludowcy powołali się na przepisy konstytucji chroniące związek kobiety i mężczyzny, rodzinę i macierzyństwo, oraz na przepisy Kodeksu rodzinnego, zgodnie z którymi o rozwodzie może decydować tylko sąd (nawet jeśli oboje małżonkowie tego rozwodu chcą).

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Anna Maria Żukowska z Nowej Lewicy na platformie X skomentowała: „Związki partnerskie nie, rozwody też nie – czyli ludzie, którzy się kochają, niech nie mogą sformalizować związku, a ci, którzy się nie kochają, niech się męczą ze sobą dłużej. I w ogóle dlaczego resorty obrony i rolnictwa zajmują się sprawami nie ze swojego zakresu?".

Matki wykształcone

Według najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2023 r. zawarto jedynie 146 tys. związków małżeńskich. To drugi najniższy wynik w okresie powojennym. W drugiej połowie XX w. co roku przybywało w Polsce od 200 do 300 tys. nowych małżeństw. Wciąż ponad 70 proc. dzieci rodzi się w rodzinach sformalizowanych. Ale małżeństwa zawieramy coraz później – w 2023 r. mediana wieku pana młodego wyniosła ponad 31 lat, a panny młodej ok. 29 lat. Spada liczba małżeństw konkordatowych, które jednak wciąż są popularniejsze na wsi.

I wbrew obiegowej opinii, że wykształcone Polki nie chcą rodzić dzieci, okazuje się, że w 2023 r. aż 48 proc. kobiet rodzących dziecko miało wyższe wykształcenie – to ośmiokrotnie więcej niż na początku lat 90. XX w., kiedy wykształcone matki stanowiły zaledwie 6 proc. populacji. Zmniejszył się za to odsetek kobiet z wykształceniem podstawowym i bez wykształcenia decydujących się na urodzenie dziecka – z 18 proc. w 1990 r. do niespełna 3 proc. obecnie.

Dane GUS nie pozostawiają wątpliwości – co czwarte dziecko rodzi się w rodzinie, w której rodzice nie mają ślubu. Prym wiodą tu lubuskie (47 proc.) i zachodniopomorskie (46 proc.), a po drugiej stronie plasują się Podkarpacie (15 proc.) i Małopolska (17 proc.).

Z analiz statystyków i demografów wiadomo też, że latach 2005–19 orzekano średnio ok. 65 tys. rozwodów rocznie. Rekord miał miejsce w 2006 r. – prawie 72 tys., za to w pandemii w 2020 r. nastąpił spadek – 51 tys. W 2023 r. sądy rozwiązały już 6 tys. więcej małżeństw. I wbrew katastroficznym wizjom polityków, Polska wcale nie plasuje się w europejskiej czołówce pod tym względem. Według danych Eurostatu w 2020 r. najczęściej rozwodzili się Szwedzi, Finowie, Łotysze i Litwini, a najrzadziej Włosi, Słoweńcy i Rumuni. Wskaźnik rozwodów w 2021 r. dla Europy wynosił 17 na 10 tys. mieszkańców, w Polsce – 16. Dla porównania na Litwie było to aż 28, Cyprze 26, Łotwie 25 i w Szwecji 23.

Rozwód po polsku

Adwokatka Emilia Mądrecka: – *Ludzie, którzy nie mają dzieci i chcą się rozwieść, niech nie fatygują swoimi osobami wymiaru sprawiedliwości, nie korkują, mówiąc kolokwialnie, sądów. I takim ludziom powinno się umożliwić rozwód przed notariuszem, bo kierownik USC może, ale nie musi być prawnikiem.* ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶Dla adwokatki rozwód potwierdzany notarialnie byłby jak rozwiązanie kontraktu małżeńskiego, gwarantowane prawnie, bez późniejszego wnoszenia roszczeń.

– *Ale powtórzę, to ułatwienie pomoże tym, których rozwody i tak są najmniej problematyczne* – mówi mec. Mądrecka, dodając, że coraz trudniejsze są te rozwody, w których w walce pomiędzy małżonkami wykorzystywane są dzieci. I to przez obie strony tej walki. – *To najgorsza kategoria rozwodów, a najbardziej dotkliwy z możliwych ciosów to zarzut molestowania seksualnego i wszelkie zarzuty przeciwko wolności seksualnej stawiane rodzicowi. Niedawno zakończyłam taki rozwód. Udało się oczyścić ojca ze wszystkich zarzucanych mu przez byłą żonę czynów, ale zanim do tego doszło, nie widział się z dzieckiem przez dwa lata.*

Adwokatka od razu wylicza, z czym wiążą się takie zarzuty wobec rodzica: zawiadomienia na policję, do prokuratury, do sądu, powołanie biegłych, czekanie na diagnozę.

– *A to wszystko wymaga czasu, pism, działań. Więc wszystko trwa i zatyka sądy* – mówi wprost mec. Mądrecka, dodając, że obserwuje też amerykanizację postępowań, rosnącą popularność pieczy naprzemiennej, która w polskiej rzeczywistości oznacza wędrowanie dziecka od rodzica do rodzica. Ona sama zaś uważa, że decyzja o pieczy powinna być poprzedzona badaniami psychologicznymi całej rodziny. Ale to znowu wymaga czasu, którego nie ma żadna z rozwodzących się stron, a już na pewno nie dziecko, które traci poczucie bezpieczeństwa.

Marta Kawalec, dziennikarka, autorka książki „Nosorożec. O ojcach walczących o relacje z dziećmi": – *Za granicą dużo bardziej popularne są mediacje, które u nas, niestety, nie mają dobrego piaru. Nie mamy też kultury mediacji, umiejętności sprawdzenia, co możemy ustalić w drodze kompromisu. Te ustalenia zostawiamy sądowi, ale jak powiedział jeden z ekspertów wypowiadających się w mojej książce, w sądzie może wygrać tylko jedna osoba, a na mediacji mogą wygrać dwie osoby, jeżeli są w stanie się dogadać, ustąpić i spotkać w połowie drogi. Ale jeśli w małżeństwie są dzieci, to rozwód nie rozwiązuje starych problemów, a może powodować nowe.*

Sylwia: – *Mam znajomych, którzy rozwodzą się już po kilka lat, bo się kłócą o opiekę nad dziećmi, walczą o każdą łyżeczkę, filiżankę Rosenthala ze ślubnego serwisu, psa. I mam koleżankę, którą mąż zostawił z długami, jakie zaciągnęła na in vitro. On jest obrzydliwie bogaty i ma w nosie ją i dziecko, a ona z długami ciągnie dwa etaty na siebie i córeczkę. Jak widać, można się rozwieść w pięć minut jak ja, a można zafundować sobie piekło.*

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego Polacy najczęściej rozwodzą się z powodu niezgodności charakterów (46,3 proc. przypadków), niewierności (20,6 proc.), nadużywania alkoholu (14,1 proc.). Łącznie to powody aż 81 proc. rozwodów.

Mec. Robert Ofiara, ekspert Komitetu Ochrony Praw Dziecka: – *Jestem za tym, by pomagać sędziom, rodzicom, pełnomocnikom, a niekoniecznie tworzyć przepisy. Przepis nie zawsze zmienia rzeczywistość. Czasami nawet ją komplikuje.*

I tłumaczy, że jest możliwość uzyskania rozwodu, nawet jeśli są dzieci, w trzy miesiące – dzieje się tak wtedy, kiedy do pozwu dołączony jest plan wychowawczy. Jedno z małżonków składa pozew, drugie dołącza podpisane oświadczenie, że zgadza się na ten pozew i jego warunki. A sędzia dostaje te pisma wraz z planem wychowawczym i wskazaniem jednego świadka.

– *Sędzia widzi, że obie strony chcą załatwić rozwód szybko. Odsyła więc pozew drugiej stronie, ale już z terminem rozprawy. I oczywiście taka sytuacja jest najlepsza dla obu stron, a przede wszystkim dla dzieci* – tłumaczy mec. Ofiara i dodaje, że on stawiałby nie na mnożenie przepisów, ale na naukę komunikacji, która pozwoliłaby w przyszłości unikać konfliktów w związkach, a jeśli już się pojawią, to je rozwiązywać.

- Małżeństwa zawieramy coraz później – w 2023 r. mediana wieku pana młodego wyniosła ponad 31 lat, a panny młodej ok. 29 lat.
- W 2023 r. aż 48 proc. kobiet rodzących dziecko miało wyższe wykształcenie, w latach 90. XX w. stanowiły zaledwie 6 proc. populacji.
- Co czwarte dziecko rodzi się w rodzinie, w której rodzice nie mają ślubu.

Jeśli nie małżeństwo, to co?

Jak wynika ze statystyk, częściej niż na ślub Polacy decydują się na związki nieformalne. W kwietniu pod obrady rządu trafiły projekty ustawy o rejestrowanych związkach partnerskich i ustawy wprowadzającej związki partnerskie. Katarzyna Kotula, ministra ds. równości, tłumaczyła Polskiej Agencji Prasowej, że ustawy przeszły zmiany i wszystko zbliża się do celu. „Mam nadzieję, że Stały Komitet Rady Ministrów przyjmie te ustawy. Następnym etapem – i zarazem ostatnim przed posiedzeniem Rady Ministrów – będzie komisja prawnicza" – zapowiadała Kotula, wyliczając, że w prace nad projektami zaangażowane były ministerstwa: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i administracji, rodziny, pracy i polityki społecznej, spraw zagranicznych i finansów. W efekcie wprowadzono zapisy dotyczące zawierania i rozwiązywania związków partnerskich.

„Te uwagi były różne: jedne mówiły, że powinna być to instytucja bliżej małżeństwa, a inne, że dalej. Znaleźliśmy złoty środek: związek partnerski będzie się rejestrowało w urzędzie stanu cywilnego, w którym możliwe będzie także rozwiązanie związku, pod warunkiem że nie będzie w nim dzieci. W innym przypadku albo w sytuacji braku zgody pomiędzy partnerami decyzję podejmie sąd. Uściśliliśmy te przepisy po to, żeby odeprzeć zarzuty o możliwych nadużyciach" – tłumaczyła ministra Kotula, bo w pierwotnym projekcie ustawy np. do rozwiązania związku partnerskiego wystarczyło oświadczenie jednej ze stron wysłane drugiej... pocztą.

Istotne okazały się sprawy związane z tzw. małą pieczą, czyli bieżącą opieką nad dzieckiem partnera – rodzica biologicznego. Autorzy projektów ustaw dostrzegli, że coraz więcej dzieci rodzi się i wychowuje w związkach nieformalnych czy tzw. rodzinach patchworkowych, w których partner lub partnerka rodzica biologicznego uczestniczą w wychowaniu, pokrywając związane z tym koszty. „Do tej pory sytuacja dzieci w takich rodzinach była nieuregulowana prawnie. Nasza ustawa to zmieni. Ważne życiowe decyzje nadal będzie mógł podejmować tylko rodzic biologiczny, ale osoba pozostająca z nim w związku partnerskim będzie mogła pójść z dzieckiem do lekarza specjalisty czy odebrać je z wycieczki; podejmować decyzje w życiu codziennym" – zapowiedziała ministra, dodając, że rozwiązanie to, pod warunkiem braku sprzeciwu ze strony rodzica, jest

eprasa.pl 1a5536f9e2

rekomendowane przez Komisję Europejskiego Prawa Rodzinnego. Projekty obu ustaw opublikowano na stronach Rządowego Centrum Legislacyjnego już w październiku 2024 r. I czekały na wynik wyborów prezydenckich, przy jednoczesnym oporze części koalicjantów na czele z ludowcami, niekryjącymi, że dla nich związki partnerskie to twór małżeńskopodobny, który nie wiadomo po co w ogóle sankcjonować. Przecież można wziąć ślub cywilny.

A Karol Nawrocki, zwycięzca wyborów prezydenckich, w wywiadzie dla Wirtualnej Polski powiedział: „W trakcie kampanii wyborczej wielokrotnie powtarzałem, że jestem katolikiem, jestem chrześcijaninem i dla mnie małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny. Zdania nie zmieniłem i zapewne nie zmienię. Nie zgodzę się więc na wdrażanie żadnych ideologicznych rozwiązań. Ale nie będę walczył z relacjami partnerskimi, niezależnie, w których grupach społecznych. Co więcej, w kwestiach o charakterze formalnoprawnym dostrzegam pole do współpracy w zakresie przepisów o statusie osoby najbliższej".

Jeśli po zaprzysiężeniu nowy prezydent złoży do laski marszałkowskiej projekt ustawy dotyczący statusu osoby najbliższej, to szanse na jego przyjęcie będą spore. Nowe prawo może zyskać poparcie w PiS, PSL, a być może i Konfederacji, bo na pewno będzie to projekt bardziej konserwatywny niż rządowy. Pod znakiem zapytania stanie możliwość przyjęcia przez osoby wchodzące w związek partnerski jednego nazwiska, rozliczania się wspólnie w urzędzie skarbowym, choć już nie prawo do informacji medycznej na swój temat, dyskusje wywołają też kwestie dotyczące dziedziczenia po sobie i pochówku partnera lub partnerki. Kluczowe jest tu jednak to, że w związek partnerski mogłyby wchodzić osoby tej samej płci, co dla przeciwników ustawy jest tożsame z usankcjonowaniem małżeństw homoseksualnych.

Tymczasem zgodnie z wyrokiem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Polska jako państwo członkowskie UE jest zobowiązana do zapewnienia ram prawnych umożliwiających parom tej samej płci uzyskanie odpowiedniego uznania i ochrony ich związku. I to jest też kość niezgody w koalicji rządzącej – „nie" mówią tu ludowcy i konserwatywna część PO. Z badania CBOS z 2024 r. wynika, że Polacy w tej kwestii też są podzieleni, choć jednocześnie w ciągu ostatnich 20 lat systematycznie rósł procent tych, którzy zgadzają się na małżeństwa homoseksualne – z 24 proc. w 2005 r. do 43 w 2024 r. Przeciwnicy takich związków w 2005 r. stanowili 69 proc. badanych. W 2024 r. na „nie" było już tylko 48 proc. Podział więc wychodzi po równo, bo niezdecydowanych i bez zdania jest dzisiaj 8 proc. badanych – co oznacza, że Polacy są w tej kwestii podzieleni równie silnie, jak w sprawach politycznych.

Premia za staż?

W czerwcu na posiedzeniu senackiej Komisji Petycji omawiano projekt obywatelski dotyczący pieniężnych gratyfikacji od państwa dla tych, którzy się nie rozwiedli. Biuro Legislacyjne Senatu na wniosek senatorów opracowało założenia do projektu ustawy „o zmianie ustawy o świadczeniach rodzinnych mający na celu uhonorowanie osób pozostających w długotrwałych związkach małżeńskich". Nowe świadczenie rodzinne miałoby się nazywać małżeńskim świadczeniem jubileuszowym, a wypłacane miałoby być parom z 50-letnim stażem, a potem kolejno co 5 lat. Pierwsza premia za półwieczne małżeństwo miałaby wynosić 5 tys. zł, a z każdą kolejną pięciolatką razem rosłaby o 500 zł. Przysługiwałaby też, zgodnie z założeniem projektu, każdemu z małżonków. Pomysł pierwszy opisał portal wyborcza.biz, cytując entuzjastycznie oceniających go senatorów m.in. PiS, chwalących, że za premię za długoletnie pożycie małżeńskie będzie można przynajmniej wyjechać na wycieczkę, bo na medalach i dyplomach przyznawanych przez samorządy tylko zbiera się kurz.

Rodzice Anny jubileusz 50-lecia małżeństwa świętowali w Urzędzie Stanu Cywilnego we Wrocławiu. Było uroczyste spotkanie z urzędnikiem z godłem na łańcuchu, list gratulacyjny od prezydenta Polski, medal od prezydenta miasta. – *Rodzice za dwa lata świętować będą 60-lecie małżeństwa. Na wycieczkę żadną nie pojadą, bo tato będzie miał wtedy 81 lat, a mama 80. Są schorowani, więc jeśli premia rzeczywiście by była, to poszłaby pewnie na lekarzy i leki* – mówi wprost Anna dodając, że dla tych, którzy się rozwodzą dzisiaj, perspektywa 5 tys. zł za 30 czy 40 lat to jakaś kompletna abstrakcja. Albo trzy raty kredytu mieszkaniowego dzisiaj. Niewiele.

Dwie socjolożki rodziny – Paulina Pustułka i Małgorzata Sikorska z Uniwersytetu Warszawskiego – w 2024 r. opublikowały artykuł dotyczący m.in. zmieniającej się definicji rodziny. Piszą w nim: „polskie społeczeństwo jest nadal często postrzegane jako tradycyjne i pozbawione różnorodności – także w badaniach społecznych. Definicja rodziny oparta na patriarchalnym modelu, z wyraźnym podziałem ról płciowych i naciskiem na więzy krwi, małżeństwo i jedność ekonomiczną, dominuje w dyskursie publicznym i pozostaje bardzo aktualna dla Polaków. Jednocześnie postmodernistyczne ramy rodzinne, charakteryzujące się definicjami rodziny opartymi na relacjach, praktykach i emocjach, zyskują popularność (...)".

Społeczeństwo się więc zmienia, a codzienność sankcjonuje wszelkie formy partnerskich związków, tylko politycy znów nie nadążają.

KATARZYNA KACZOROWSKA

GALERIA POLITYKI

PAWEŁ SMARDZEWSKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Ewangelizują w mediach społecznościowych, na TikToku, Instagramie, YouTube, Facebooku. Coraz częściej to młode kobiety, które z głoszenia słowa Bożego zrobiły sposób na życie.

Boski biznes

ILUSTRACJA **ADELA PODGÓRSKA**

eprasa.pl 1a5536f9e2

AGNIESZKA SOWA

Kościół zaczął dostrzegać cyfrowych misjonarzy. Za dwa miesiące papież Leon XIV ogłosi kanonizację Carlo Acutisa, „bożego influencera". Włoski nastolatek urodzony w Londynie, zmarły tragicznie na białaczkę w wieku 15 lat, twórca stron internetowych o eucharystycznych cudach, zostanie pierwszym świętym z pokolenia milenialsów.

Także w tym roku, w końcu lipca w Rzymie, tuż przed Światowymi Dniami Młodzieży, odbędzie się spotkanie cyfrowych misjonarzy i katolickich influencerów. Poprzednie miało miejsce w zeszłym roku w Lizbonie. Kapłani, siostry zakonne i ludzie świeccy dawali świadectwo o swoim sposobie ewangelizacji w sieci. Praktycznie wszyscy stwierdzili, że mają już doświadczenia nawróceń, które dokonały się dzięki obecności ewangelicznego przekazu w sieci.

Podczas ostatniego synodu, zakończonego w październiku 2024 r., prelegenci reprezentujący tzw. Synod Cyfrowy podkreślali, że misja cyfrowa jest nie tylko narzędziem do prowadzenia ewangelizacji, ale także „nową przestrzenią, nowym światem dla Kościoła komunii i ewangelizacji, idealnym terenem dla synodalnego Kościoła misyjnego, w którym wszyscy ochrzczeni przyjmują współodpowiedzialność za ewangelizację".

Polski Kościół trochę ma z tą przestrzenią problem. Bo z jednej strony czuje imperatyw „nadążania za duchem czasu" i wykorzystania mediów cyfrowych do szerzenia Ewangelii. Z drugiej nie ma nad tymi sieciowymi misjonarzami żadnej kontroli. A nie zawsze głoszone przez nich prawdy objawione są zgodne z doktryną Kościoła katolickiego. Mówi więc oględnie, że internetowi kaznodzieje potrzebują „rzetelnej formacji duchowej". Pytanie, kto i w jaki sposób miałby ich formować.

Klaudia Domańska jest pewna, że to Bóg ją prowadzi. Od kilku już lat, od czasu kiedy dał jej siłę, by zakończyć przemocową relację z partnerem narcyzem, w jakiej utkwiła na trzy lata. Ten związek doprowadził ją do depresji. Długo była w terapii psychologicznej, szukała też pomocy w grupach wsparcia. Jednak dopiero gdy zwróciła się do Boga, jej stan zaczął się poprawiać. Wcześniej była wierząca, ale bez – jak mówi – pogłębionego szukania Boga. Podobnie jej mama, która w tym samym czasie przeszła nawrócenie i bardzo ją namawiała, żeby szukała pomocy w Kościele.

Klaudia pochodzi z Olsztyna. W wieku 16 lat wyjechała do Wielkiej Brytanii, tam chodziła do szkoły, studiowała prawo, potem pracowała w kancelarii adwokackiej. – *W Londynie funkcjonowałam zgodnie z tamtejszą kulturą, zwyczajami i stylem życia młodych Brytyjczyków* – opowiada w programie „Nawróceni" TV Republika. – *Poszukiwałam miłości i własnej tożsamości w używkach i na imprezach.*

Potem był toksyczny związek. Wreszcie Bóg kazał jej rzucić pracę w kancelarii („zostałam powołana do poświęcenia się Bogu, a nie wymyślania, jak mam zarobić pieniądze") i poświęcić się głoszeniu słowa. Dzielić się swoim świadectwem i przekonywać, że tylko z Bogiem można odkryć prawdziwą tożsamość i odnaleźć wewnętrzną wolność. To On podsunął jej pomysł prowadzenia podkastu „Ocalona", by w ten sposób pomagała innym kobietom, ofiarom przemocy. „Wyraźnie dostałam polecenie od Ducha Świętego, żeby zacząć nagrywać, i to na grubo. To jest ten czas na robienie".

Wróciła zatem do Polski i ewangelizowała. Prowadziła kanał „Głos proroczy". W Anglii i Holandii, kiedy doświadczała nawrócenia, chodziła do Kościoła protestanckiego. Jednak po powrocie do Polski, do Olsztyna, Bóg jej powiedział, że ma wrócić do Kościoła katolickiego. Na rekolekcjach w ciszy poznała Krzysztofa Dzieńkowskiego, znanego na YouTube, Instagramie, TikToku i Facebooku jako Krzychu Jezuita. To Dzieńkowski, od dziewięciu lat w zakonie jezuitów, organizował te ignacjańskie rekolekcje. Zaczęli tworzyć wspólne treści o charakterze religijnym i spotykać się nie tylko w mediach społecznościowych. Po trzech latach Krzysztof Dzieńkowski zrozumiał, że jest w Klaudii zakochany. W lutym odszedł z zakonu, a w kwietniu para się pobrała. Ślub był cywilny. I nie wiadomo, czy będzie kościelny.

W Kościele katolickim każdy charyzmat jest rozpoznawany, czyli weryfikowany, żeby potwierdzić, czy jest rzeczywiście pochodzenia Bożego i czy jest używany zgodnie z jego przeznaczeniem. W dwugodzinnym podkaście na kanale „Trzy światy" prowadzący ojciec Tomasz Maniura i Monika Hoffman-Piszora próbowali dociec, gdzie Klaudia i Krzysztof weryfikują swoje proroctwa, jak sprawdzają, czy to rzeczywiście Bóg do nich mówi. Odpowiedzi nie uzyskali. A kiedy zapytali Klaudię, czy wzorem świętej Faustyny poddałaby się testom, badaniom psychiatrycznym, dziewczyna zareagowała oburzeniem: Czy to znaczy, że jak ktoś słyszy Boga, to jest chory? Argumentowała, że nagrała ponad 80 podkastów na temat swojego życia wewnętrznego. Ale ich już nie ma – skasowała je. Dlaczego? Bo tak jej Duch Święty kazał.

„Kochani, odebraliśmy z Klaudią od Boga, żeby polecieć na konferencję »Arise and shine« Apostle Kathryn Krick do Los Angeles" pisał w kwietniu na swoim profilu Krzysztof. „Wierzymy, że to ważne, żebyśmy byli tam fizycznie, nawet jeśli to tysiące kilometrów stąd. Jeśli chcecie mieć duchowy udział w tej podróży, umożliwiamy zasianie swoich finansów w wyjazd". Polecieli.

A w czerwcu na FB były jezuita reklamował książkę Klaudii: „Zapraszam na ocalona.com". Na stronie możliwość zakupu książki drukowanej lub w formie e-booka. I zakładka Fundacji Mt 5:5. Celem fundacji jest „wpływ na rozwój duchowy, psychologiczny i fizyczny społeczeństwa, głoszenie Ewangelii, twórczość artystyczna, muzyczna, tworzenie wydarzeń w tematyce chrześcijańskiej, artystycznej, kulturalnej, tworzenie narzędzi wspierających te cele, jak np. działalność wydawnicza, filmowa, wideo". I prośba o wsparcie, „zasianie", wraz z numerem konta.

I jeszcze info o autorce: „świeżo upieczona, szczęśliwa żona, głos proroczy w Kościele, absolwentka prawa, osoba ocalała z kilkuletniej przemocowej relacji, autorka podkastu, kobieta wpływu z szerokim doświadczeniem zawodowym, wieloletnia imigrantka, energiczna liderka aktywująca innych do wzięcia odpowiedzialności za swoje życie".

Na pytanie, z czego żyją, Klaudia odpowiada bez żadnego wahania: – *Z łaski.*

Zaczęło się od Facebooka, gdzie kilka lat temu pojawiły się profile o zabarwieniu katolickim skierowane do dziewcząt. Prowadzone najczęściej przez młode kobiety, żony i matki, które z rozpuszczonymi włosami, w dziewczęco skromnych sukienkach, uśmiechały się z profilowych zdjęć. Całość była utrzymana w cukierkowo romantycznej stylistyce. Jednym ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ z pierwszych był profil „Urzekająca” Eweliny Chełstowskiej. Dziś Ewelina (113 tys. obserwujących na FB, 62 tys. na Instagramie, 24,5 tys. na TikToku) to liderka społeczności „Rozwój osobisty dla katoliczek”. I prężna bizneswoman. Poszło tym łatwiej, że jej projekt Urzekająca dostał dofinansowanie w ramach konkursu „Po pierwsze rodzina” ze środków pełnomocnika rządu ds. polityki demograficznej. Za rządów PiS Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej co roku dotowało katolickie, prawicowe i walczące z tzw. ideologią LGBT fundacje i stowarzyszenia (Najwyższa Izba Kontroli uznała, że było to finansowanie „na szkodę interesu publicznego”).

Ewelina w internecie układa w wazonie róże. Albo maluje się do kamery. Czasem się modli. Jej książka „MasterClass kobiecości” sprzedaje się nieźle, podobnie aplikacja dla kobiet: 36 kursów, 500 godz. nagrań za jedyne 59 zł miesięcznie. Od ośmiu lat prowadzi Klub Urzekającej: „ogrom informacji o budowaniu trwałego poczucia własnej wartości, o odkrywaniu swoich królewskich korzeni – jako córki Boga, o pracy z nawykami, odkrywaniu swojej kobiecości, o byciu mamą, o komunikacji w relacji, o seksie po katolicku, o pielęgnacji, diecie, odporności”.

I sklep Urzekającej, gdzie można kupić biżuterię z cytatami z Pisma Świętego, bransoletki z charmsami (zawieszkami) z wizerunkami świętych, Biblię dla kobiet, ale także specjalny workbook „52 tygodnie z Biblią dla kobiet”, notesy, kubki, świece zapachowe i oczywiście różańce – różowe! Bo Ewelina kocha ten kolor. Na filmikach zawsze ma coś różowego, kwiaty najczęściej też są w tym kolorze. I kolczyki, bardzo duże, jaskraworóżowe. Pod filmikiem pojawiają się pytania: „Ewelinko, gdzie kupiłaś takie śliczne kolczyki?”. Nie wszystkie reagują dobrze: „Wiara wiarą, modlitwa modlitwą, ale przecież ona na tym zarabia, te naklejki, różowe różańce, kolczyki, to jest zwyczajne działanie marketingowe”, komentuje jedna z obserwujących. Kolczyki „Kwiat kobiecości” są dostępne w sklepie internetowym Urzekającej.

W każdy poniedziałek o 8 rano Ewelina pije ze swoimi fankami „urzekającą kawę” na Facebooku i Instagramie. No i co chwila publikuje jakiś nowy mini e-book, np. „Moje sposoby na pozbycie się pustki serca” albo poradnik „Czułość dla

Klaudia Domańska, autorka podkastu „Ocalona”, i Krzysztof Dzieńkowski, znany niegdyś na portalach społecznościowych jako Krzychu Jezuita. Ich współpraca w sieci zaowocowała związkiem.

Marta Tomala (1,4 tys. obserwujących) zaprasza do siebie na YouTube czy FB bardziej doświadczone katolickie influencerki. Była u niej Boska, czyli Małgorzata Dąbrowska (14 tys. obserwujących na FB).

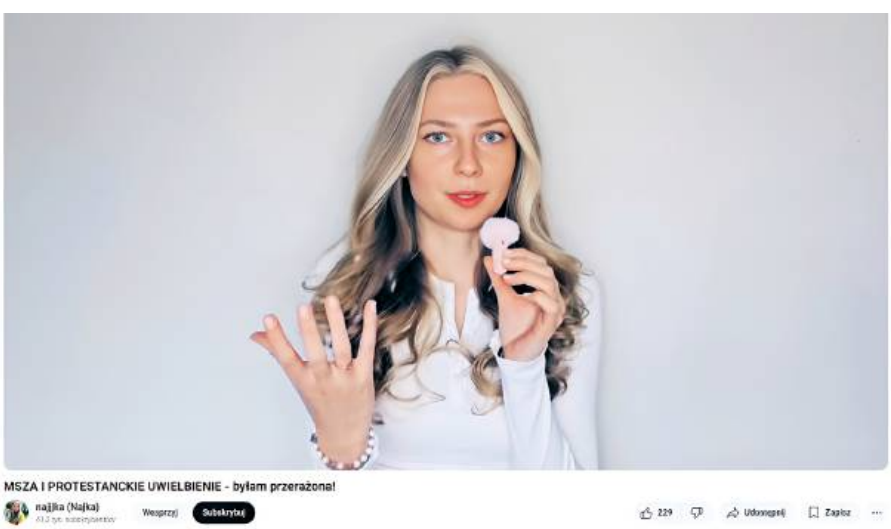

Związana z Konfederacją i Grzegorzem Braunem Natalia R., w mediach społecznościowych znana jako Najjjka (59 tys. obserwujących na Instagramie, pół miliona na TikToku).

© TVP, YOUTUBE.COM/@MARTATOMALA1, YOUTUBE.COM/@NAJJJKA

eprasa.pl 1a5536f9e2

duszy. Jak zadbać o siebie duchowo". Główny cel jej działalności to – jak deklaruje – „pomóc kobietom rozwijać się wartościowo". Oczywiście w zgodzie z wartościami katolickimi. Jakie ma do tego kompetencje, nie bardzo wiadomo, bo skończyła zarządzanie na UW (co niewątpliwie pomogło rozwinąć biznesowo projekt Urzekająca).

Porusza także inne tematy, dalekie od rozwoju osobistego w duchu katolickim, np. o tym, że nie szczepi się przeciwko Covid-19 i podziela komentarze podważające istnienie pandemii (nazywające ją „plandemią").

Ma trójkę dzieci, tu na ziemi, i jedno maleństwo w niebie, więc najczęściej mówi o macierzyństwie. Ostatnio na livie u Marty Tomali, która także ma misję pomagania kobietom w odkrywaniu tego, co w nich najpiękniejsze. „Wspieram w drodze do świadomego życia, pełnego satysfakcji i spełnienia. Towarzyszę też małżeństwom i narzeczonym w budowaniu pięknych, głębokich relacji", reklamuje się Ewelina na portalach społecznościowych. Prowadzi szkolenia, sesje coachingowe, bo wierzy, że „każdy z nas ma w sobie wyjątkowe dary, które otrzymaliśmy od Boga". Uważa, że ma do tego kompetencje, bo ukończyła szkołę trenerów oraz szkołę coachów. Na stronie jej sklepu internetowego można kupić sesje coachingowe, indywidualne i dla par, dostęp miesięczny do warsztatów online „Odważ się potrzebować" i jej książkę w formie tradycyjnej lub e-booka „Poznaj i pokochaj siebie. 52 ćwiczenia dla kobiet". Oraz lusterko w kształcie puderniczki z napisem „Jesteś piękna. Kropka". Wersja druga to „Mała Księżniczka".

Marta Tomala działa od niedawna, na Facebooku ma dopiero 1,4 tys. obserwujących, więc zaprasza do siebie na YouTube czy FB bardziej doświadczone katolickie influencerki. Była u niej także Boska, czyli Małgorzata Dąbrowska (14 tys. obserwujących na FB), która przedstawia się jako chrześcijański coach i trenerka mentalna, wspierająca kobiety w zmianie w biznesie i życiu osobistym: „Pomagam kobietom żyć Boskim Życiem i prowadzić Boski Biznes". A jej firma Boski Biznes – wyjaśnia – to połączenie wiary, biznesu i kobiecości. Ma też fundację Boskie Skrzydła. Jest autorką „Dekalogu Boskiej Liderki" i płatnej (abonament miesięczny 79 zł, roczny 790 zł) społeczności #BoskiBiznes, platformy spotkań i rozwoju dla przedsiębiorczych chrześcijanek. „To nie jest zwykła grupa – to przestrzeń dla kobiet takich jak Ty. Kobiet, które z wiarą, odwagą i miłością do życia budują swoje wymarzone biznesy. To społeczność, która daje wsparcie, inspiracje i konkretne narzędzia do działania" – zachęca.

„Kobiecość z klasą, życie z wartościami" to motto Klary Walickiej, 6 tys. obserwujących na Instagramie, która inspiruje „do pięknego przeżywania kobiecości, małżeństwa i macierzyństwa". Ma 28 lat, pochodzi z okolic Garwolina. O sobie mówi, że w pierwszej kolejności jest żoną (szczęśliwą), potem matką dwójki dzieci. Kolejna rola, zawodowa, to śpiewaczka. Śpiewa na ślubach i uroczystościach. Występowała w teatrze muzycznym Od Czapy, gdzie poznała Marcina Pospieszalskiego, co zaowocowało największym według niej muzycznym sukcesem w jej życiu – występem podczas największego koncertu uwielbieniowego w Polsce „Jednego Serca, Jednego Ducha". Klara podkreśla, że dla niej śpiew to możliwość wielbienia Boga.

Wreszcie – jest twórczynią katolicką. W swoich rolkach i postach mówi młodym kobietom, jak mają żyć, by być coraz bliżej Boga, a dzięki temu bliżej ukochanego męża i dzieci. Jak być zadbaną i elegancką mamą. Jak się ubierać, jak czesać. Prezentuje stylizacje, sukienki i spódnice za kolana. Nie coachuje odpłatnie, ale od niedawna wziął się do tego jej mąż Karol Walicki. Klara, jak na wierną żonę przystało, reklamuje męża na swoich socialach. On sam przedstawia się jako coach z wartościami chrześcijańskimi. Chwali się, że dzienne studia prawnicze łączył z mężowsko-ojcowskimi obowiązkami. Jest świeżo upieczonym prawnikiem, ma 26 lat i certyfikat coacha. Oferuje m.in. coaching dla mam. Bo „macierzyństwo jest kwintesencją kobiecości. Zadbaj o siebie i bądź spełniona jako Mama" (150 zł za godzinę).

Krytycznie o katolickim coachingu dla kobiet napisała kiedyś w swoich mediach społecznościowych inna katoinfluencerka z nurtu tradikatolicyzmu Ewa Niewczasowa (8 tys. obserwujących na Instagramie). W rozmowie z Gabrielą Lisowską na blogu Paryżewo krytykuje też „pastelowy katolicyzm": „Nie przepadam za tymi »pozytywnymi hasłami«, które mają być niby pomocne w budowaniu poczucia własnej wartości, za mnóstwem kobiecych, rzekomo katolickich gadżetów z napisem »Piękna jesteś, przyjaciółko moja...«itp. Nie krytykuję konkretnych osób, ale ich, moim zdaniem, nie do końca właściwe narzędzia, metody".

Ewa Niewczasowa jest autorką „Apologii kobiecości", której przesłanie można streścić w zdaniu: „Niewiasto, Twoje miejsce jest przy... boku mężczyzny". W swoich mediach społecznościowych pisze o tradycji katolickiej, samowychowaniu, kobiecości, macierzyństwie, literaturze.

Na jeszcze innym biegunie jest związana z Konfederacją i Grzegorzem Braunem Natalia R., w mediach społecznościowych znana jako Najjjka (59 tys. obserwujących na Instagramie, pół miliona na TikToku). W lipcu będzie miała kolejny proces, tym razem jest oskarżona o przestępstwo polegające na publicznym pochwalaniu czynu zabronionego. Chodzi o byłego posła Grzegorza Brauna, który zgasił w Sejmie świece chanukowe. W swoim filmiku influencerka stwierdziła, że „stanął w obronie katolików". Zawiadomienie o przestępstwie złożył Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych (OMZRiK), z którym Najjjka od dawna ma na pieńku. Katolicka influencerka zamieściła na swoim profilu wpis, w którym stwierdziła, że „depresja była spowodowana brakiem wiary w Boga". Konrad Dulkowski, szef OMZRiK, w mediach społecznościowych określił opinię Najjjki jako „antynaukową bzdurę". Czując się urażona, Natalia R. pozwała Dulkowskiego za naruszenie dóbr osobistych. I sprawę przegrała. A Ośrodek przy każdej okazji wypomina jej, że ukraińskie kobiety i dzieci, które uciekły przed wojną, porównywała do pasożytów i wyrażała obawę, „że się tutaj u nas zalęgną".

Nie ma wspólnego mianownika dla katolickich influencerek. Jednak ewangelizacja w internecie to nie tylko fakt, ale i coraz większe pieniądze. W sieci pojawi się z pewnością jeszcze więcej głoszących dobrą nowinę – jedni na chwałę Bożą, inni na zasięgi. A doświadczenie mediów społecznościowych dowodzi, że największe dochody mają ci, którzy nie wahają się przed głoszeniem poglądów ostrych i kontrowersyjnych. To wielkie wyzwanie zarówno dla Kościoła katolickiego, jak i dla wiernych.

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 1a5536f9e2

© GRZEGORZ MOMOT/PAP

Po tragedii w Starej Wsi wróciło pytanie: zawinił system czy ludzie? Zdaniem ekspertów chyba bardziej ludzie, bo wciąż panuje przekonanie, że w prywatne sprawy nie wolno się wtrącać.

Niemi, głusi, ślepi

KATARZYNA KACZOROWSKA

Stara Wieś w powiecie limanowskim liczy sobie niespełna 4,5 tys. mieszkańców. Tadeusza Dudę znała zapewne większość z nich, jeśli nie wszyscy. W opisie na Wikipedii można znaleźć dwa historyczne wydarzenia związane z tym miejscem: w 1944 r. w lutym gestapo przy drodze Limanowa – Stara Wieś rozstrzelało 19 więźniów przywiezionych na tę drogę z Nowego Sącza i Krakowa; 81 lat później 27 czerwca 57-letni Tadeusz Duda zastrzelił swoją córkę Justynę, jej męża Zbigniewa i ciężko ranił własną teściową.

Poleje się krew

Ciało mężczyzny z raną postrzałową głowy znaleziono kilka dni później – leżało na drodze przy leśnym parkingu. Do tego czasu policja prowadziła obławę, w której uczestniczyło blisko 800 funkcjonariuszy z różnych garnizonów w kraju, w tym kontrterroryści. Wykorzystano też drony, w tym Bayraktara, śmigłowiec Black Hawk, przeszukiwano domy i zabudowania gospodarcze, nie wykluczając, że zabójca mógł się ukryć w którymś z nich. Dzień po zbrodni, w sobotni wieczór, pojawił się zresztą w okolicy swojego domu i oddał strzały w kierunku obecnych tam policjantów, po czym zniknął. Z kolejnych materiałów dziennikarskich można było się dowiedzieć, że okoliczne lasy zna jak własną kieszeń, że w tych lasach są popartyzanckie kryjówki.

Anonimowi rozmówcy opowiadali, że Tadeusz Duda to nerwus i furiat nieznoszący sprzeciwu, że kłusownik. Szybko okazało się, że rodzina miała założoną Niebieską Kartę z powodu przemocy domowej, której ofiarą była żona mężczyzny. Że zamordowana córka namawiała ją do rozwodu, bo nie mogła znieść tego, jak ojciec ją traktuje. Że córka i teściowa zeznawały w sprawie przeciwko niemu dotyczącej stosowania przemocy fizycznej i psychicznej wobec żony. Że w kwietniu tego roku usłyszał zarzuty dotyczące m.in. znęcania się nad żoną i kierowania gróźb karalnych wobec teściów. Że miał nakaz opuszczenia domu, a dzień przed zbrodnią zapoznał się z aktami prowadzonego przeciwko niemu postępowania. I że ludzie słyszeli, jak odgrażał się, że nie daruje córce Justynie. I nie darował. Jej mężowi, ojcu jego wnuczki, też.

Dr Paweł Moczydłowski, socjolog i kryminolog, emerytowany pułkownik Służby Więziennej, kierujący nią w latach 1990–94: – *Niewielkie społeczności zwykle*

eprasa.pl 1a5536f9e2

wiedzą więcej, niż mówią. Najpierw więc milczą. Potem zwykle ujawnia się coraz więcej szczegółów, ale i tak trudno dotrzeć do wszystkich. A przecież jeśli w tej rodzinie była przemoc, to nie można przyjąć, że nikt o tym w tej wsi nie wiedział. Wiedziano, ale schodzono z drogi despocie. Bo po co się wtrącać, narażać, mieć problemy z policją, sądami, a pewnie i z przemocowym sąsiadem.

Najbliższa sąsiadka postrzelonej teściowej Tadeusza Dudy, jego pierwszej ofiary, opowiadała dziennikarzom „Faktu", już po znalezieniu jego ciała, że nikt go z bronią nie widział, choć wszyscy wiedzieli, że był narwany i przemoc stosował. „Tyle miał spraw o znęcanie, inne dzieci mu podarowały krzywdę, ale Justyna nie. Ona jedna namawiała mamę, by zrobiła z ojcem porządek. Powiedziała do mnie: »Jak mama nie zrobi z tatą porządku, to będzie się krew lała«. Chyba dlatego się na niej zemścił. Trzeba mieć serce z kamienia, żeby do własnego dziecka strzelać" – powiedziała kobieta, przyznając, że we wsi gadali, że Duda zachowywał się, jakby był chory psychicznie, ale nigdy się nie leczył.

U jednego z kolegów sprawcy zbrodni podczas przeszukania domu znaleziono broń. Niezarejestrowaną. Niezarejestrowana była też broń Tadeusza Dudy, z której zamordował swoich najbliższych.

Sędzia Michał Lewoc, wieloletni naczelnik Wydziału ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie w Departamencie Współpracy Międzynarodowej i Praw Człowieka Ministerstwa Sprawiedliwości: – *Za chwilę będziemy obchodzić 20-lecie ustawy o przeciwdziałaniu przemocy domowej, a więc 20 lat działa system cały czas udoskonalany. I z tej perspektywy mogę powiedzieć, że zmieniło się bardzo dużo w rozumieniu tego, czym jest przemoc. Tyle że w działaniach systemowych, bo mentalność zmienia się najwolniej.*

Dla sędziego Lewocy to właśnie mentalność jest czynnikiem kluczowym, który zarazem jest zbyt często pomijany. I od razu podaje dowód, czyli swoją pracę doktorską, w której analizował orzecznictwo sądów powszechnych w sprawach dotyczących przemocy domowej. Lewoc sprawdzał m.in., w jaki sposób służby dowiadują się o tym, że w rodzinach dochodzi do tej przemocy, czyli do przestępstwa.

– *W ponad 90 proc. przypadków to osoby pokrzywdzone informowały policję albo prokuraturę o tym, co się stało. Przyjaciele, znajomi, sąsiedzi – to był dosłownie promil zgłoszeń. Na 500 zbadanych spraw znalazłem dwa takie zgłoszenia* – mówi sędzia Michał Lewoc, dodając, że wciąż w Polakach pokutuje przekonanie, że w rodzinne sprawy się nie wtrącamy. I to przekonanie jest szczególnie silne w społecznościach niewielkich, mniejszych, silnie ze sobą związanych.

Mocniejsze środki

W 2021 r. Lewoc z Instytutem Psychologii Zdrowia, Niebieską Linią opracowali „Czarną księgę przemocy domowej". Autorzy projektu ujawnili wtedy, że państwo nie ma wiedzy na temat tego, ile osób w Polsce traci życie w wyniku przemocy domowej. Dzięki temu udało się zmienić w Ministerstwie Sprawiedliwości formularze statystyczne oraz skłonić prokuratora generalnego do zmiany wytycznych dla prokuratorów w sprawach dotyczących przemocy domowej.

– *Teraz te dane są gromadzone systemowo od 2024 r. Najnowsze są więc z zeszłego roku. I wiemy już, że przypadków śmierci w wyniku stosowania przemocy domowej w rozumieniu ustawy było łącznie 175. Ofiar przestępstw komunikacyjnych było niewiele więcej. Ale to dane tylko z sądów, kiedy sprawca zabójstwa ma proces* – mówi sędzia Lewoc, dodając, że kolejne dane dotyczą zabójstw suicydalnych, które jeszcze kilka lat temu nazywano samobójstwami rozszerzonymi. Tydzień przed zbrodnią w Starej Wsi doszło do takiego zabójstwa w Rabie Wyżnej niedaleko Nowego Targu. 57-letni mężczyzna, któremu postawiono zarzuty znęcania się nad żoną, zastrzelił 45-letnią kobietę z broni czarnoprochowej. Czekał na nią niedaleko domu jej rodziców, dokąd się wyprowadziła. A po zabiciu żony popełnił samobójstwo.

Mec. Grzegorz Wrona, przewodniczący zespołu przy Ministrze Sprawiedliwości ds. analizy zdarzeń, na skutek których małoletni poniósł śmierć lub doznał ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, nie kryje, że w Polsce nie ma rozwiązania systemowego pozwalającego wychwytywać zagrożenie takimi sytuacjami.

– *Mamy kwestionariusz oceny ryzyka, który udostępnia policja. I nie ma w nim punktu, który pozwalałby w sprawach, w których wprowadzono nakazy np. opuszczenia domu czy mieszkania, wychwycić te, które są najbardziej niebezpieczne dla osób doznających przemocy. Co więcej, w kwestionariuszu kryteria szacowania ryzyka pochodzą sprzed 15 lat* – tłumaczy mec. Wrona, dodając, że czas zastanowić się, czy nie powinny one zostać zmienione i czy nie powinien znaleźć się tam punkt, który mówi np., że nakaz opuszczenia domu czy zakaz zbliżania się są niewystarczające. I konieczny jest dalej idący środek izolacyjny. Jaki? – *Areszt* – mówi wprost mec. Wrona.

– *Zajmuję się kwestią śmierci dzieci. Do mojego zespołu wpływa znacznie więcej spraw, niż początkowo zakładaliśmy. Ale jednocześnie w ostatnich dwóch miesiącach przestały docierać nowe zgłoszenia z prokuratur, choć prokuratorzy mają taki obowiązek z mocy tzw. ustawy Kamilka* – przyznaje Grzegorz Wrona, nie kryjąc, że wygląda to tak, jakby prokuratorzy działali jednorazowo, a nie systemowo. I to też jest wyzwanie.

Działać lokalnie

Jednocześnie sędzia Michał Lewoc widzi szansę na to, by zmniejszyć ryzyko takich dramatów jak w Starej Wsi – docierać do tych mniejszych społeczności z dobrą kampanią społeczną, która pozwoli im zmienić sposób myślenia o przemocy domowej, a co za tym idzie, własną postawę wobec niej. Najczęściej milczącą.

– *Fundusz Sprawiedliwości ma ogromne pieniądze. I to jest potencjalne źródło finansowania takiej kampanii. Ja tylko przypomnę, że kiedy w Polsce ruszyła pierwsza kampania społeczna, panował ogólny rechot, że zupa była za słona. Dzisiaj nikt już się nie śmieje.*

Mec. Grzegorz Wrona dodaje: – *Złożyliśmy właśnie raport w sprawie dotyczącej śmierci dziecka. Za miesiąc będzie kolejny. Proponujemy, by po każdym tragicznym zdarzeniu to ludzie w konkretnej gminie usiedli i zastanowili się, co nie zadziałało, jaki był przepływ informacji, czy był wystarczający. Nie wystarczą odgórne wytyczne. Kluczowe są działania oddolne.*

Tadeusz Duda pił. A kiedy wypił, stawał się agresywny. I wiedziała o tym cała wieś, a na pewno sąsiedzi. Ci sami, którzy opowiadali, że chodził do kościoła, był uczynny i miły, grał w kościele na organach. Kiedy córka Justyna zdecydowała się zeznać na policji i w prokuraturze o tym, że znęcał się nad rodziną, szczególnie żoną, wygrażał jej. Nikt jednak tych gróźb nie traktował poważnie. Aż do 27 czerwca. ■

eprasa.pl 1a5536f9e2

Lato plus

Europa jest po pierwszej fali upałów tego lata. Na południu temperatury sięgały 47 st. C, w Polsce przekraczały 35 st. C. Jak przetrwać taki skwar? To pytanie dotyczy wszystkich, ale najbardziej ludzi starszych.

PAWEŁ WALEWSKI

Upał to dla starszych osób nie tylko dyskomfort – to biologiczny stres, który może zamienić letni dzień w walkę o przeżycie. – *Człowiek nie został stworzony do życia w ekstremalnych upałach. Zwłaszcza w naszej szerokości geograficznej, gdzie klimat się ociepla, czujemy się coraz gorzej* – mówi dr Agnieszka Skoczylas, ordynator Klinicznego Oddziału Geriatrii w Szpitalu Wolskim w Warszawie. – *Wszystko w nas się starzeje: skóra, tkanka podskórna, naczynia krwionośne. Mechanizmy adaptacyjne są słabsze, a upał to dla organizmu stres* – tłumaczy.

Badania to potwierdzają. Według autorów pracy z New York University, opublikowanej w „Journal of Epidemiology and Community Health", starsze osoby są bardziej narażone na odwodnienie i przegrzanie, bo po 65. roku życia organizm wolniej reaguje na zmiany temperatury. Mniejsza ilość wody w tkankach, osłabione mechanizmy termoregulacji i często przyjmowane leki (np. diuretyki – leki moczopędne) sprawiają, że upał staje się cichym wrogiem. „To nie jest tylko kwestia poczucia gorąca. To fizjologiczny problem, który może prowadzić do udaru cieplnego, zaostrzenia chorób serca lub nerek" – czytamy we wspomnianym artykule.

A jednak, jak zauważa Alicja Makowska, pielęgniarka i dyrektor operacyjna Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio, aktywność fizyczna pozostaje kluczowa, nawet przy wysokich temperaturach. – *Nie chcemy pacjentów zamykać w czterech ścianach. Ale chodzi o to, by ich aktywność na świeżym powietrzu była dobrze zaplanowana i bezpieczna* – podkreśla.

Aktywność: tak, ale z głową

W upalne dni godziny południowe, gdy słońce zamienia chodniki w patelnie, to najgorszy moment na aktywność. – *Jeśli ktoś chodził na spacery o 13, to teraz musi przestawić się na rano lub wieczór. I skrócić czas wysiłku. Niech będzie pół godziny rano, zanim upał rozgości się na dobre* – radzi. To nie tylko kwestia komfortu. W upale nogi puchną bardziej, zmęczenie przychodzi szybciej, a organizm domaga się odpoczynku.

Seniorzy, którzy są w dobrej formie – jak choćby 70-latkowie pływający regularnie na basenie – mogą stosować te same zasady co młodsi dorośli: unikać słońca, chronić skórę, pić regularnie. – *Bierzemy pod uwagę wiek biologiczny, nie metrykalny. Sprawny 70-latek to jak 50-latek* – zwraca uwagę dr Skoczylas.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Ale już dla osób mniej aktywnych czy obciążonych chorobami każdy ruch musi być precyzyjnie dozowany. I o tym również powinni pamiętać opiekunowie osób starszych (na stronie: www.bliskochorego.pl przygotowanej przez pracowników Puckiego Hospicjum można znaleźć zestawy ćwiczeń dla pacjentów w domu).

Choć pocenie umożliwia odparowanie wody i oddanie nadwyżki ciepła, to kiedy powietrze jest przesycone wilgocią, przestaje tę wodę odbierać. Udary cieplne biorą się właśnie stąd, kiedy ciepło powstające w organizmie nie może zostać rozproszone. Objawy wyczerpania cieplnego często są ignorowane, bo przypominają zwykłe zmęczenie na skutek odwodnienia: bóle i zawroty głowy, przyspieszenie oddechu. Nie jest to stan poważny, jeśli możemy się schłodzić w ciągu pół godziny. Należy przenieść się w chłodniejsze miejsce, zdjąć wszystkie niepotrzebne ubrania (również skarpetki), zachęcić osobę starszą do wypicia napoju izotonicznego lub hipotonicznego, w ostateczności chłodnej wody, i schłodzić jej skórę (spryskaj chłodną wodą i wachluj; dobre są też zimne okłady, owinięte w szmatkę i włożone pod pachy lub na szyję).

Przedłużające się wyczerpanie może się przerodzić we wspomniany udar cieplny i jest to już stan, w którym temperatura ciała przewyższa 40 st. C, a organy wewnętrzne zaczynają się wyłączać jak przegrzane maszyny. Objawy? Gorąca, sucha skóra, dezorientacja, przyspieszony puls, drgawki, czasem utrata przytomności. Zaczyna się wyścig z czasem – jeśli nie nastąpi szybkie schłodzenie, może dojść do uszkodzenia mózgu, nerek, a nawet śmierci. Dlatego, jeśli po 30 min odpoczynku w chłodnym miejscu ktoś nadal źle się czuje z powodu upału, należy natychmiast wezwać służby ratunkowe.

Nawodnienie: misja (prawie) niemożliwa

Jeśli jest coś, co spędza sen z powiek opiekunom seniorów, to ich niechęć do picia wody. – *U starszych osób ośrodek pragnienia jest zaburzony* – tłumaczy dr Agnieszka Skoczylas. To nie metafora, to fizjologia. Z wiekiem mózg przestaje wysyłać wyraźne sygnały „pij!", zwłaszcza u osób z demencją i mniejszą aktywnością. W upale, gdy organizm traci więcej płynów przez pot, to prosta droga do odwodnienia.

Jednak na pytanie, ile powinien pić senior, nie ma jednej odpowiedzi. Minimum to półtora litra dziennie – i to podzielonego na małe porcje. Nie dzbanek naraz! Jeśli ktoś nie chce pić, są różne triki, jak dodanie do wody cytryny, przygotowanie miętowej herbaty czy wyciskanych soków owocowo-warzywnych. Zwykłą wodę warto urozmaicić. Tylko trzeba pilnować, aby napój nie był za słodki, bo wysokie stężenie cukru też może zadziałać odwadniająco.

Dr Skoczylas zwraca uwagę, że osoby starsze mają słabszy smak i węch, więc zamiast czystej wody chętniej wypiją nawet rozcieńczony nią sok: – *Dobra może być też smakowa herbata, która będzie lepiej pachniała niż zwykła czarna. Herbatki ziołowe nie są jednak wskazane. Zioła to wszakże też leki, które często powodują, że te przepisane przez lekarza mogą działać albo za słabo, albo za silnie. Na przykład dziurawiec, chętnie stosowany przez osoby starsze na wątrobę – nie tylko osłabia działanie wielu leków, lecz również wywołuje nadwrażliwość na słońce.*

Ilość płynów w diecie można też uzupełniać, spożywając świeże warzywa i owoce. A tych akurat latem mamy pod dostatkiem, warto więc sięgnąć po jabłka, gruszki, winogrona, arbuzy, a także ogórki czy pomidory.

Dla wielu jednak namówienie seniora, by regularnie w ciągu upalnego dnia sięgał po szklankę z napojem, to spore wyzwanie. O praktyczną poradę w tej materii poprosiliśmy Magdalenę Osińską-Kurzywilk, która jest specjalistką pielęgniarstwa geriatrycznego, szefową Koalicji Na Pomoc Niesamodzielnym i prezeską Fundacji Przemijanie, niosącej pomoc właśnie ludziom starszym w ich domach. Jak opowiada, nieraz zdarza się, że rodziny stawiają przed babcią półtoralitrowy dzbanek wody i zostawiają ją z nim na cały dzień, co niczego nie rozwiązuje. Lepiej napełniać małe szklanki wodą i rozstawiać je w różnych miejscach w domu – tak, aby nawadniała się małymi łykami stale, tam gdzie akurat przysiądzie.

Dr Skoczylas proponuje jeszcze bardziej pragmatyczne podejście, które w fachowej nomenklaturze nazywane bywa „opiekuńczą obecnością": – *Trzeba nieraz za seniorem chodzić z kubeczkiem. Albo proponować mu wypicie paru łyków przy* ▶

© AI/SHUTTERSTOCK

REKLAMA

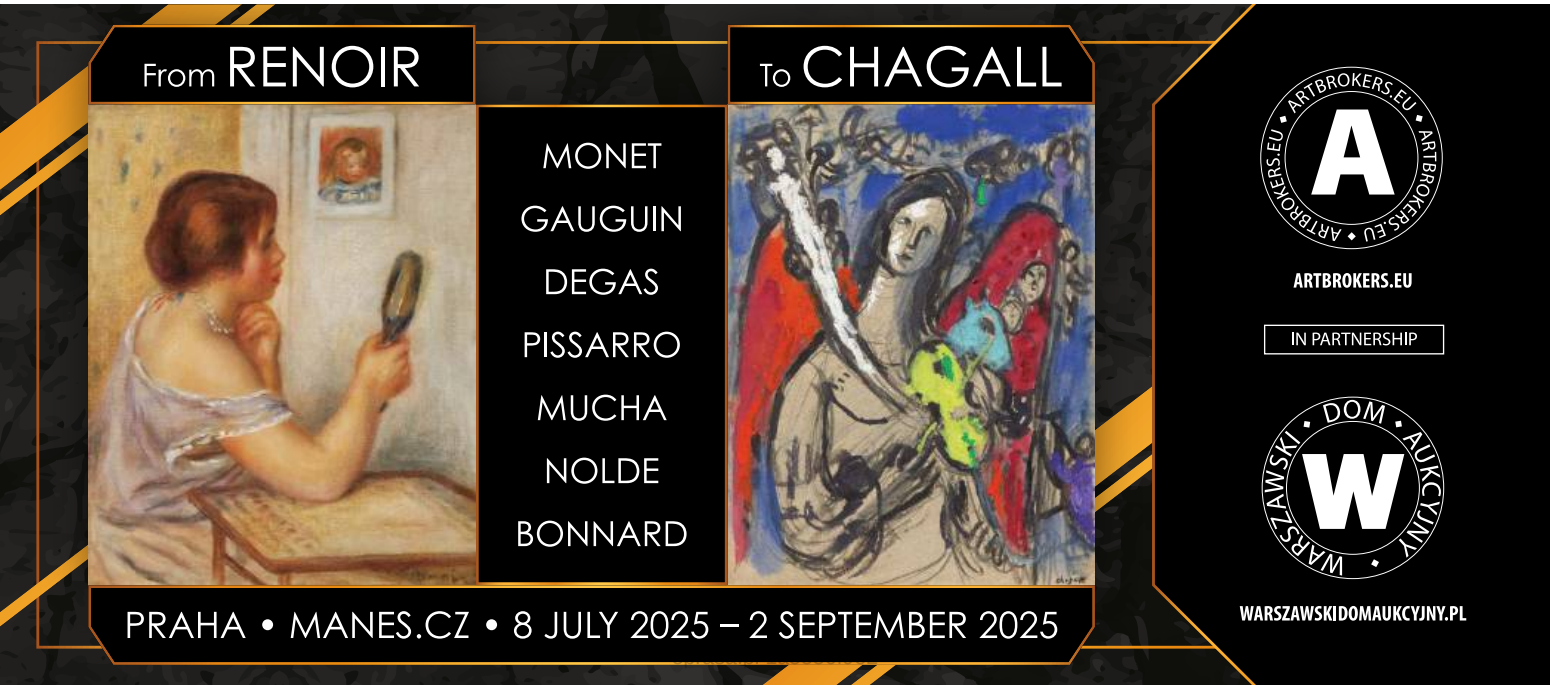

▶ *wspólnym spędzaniu czasu: oglądaniu telewizji, rozwiązywaniu krzyżówek, rysowaniu lub układaniu puzzli.*

A jak sprawdzić, czy ktoś jest odwodniony? – *Poproś, by pokazał język. Jeśli jest suchy, matowy, pobrużdżony, trzeba pić. Albo sprawdź fałd skórny na czole lub pod obojczykiem. Jeśli skóra nie wraca od razu do normy, wolno się rozprostowuje, to znak, że organizm potrzebuje płynów* – instruuje geriatra.

Obrzęki: letni koszmar

Co istotne, z płynami nie można też przesadzić, bo w upale łatwo o obrzęki, zwłaszcza u pacjentów z problemami krążenia. Naczynia się rozszerzają, krew krąży wolniej, woda gromadzi się w tkankach. Krew zalega w naczyniach, zwłaszcza w nogach, co prowadzi do opuchlizny i bólu. Obrzęk to efekt zaburzenia równowagi – między tym, co przesiąka z naczyń włosowatych, a tym, co się do nich z powrotem wchłania.

Jak z tym walczyć? Paradoksalnie – ruchem. Jak powiadają lekarze, jest to najtańszy lek na przewlekłą niewydolność żylną. Nie chodzi o podnoszenie ciężarów, ale o spacery. Po takim wysiłku dobrze ułożyć się z nogami lekko uniesionymi (bo grawitacja i leniwe krążenie winne są opuchniętym stopom). Można też wspomagać się sprzętem: balkonikami z siedziskiem czy rowerkami rotacyjnymi, które pomagają rozruszać nogi bez nadmiernego obciążenia. Pomocne są też preparaty z diosminą lub wyciągiem z kasztanowca – ale o ich włączeniu powinien zadecydować lekarz.

Obrzęki mogą być też efektem zbyt ubogiej diety. Zwraca na to uwagę dr Skoczylas: – *Jeśli w diecie występuje niedobór białek, które odpowiadają za utrzymanie odpowiedniego poziomu nawodnienia w organizmie, czyli właściwego ciśnienia osmotycznego w naczyniach, ryzyko odwodnienia znacząco wzrasta.*

U osób młodszych często dochodzi do „przebiałczenia organizmu", co niekorzystnie wpływa na pracę nerek, ale u seniorów sytuacja może być odwrotna. Ich mechanizmy adaptacyjne są osłabione i mniej skuteczne. Z czasem mogą one ulec wyczerpaniu, dlatego tak ważne jest, by zwracać na uwagę na urozmaiconą dietę.

Osłabiony organizm, na jakiejś niepotrzebnej głodówce, na skutek spadku poziomu cukru, narażony będzie na większe ryzyko omdlenia. Jest to krótkotrwała utrata przytomności, którą mogą poprzedzać zawroty głowy, zaburzenia widzenia (charakterystyczne ciemne mroczki przed oczami), kołatanie serca i nudności.

Co robić, gdy czujesz, że ci słabo? – to rady nie tylko dla seniorów. Najważniejsze: nie staraj się wytrzymać na stojąco za wszelką cenę! Zrób wszystko, aby nie upaść, ponieważ w przypadku omdleń najniebezpieczniejsze są urazy przy upadkach. Jeśli stoisz, oprzyj się o coś, a najlepiej usiądź lub kucnij na piętach i podeprzyj się rękami (w tej pozycji nie przewrócisz się na twarz, tylko na bok). Jeśli siedzisz, pochyl się do przodu i schowaj głowę między kolana. Jeśli dasz radę się położyć, wtedy ukrwienie mózgu powinno szybko dojść do stanu prawidłowego – ale leż spokojnie i nie wstawaj. Do osoby, która zemdlała na ulicy, w kościele, w sklepie, należy wezwać pogotowie. Jeśli natomiast jesteś świadkiem czyjegoś omdlenia, sprawdź, czy przytomność wróciła po ok. 30–60 sek. Jeśli nie – trzeba rozpocząć reanimację.

Nie stawiaj ani nie sadzaj na siłę osoby, która osunęła się na ziemię. To może pogłębić niedokrwienie jej mózgu! Nie unoś nóg do góry osobie, która straciła przytomność. Jest to dozwolone ewentualnie u ludzi młodych, bo jeśli utrata przytomności jest na skutek wylewu, który częściej przytrafia się ludziom starszym, uniesione do góry nogi spowodują zwiększony dopływ krwi do mózgu i może to pogorszyć ich stan! Nie wlewaj nieprzytomnemu do ust wody (owszem, można napoić, ponieważ podczas upałów częste są omdlenia z powodu odwodnienia, ale tylko osobę, która może już samodzielnie się napić) i nie podawaj żadnych leków. Osoby, które odzyskały przytomność, nie powinny szybko zmieniać pozycji. Pionizacja powinna przebiegać w powolnych etapach, przy asekuracji świadków zdarzenia, czyli osób udzielających pierwszej pomocy.

Psychika: walka z „nie chce mi się"

Wreszcie: upał to wyzwanie nie tylko dla ciała, lecz również dla kondycji psychicznej. Agnieszka Skoczylas: – *Osoby starsze, które wymagają opieki, są trudne. Trzeba z nimi współpracować, zachęcać. To żmudne, ale skuteczne* – mówi. Seniorzy, którzy mają wsparcie – czy to rodziny, czy opiekunów – lepiej sobie radzą z letnimi wyzwaniami. Samotność to dodatkowe ryzyko.

PAWEŁ WALEWSKI

Praktyczne rady: jak przeżyć lato?

Podsumujmy, zanim wszyscy rzucimy się do lodówki po zimny kompot.
Oto, co radzą eksperci i co wynika z najnowszych badań:

Aktywność: ruszaj się, ale nie w południe. Rano lub wieczorem, w cieniu, krócej niż zwykle. Sprawni seniorzy mogą pływać i chodzić na dłuższe spacery, ale z umiarem. W domu – proste ćwiczenia jak zginanie nóg.

Nawodnienie: minimum 1,5 l płynów dziennie, w małych porcjach. Woda, herbaty smakowe, rozcieńczone soki, owoce. Sprawdzaj język i fałd skórny, by wykryć odwodnienie.

Obrzęki: nogi w górę po wysiłku, unikaj stania. Dieta bogata w białko i ruch wspomagany sprzętem do ćwiczeń.

Ochrona: czapka lub kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, lekka odzież. Unikaj słońca, szukaj cienia lub delikatnej klimatyzacji. Chroń przed słońcem odsłoniętą skórę. Nadużyciem są reklamy kremów sugerujące pełną ochronę, bo nie istnieje, eksponowane na niektórych opakowaniach pojęcie „total block" – najlepsze mogą zatrzymać 97 proc. promieniowania UVB, ale tylko 50–60 proc. UVA.

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl 1a5536f9e2

Plecak w pustostanie

Gdy jesteś młody, bezdomny zazwyczaj stajesz się z dnia na dzień. Nie masz kiedy wypracować historii swojego nieszczęścia, bankructwa, nałogu, rozpadu związku. Ani czasu, żeby się przygotować na to, co będzie.

JOANNA CIEŚLA

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Przemka wyrzuciła z domu matka. Dokładniej: z mieszkania w warszawskim bloku. Dosłownie. Razem z partnerem otworzyli drzwi wejściowe, popchnęli 19-latka na korytarz i zamknęli drzwi. Był czerwiec, Przemek skończył liceum. Matka dała mu miesiąc na podjęcie pracy. Nie podjął. Ma spektrum autyzmu. O emocjach mówi niechętnie. Ale z pierwszej nocy mało kto pamięta emocje. Skupiasz się na tym, dokąd możesz iść. Przemkowi było o tyle trudno, że nie miał telefonu. Pojeździł autobusami, dotarł do kolegi. Jedną noc przespał u niego, potem znowu jeździł.

Vanessa poszła do koleżanki. Przedtem, w złości, spakowała rzeczy w jasnofioletowy plecak. Krótko wcześniej skończyła 18 lat. Wychowana w rodzinie zastępczej. Od dziecka pamięta, że było tam nerwowo, awantury, szarpaniny. – *Po którejś kłótni z mamą przez dwa tygodnie się nie odzywałyśmy, a ja pomyślałam: „Jestem dorosła, dłużej tak nie muszę”*. Mama tamtej koleżanki sama Vanessę zaprosiła – do dwupokojowego mieszkania, w którym mieszkały już we trzy, z jeszcze jedną córką.

Patryk spał w śmietniku. Wcześniej mama dała mu w twarz, z liścia. Chodził po dworze przez cały dzień, na noc położył się do altany z kubłami. Patryk pił, sporo, w miejscach publicznych, złapała go kiedyś policja. A mamę wyzywał. Nie pomagał, nie pracował, nie dokładał się do rachunków – sam płynnie recytuje listę przewin. Ma orzeczenie o niepełnosprawności w stopniu umiarkowanym, na intelekt. Ale uczucia umie nazwać. Za mamą tęskni. Nie może spać po nocach, bo cały czas mu się śni. Na ulicy nocował też Sebastian, aktualnie lat 22, student kulturoznawstwa. A także Ola, obecnie lat 24, szefowa kuchni w stołecznej knajpce. Pijemy kawę w soczystej zieleni ogródka Domu dla Młodzieży Fundacji po DRUGIE, w warszawskim Wawrze.

W Domu jest duży salon, kuchnia i pięć sypialni, w każdej od dwóch do czterech łóżek. Urządzone w pastelach, jak zwyczajne pokoje nastolatków. Fundacja po DRUGIE to jedna z nielicznych ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ organizacji, które pomagają młodym osobom dorosłym w kryzysie bezdomności. Jedyna, która robi to kompleksowo. Ola i Sebastian przyszli w odwiedziny, już tu nie mieszkają. Spośród 13 obecnych mieszkańców ktoś rozmawia z nami, ktoś sprząta po obiedzie. Inni pracują albo zajmują się swoimi sprawami na mieście. Muszą wrócić o ustalonej porze. To jedna z wywieszonych na korkowej tablicy zasad domu. Obok tej, że trzeba być trzeźwym, i tej na przykład, że mieszkańcom nie wolno pracować w Żabce. Bo sprzedaje się tam dużo alkoholu i jest miejscem podwyższonego ryzyka dla osób, które jeszcze niepewnie stoją na własnych nogach. Ogólnie – pracować należy i dokładać się do budżetu. Chyba że ktoś się uczy w trybie dziennym.

Dach oprócz porady

Według danych z ostatniej edycji prowadzonego na zlecenie Ministerstwa Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych z 2024 r., w tej sytuacji jest 1022 ludzi między 18. a 25. rokiem życia, najmłodszych dorosłych. To o ponad jedną czwartą więcej niż w 2019 r. Wówczas naliczono ich 784. Jednak naukowcy, działacze społeczni, a nawet politycy zgodnie przyznają, że metoda badania jest niedoskonała, a wyniki są mocno zaniżone.

– *Uwzględnione są tylko osoby, które w tę konkretną zimową noc, gdy odbywa się liczenie, przebywają w noclegowniach czy schroniskach, ewentualnie w znanych spisującym miejscach jak pustostany albo altany na działkach* – podkreśla posłanka Marcelina Zawisza z Partii Razem, przewodnicząca sejmowego zespołu ds. zakończenia bezdomności. A najmłodsi dorośli bez domów spędzają tygodnie kątem u kolegów albo przesiadują dni w galeriach handlowych, ubrani w czyste kurtki i czapki z daszkiem. Według szacunków przytoczonych w raporcie z 2023 r. „Dodaj mnie. Bezdomność młodzieży i młodych dorosłych w Polsce", autorstwa Mariusza Granosika, Marka Motyki i Renaty Szczepanik, „policzone" młode osoby zmagające się z bezdomnością mogą stanowić od 2,6 proc. do nawet 11,4 proc. wszystkich, których dotyka ten kryzys.

– *Tylko nasza fundacja pomaga ok. 300 osobom rocznie, a działamy w jednym mieście. Raczej nie jest możliwe, że dociera do nas jedna trzecia bezdomnych młodych ludzi z całego kraju* – zauważa Agnieszka Sikora, która założyła Fundację po DRUGIE 14 lat temu.

Agnieszka Sikora, przez kilkanaście lat dziennikarka, zamierzała pomagać młodym ludziom po placówkach resocjalizacyjnych. – *Wyobrażałam sobie, że wesprzemy ich doradztwem zawodowym, pomocą psychologiczną i rzeczową. Ale okazało się, że tym osobom przede wszystkim potrzebne są możliwości mieszkania.* Fundacja obok prowadzenia Punktu Pomocowego zaczęła organizować mieszkania treningowe, powstał też Dom dla Młodych Mam i Dom dla Młodzieży.

A wśród zgłaszających się po wsparcie zaczęło przybywać osób, które nie miały poważnych problemów z prawem, ale zostawały na lodzie, wchodząc w pełnoletność po dzieciństwie spędzonym w domu dziecka, czasem w rodzinie zastępczej. A potem osób, które nigdy nie przewinęły się przez żadne instytucje. Żyły w swoich domach, w których często – choć nie zawsze – pojawiał się problem alkoholizmu lub przemoc. A same te osoby często spełniały kryteria tzw. demoralizacji. Teoretycznie mogłyby dochodzić swoich praw do mieszkania na drodze sądowej, ale w praktyce się to nie zdarza (kadrze Domu zdarza się natomiast wspierać podopiecznych w dochodzeniu alimentacji).

Na przykład Sebastian, wychowywany w „normalnym" domu przez babcię (po śmierci mamy), w gimnazjum zaczął eksperymenty z substancjami. Po liceum wyjechał do Holandii, gdzie – jak mówi – totalnie popłynął w narkotyki. Wrócił do Polski, ale rodzina się go bała. Nawet Monar nie chciał podjąć się terapii, bo Sebastian nie był w stanie przyswoić zasad. Nocował w ruderach, wśród stosów desek i gnijących kanap.

Albo Ola, której rodzice kazali z domu wyp...ć, gdy skończyła 16 lat. Nikt się nie połapał. Chodziła do szkoły, zarabiała w gastronomii, spała u koleżanki, potem zamieszkała z chłopakiem. Okazał się przemocowcem. Gdy wybuchła pandemia, zaczęła pracę w domu seniora, z zamieszkaniem. Ale praca tam nie kończyła się nigdy. Próbowała negocjować warunki, znów kazano jej wyp...ć. I tak stała się osobą w kryzysie bezdomności. Czyli kim?

Badacze tematu przyznają, że nie ma jednej uniwersalnej definicji bezdomności, ale pewne elementy powtarzają się w opisach. Dr Marek Motyka z Uniwersytetu Rzeszowskiego wymienia m.in. „brak stałego lub odpowiedniego miejsca zamieszkania, brak dostępu do podstawowych usług, brak więzi społecznych, wsparcia rodzinnego i instytucjonalnego, brak poczucia własnej wartości i tożsamości, wysokie ryzyko przemocy, chorób, wykorzystania i dyskryminacji". Socjolog zauważa, że jeszcze pod koniec poprzedniej dekady doświadczanie bezdomności przez osoby najmłodsze kojarzono głównie z krajami Ameryki Środkowej, Południowej, czasem Azji. W Polsce dopiero w 2019 r. podczas jednego z seminariów zasygnalizowano, że liczba osób do 26. roku życia pozbawionych stabilnego miejsca zamieszkania niepokojąco rośnie.

Definicja dorosłości na tym tle jest z kolei tak prosta, że aż zastanawiająca. Po prostu kończysz 18 lat i z dnia na dzień nabywasz wszystkich praw i odpowiedzialności. Nie powinieneś niczego od nikogo oczekiwać, masz radzić sobie ze światem. Bez względu na to, co wcześniej od niego dostałeś.

Czyj jest dorosły?

Kilka lat temu, mniej więcej w okolicy pandemii, po raz kolejny zmieniła się grupa szukających wsparcia w Fundacji po DRUGIE. Teraz na regale w pokoju opiekuna w Domu dla młodzieży stoi 10 koszyczków opisanych imionami. Są w nich leki psychiatryczne. 10 koszyczków przy stanie 13 mieszkańców. Opiekunki podkreślają, że większość korzystających dziś ze wsparcia to osoby, które lądują na ulicy z powodu problemów ze zdrowiem psychicznym. Anna Krystopik, pracowniczka socjalna, która poza Domem dla młodzieży od lat zajmuje się bezdomnością, pracując m.in. w noclegowni, widzi, że w rodzinach słabną więzi. Ale gdzie jest granica między zdrowym „odpuszczaniem" odpowiedzialności za innych a zostawianiem bliskich sobie samym?

– *Zdarza się, że w mediach społecznościowych piszę np. o 22-latku, który ma jakiś problem, i zżymam się, że rodzice się nie przejmują. A potem pojawiają się komentarze „22-latek? Jest przecież dorosły!". No, ma dowód osobisty, jest dorosły. Ale jest też skrajnie niezaradny życiowo* – opowiada Agnieszka Sikora. Z jej perspektywy widać, że rośnie skłonność do przekazywania dzieci „do kogoś, kto je naprawi". – *Mamy pod opieką nastolatków, którzy zostali jako dzieci adoptowani, a po latach ich rodzice mówią: „W naszej rodzinie nigdy nie było takich problemów". Czasem*

eprasa.pl 1a5536f9e2

słyszymy: „On w domu nie robił nic, tylko się szlajał z menelami; zajmijcie się nim, bo jest niedobry". A to 19-latek z niepełnosprawnością umysłową i problemami zdrowia psychicznego. I nigdy nie był leczony. Zdarza się, że mama przyjeżdża do dziecka, które mieszka w Domu, dobrym samochodem, z rasowym psem, ubrana w futro. W odwiedziny. I nawet nie pyta, za co utrzymywany jest tutaj jej syn.

Działaczki zaznaczają, że część rodziców współpracuje i wspiera Dom. – *Znamy też osoby, które nie poradziły sobie w trudnościach z dziećmi, choć próbowały. Ale nie są wykształcone, nie wiedziały, gdzie szukać pomocy, nie miały asystenta rodziny, a instytucje, zaczynając od szkół, ignorowały problemy* – dodaje Agnieszka Sikora. Faktem jest, że większość ludzi nie wie, co robić, gdy młody lub młoda zaczynają brać narkotyki, uzależniają się, wynoszą rzeczy. Wiemy, że „to się leczy", ale gdzie? Co robić, gdy przychodzą naćpani? Polski system wsparcia także rodziców – zbyt często – zostawia samym sobie.

Na drabince strach

Początkującym bezdomnym polski system oferuje to, co zaawansowanym, czyli tzw. drabinkę wsparcia. Jeśli są pod wpływem, mogą przesiedzieć dzień w ogrzewalni. Dalej jest noclegownia, do której wstęp mają tylko trzeźwi. Kolejny szczebel, też tylko dla trzeźwych, to schronisko z całodobowym zakwaterowaniem i posiłkami. Trzeba ponosić opłaty i podpisać kontrakt zobowiązujący do pracy nad sobą. Ale to opcje skierowane z założenia do osób w wieku 40–50 plus. Nie przystają do potrzeb młodszych. Kojarzą się z piętnem porażki i patologii.

Vanessa, która od 19. roku życia mieszkała u rodziny koleżanki, potem przeniosła się do kolejnej. W końcu i u niej też nie mogła już mieszkać. – *Ale noclegowni za bardzo się bałam. Uważałam, że to nie jest odpowiednie miejsce dla młodej dziewczyny.* Przesiadywała na ławce, jeździła autobusami, żeby w cieple i w miarę bezpiecznie złapać trochę snu. Ale i tak wciąż się bała, głównie o plecak z całym dobytkiem. I że złapie ją straż miejska. Pochodzi z małego miasta. Wbrew pozorom właśnie w takim łatwiej się ukryć. Nie ma streetworkerów, jak w Warszawie, wyczulonych na młodych z kolorowymi plecakami lub walizkami na kółkach, którzy przez wiele kolejnych dni „podróżują" po tych samych ulicach.

Podobnie Ola, wyrzucona z domu jako 16-latka, która z pomocą Fundacji po DRUGIE zdążyła stanąć na nogi i wynająć mieszkanie, które spłonęło. Jej też system pomocy społecznej nie był w stanie nic zaoferować. Nocowała w lesie, przy ognisku, kupiła kiełbasę. Po kilku dniach znów zgłosiła się do fundacji. Zgłosiła się też Vanessa.

Na niektóre życiowe sytuacje system nawet nie próbuje odpowiadać. Kilka dni temu do Domu trafił 18-latek wychowany w domu dziecka. Choruje na schizofrenię, był w szpitalu. Szpital nie miał go dokąd wypisać. Jedyną opcją było schronisko dla bezdomnych mężczyzn. Dwa dni później do Domu zadzwonił inny 18-latek, ze szpitala psychiatrycznego w Białymstoku. Osoba transpłciowa po próbie samobójczej. Rodzina jest na miejscu, ale go nie akceptuje. Lekarz przyznaje, że chłopak nie powinien tam wracać. Ale też, że o relację z bliskimi można i warto powalczyć. Więc nawet Dom w Warszawie nie rozwiąże tej sprawy.

W mieszkaniu samotnie

Gdyby chłopak z Białegostoku miał szczęście, mógłby wskoczyć na szczyt drabinki i otrzymać mieszkanie socjalne. Jednak samodzielne gospodarstwa dla bardzo młodych często okazują się zbyt głęboką wodą. Fundacja po DRUGIE też od tego zaczynała. Ola w samodzielnym mieszkaniu treningowym z niewielkim wsparciem radziła sobie świetnie. Ale dla wielu innych lepiej jest, gdy mogą trochę pobrodzić przy brzegu: nauczyć się sprzątać, gasić światła i przyjmować leki. Sebastian potrzebował asekuracji w terapii uzależnień, Vanessa – w leczeniu depresji, Przemek i Patryk też jeszcze będą potrzebować uwagi i obecności innych. Spośród prawie 100 osób, które przewinęły się przez Dom dla Młodzieży w 2023 r., połowa skorzystała z szans. Przeszły do mieszkań treningowych, wróciły do domów lub zaczęły stacjonarne leczenie uzależnień. Większość pozostałych na razie trwa w różnych formach życiowego zawieszenia.

Dlaczego nie ma więcej Domów dla Młodzieży, w innych częściach Polski? Najprościej powiedzieć: przez pieniądze. Roczny koszt utrzymania domu zamieszkiwanego przez kilkanaście osób to ok. 700 tys. zł, w co wchodzi opłata za wynajem na wolnym rynku, 24-godzinna opieka, wyżywienie itd. To podobne kwoty jak w instytucjonalnych domach dziecka. Tam na jednego wychowanka przeznacza się zwykle minimum 7 tys. zł miesięcznie. Fundacja w pewnym zakresie korzysta ze wsparcia publicznego, w wydatkach partycypują mieszkańcy, pomagają sponsorzy. Jednak upowszechnienie takiego modelu wymagałoby wielkiego wysiłku. Państwo z budżetu centralnego wydaje na pomoc osobom w kryzysie bezdomności 5,5 mln zł rocznie. Organizacja systemu spoczywa przede wszystkim na samorządach, które – jak wiadomo – ostatnio na nic nie mają pieniędzy. Większe miasta przeznaczają na te zadania po kilka, kilkanaście milionów złotych rocznie.

Posłanka Marcelina Zawisza podkreśla, że młode osoby bezdomne to szczególna grupa. Według Europejskiej Federacji Krajowych Organizacji Pracujących z Ludźmi Bezdomnymi (FEANTSA) bezdomność młodzieży „jest przede wszystkim wynikiem niesprawiedliwości społecznej". Jest jeszcze i ten argument, że potrzebujemy młodych ludzi jako państwo i jako gospodarka. A ich ubywa – wiadomo, kryzys demograficzny. Jednocześnie przybywa też młodych bezdomnych. Vanessa, Ola, Sebastian i ich koledzy, pytani, co myśleli i czuli, gdy została im ławka w parku, pustostan i autobus, mówią o kołaczącym się po głowie zdaniu: „Tak jest na chwilę, zaraz się to odwróci". Ale im dłużej jest się bez domu, tym rzadziej to zdanie wraca. Trzeba zdążyć, zanim całkiem ucichnie.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 1a5536f9e2

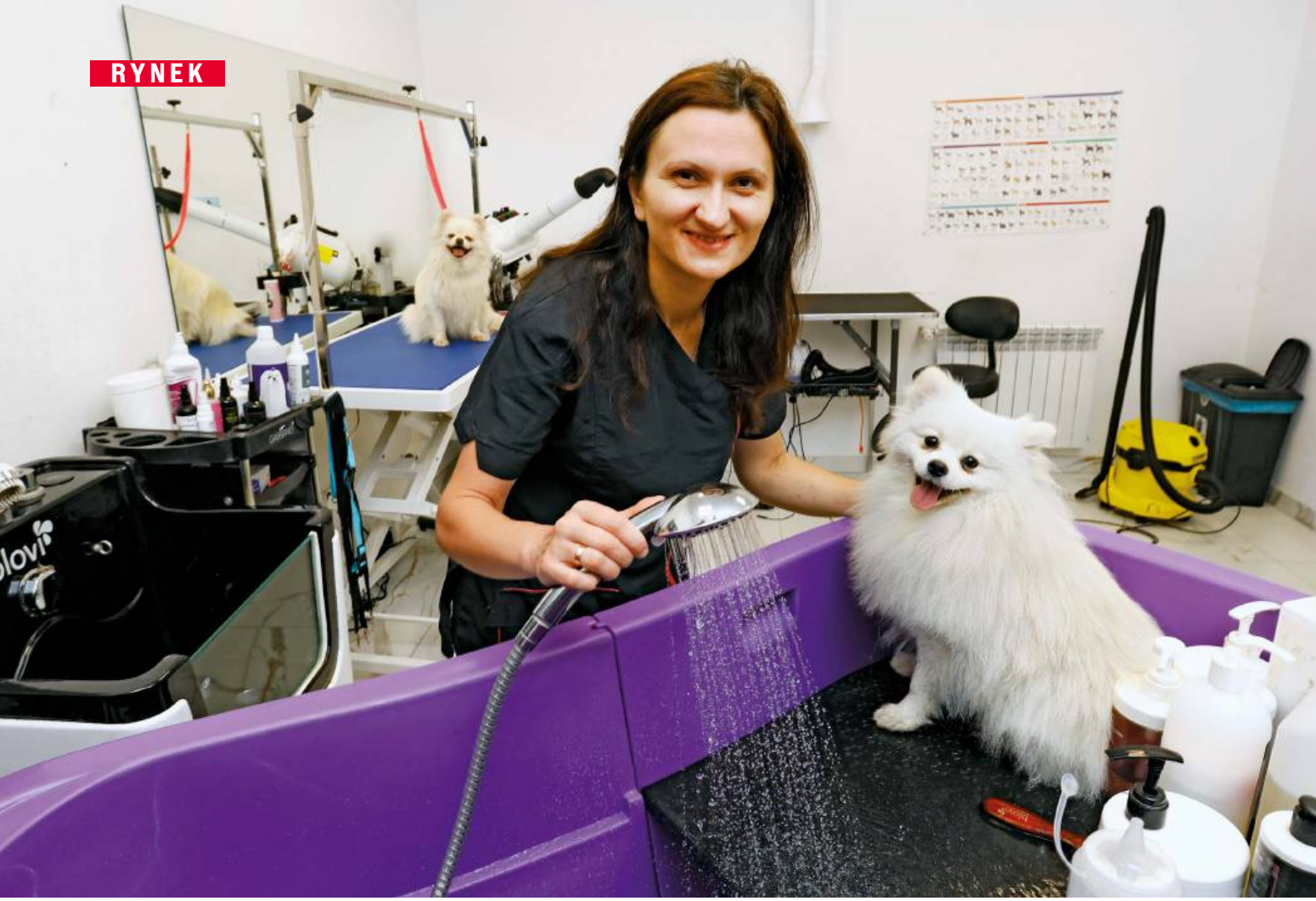

Makrobóle mikrobiznesu

Mamy w Polsce półtora miliona małych firm. Ich właściciele to duży elektorat. Kiedyś popierali PO albo Hołownię, ostatnio przerzucają się na Konfederację. Czego w ogóle oczekują od polityków?

MARCIN PIĄTEK

Polska przedsiębiorczość robi wrażenie. Przynajmniej w liczbach. Według Głównego Urzędu Statystycznego z 5,3 mln zarejestrowanych w kraju działalności gospodarczych ponad 5,1 mln stanowią tzw. mikrofirmy, zatrudniające poniżej 10 pracowników. Z tym że większość z nich – ponad 3,7 mln – to jednoosobowa działalność gospodarcza. Czyli głównie ucieczka zarabiających w podatek liniowy zamiast progresywnego, jak również efekt presji ze strony pracodawców podsuwających podwładnym umowy b2b, aby ściąć po swojej stronie koszty utrzymywania pracowników. Tych prawdziwych małych biznesów jest półtora – dwa miliony.

Czy Polska to dobry kraj do prowadzenia własnego biznesu? Osobista perspektywa zależy przede wszystkim od tego, jak ów biznes się kręci. Dla początkujących najważniejsze to wstrzelić się w niszę albo wskoczyć na wznoszącą falę. I utrzymać na niej, nawet gdy wyda się dotacje z urzędu pracy (prawie 50 tys. zł) albo z funduszy unijnych (lista programów wsparcia znajduje

eprasa.pl 1a5536f9e2

Zbigniew Dróżdż z Miastka prowadzi m.in. firmę spedycyjną. Po lewej: **Tetiana Nikolaichuk, właścicielka salonu piękności dla psów w Garwolinie.**

się na stronie internetowej funduszeeuropejskie.gov.pl). Jak również, gdy po dwóch latach działalności wypada się z systemu płacenia preferencyjnych składek na ZUS.

Tetiana Nikolaichuk prowadzi w Garwolinie salon piękności dla psów: – *Kiedyś pracowałam na produkcji. Ale dwa lata temu poszłam na swoje, zrobiłam odpowiednie kursy, cały czas się zresztą doszkalam. ZUS właśnie mi skoczył do prawie 1,8 tys. zł miesięcznie. Lokal wyremontowałam, jego właściciel zaliczył mi koszty na poczet czynszu, ale to już też się skończyło i od lipca będę płacić 1,7 tys. zł miesięcznie. Zatrudniam jedną osobę, pracujemy sześć dni w tygodniu, czasami nawet do 21, zgodnie z życzeniem klientów. A w domu dwójka małych dzieci* – opisuje twarde realia utrzymywania się na biznesowej powierzchni.

Michał z Łodzi od ponad 15 lat prowadzi firmę zajmującą się rachunkowością oraz doradztwem podatkowym. Zatrudnia ośmioro pracowników, połowa to studentki (dzięki czemu nie płaci za nie składek ZUS, a ich wynagrodzenie jest nieopodatkowane). – *Mają umowy-zlecenia, określoną stawkę godzinową. Ich koszt to dla mnie 3 tys. miesięcznie. Jedna z nich kończy studia, sprawdziła się i chce zostać. Przy pensji 4 tys. na rękę będzie mnie kosztować prawie 6,5 tys.* – mówi.

Firma Michała rozlicza obecnie niemal stu przedsiębiorców – od jednoosobowych działalności gospodarczych (głównie informatycy i programiści) do zakładów produkcyjnych zatrudniających kilkudziesięciu pracowników. Mówi, że problemów i wyzwań mikrofirm nie da się wrzucić do jednego worka. – *Zależą choćby od sytuacji w ich branży, aktualnych kosztów, od wypłacalności kontrahentów czy operatywności właścicieli i rzetelności pracowników.* Największą zmorą dla przedsiębiorców zdaniem Michała wciąż są zatory płatnicze i nierzetelność partnerów biznesowych. – *Już parę firm, które obsługiwałem, położyli nieuczciwi kontrahenci. Bywa, że spada to jak grom z jasnego nieba. Jest jakieś biuro, pracownicy, normalna działalność, po czym kasa nie wpływa, zaniepokojeni wierzyciele jadą na miejsce i zastają pusty lokal* – opowiada.

Problem kilka lat temu doczekał się reakcji legislacyjnej – uchwalono tzw. ustawę antyzatorową, na mocy której Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów mógł wymierzać nierzetelnym płatnikom kary. O ile jednak w 2023 r. prezes UOKiK nałożył kary jedynie na 28 podmiotów, o tyle rok temu zrobił to tylko raz. Ale problem nie zniknął, po prostu ten straszak nie działa – w skanerze MŚP z sierpnia ub.r. (cykliczne badanie dla portalu BIG InfoMonitor) aż 94 proc. przedsiębiorców odpowiedziało, że klienci nie płacą w terminie.

Agnieszka (ma w centralnej Polsce niewielki zakład kostki brukowej): – *Mam u klientów zamrożonych ładnych kilka milionów złotych. Stałam się podejrzliwa. Gdy o ofertę pyta firma, z którą nie miałam nigdy wcześniej do czynienia, od razu zapala mi się lampka: czy zapłacą? Ubezpieczanie należności to bardzo duży wydatek. Parę lat temu weszły w życie przepisy znane jako tzw. ulga na złe długi, pozwalające odliczyć przeterminowaną wierzytelność od przychodu oraz na niepłacenie od niej VAT. Można powiedzieć, że rządzący coś zrobili, ale moim zdaniem partia, która rozwiąże problem zatorów, kupi przedsiębiorców hurtem. Na lata.*

Udrożnieniem zatorów płatniczych politycy jednak na razie się nie interesują. Próbują łapać przedsiębiorców na krótkie i chwytliwe: taniej, prościej, przyjaźniej. Przoduje w tym Konfederacja i Sławomir Mentzen („Należy zlikwidować ZUS, gdyż to piramida finansowa"), bo doskonale zdają sobie sprawę, że dla małego biznesu kluczowe jest ograniczanie kosztów prowadzenia działalności. A co szkodzi obiecać.

Inna sprawa, że niedowiezienie przez obecną koalicję rządzącą obietnic podwyższenia kwoty wolnej od podatku z 30 tys. do 60 tys. zł, przeniesienia kosztów wypłaty zwolnienia chorobowego z pracodawcy na ZUS oraz obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców (ostatecznie zablokowane wetem prezydenta Dudy), zostało w środowisku małego biznesu fatalnie odebrane i przyczyniło się do odpływu elektoratu na prawo, co boleśnie odczuł Rafał Trzaskowski.

Teraz biznes wyczekuje, jakie konkrety przyniesie akcja „Deregulacja", pilotowana przez właściciela InPostu Rafała Brzoskę. Zbigniew Dróżdż, przedsiębiorca z Miastka (ma firmę spedycyjną i poradnię zdrowia psychicznego, a poza tym jest radnym powiatu bytowskiego), mówi, że w odezwie na apel Brzoski ▶

© LESZEK ZYCH, DARIUSZ SOBIESKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ gromadził postulaty okolicznego biznesu. Okazuje się, że przez deregulację rozumieją jednolitość interpretacji przepisów przez urzędy skarbowe, stworzenie czarnej listy dłużników, ułatwienia przy imporcie. – *Jeśli chodzi o ograniczanie wydatków, powracają też m.in. postulaty zniesienia tzw. daniny solidarnościowej i podwyższenia pierwszego progu podatkowego ze 120 tys. do 150 tys. zł rocznie. Większość mikrofirm liczy każdy grosz. Gdy po dwóch latach prowadzenia działalności nie łapią się już na preferencyjne stawki ZUS, często nie wytrzymują i zamykają działalność. Widzę to w Miastku, gdzie zwłaszcza żywot sklepów bywa bardzo krótki. Znikają obuwnicze, odzieżowe, dewocjonalia, o spożywce nie wspominając, ale tu w grę wchodzi miażdżąca konkurencja ze strony dyskontów* – wylicza Zbigniew Dróżdż.

Trzeba sobie jakoś radzić. Michał, doradca podatkowy, mówi, że próśb o optymalizację kosztów zawsze miał od swoich klientów sporo. – *Sam zarejestrowałem dwa rodzaje działalności, w pierwszej mam pracowników na umowy o pracę, w drugiej na umowy-zlecenia, no i trzymam w niej przychody w ryzach, żeby nie płacić VAT. Dlatego dla małych firm mogę być tańszy.* Z jego doświadczeń wynika jednak, że w małym biznesie skłonność do ryzyka maleje. – *Płaca minimalna rośnie bardzo szybko, w ślad za nią świadczenia. Ale mam wrażenie, że płacenie pod stołem, fikcyjne zatrudnianie na ułamek etatu staje się coraz rzadsze. Bo wzrasta świadomość pracowników: chcą mieć odprowadzone składki emerytalne, pełen wymiar urlopu i pełne świadczenie chorobowe. Poza tym weszły w życie przepisy o całkowitej odpowiedzialności pracodawcy. Pracownicy, którzy przyznają się, że zarabiali na czarno, nie ponoszą żadnych konsekwencji.*

Nie zgadza się z tym Agnieszka: – *W firmach wykonawczych kasa pod stołem to norma. Mam znajomych w Polsce powiatowej, którzy od zawsze dostają pieniądze tylko w kopercie. Dziwią się, że można inaczej.* Więc i tu wszystko zależy od branży.

Jeśli chodzi o obciążenia fiskalne, generalne wrażenie wśród małych przedsiębiorców jest takie: z podatkami da się żyć, ale składka zdrowotna w pełnym wymiarze dobija. Mówią: OK, może obniżenie jej wymiaru jest nie w porządku wobec pracowników etatowych (obciążonych 9-procentowym świadczeniem), nasz wkład w finansowanie publicznej opieki zdrowotnej będzie mniejszy, ale z drugiej strony biznes trzeba promować i wspierać, na czym skorzysta i budżet (podatki), i społeczeństwo (praca). Zbigniew Dróżdż: – *Skoro rolnicy korzystają z preferencyjnych zasad i płacą minimalne składki, akceptując, że odbije się to potem na niskich emeryturach, to nie rozumiem, dlaczego takiej możliwości nie mają przedsiębiorcy. Zwłaszcza że dla niektórych firm to kwestia przetrwania.*

Obniżkami i ulgami najłatwiej czarować w kampanii i potem najprościej je przegłosować. Ale biznes oczekuje też praktycznych rozwiązań w ramach modnego swego czasu hasła „przyjazne państwo". Tymczasem urzędnicy są nadgorliwi, zwłaszcza jeśli chodzi o wprowadzanie dyrektyw unijnych. Traktują je rozszerzająco, zostawiają pole do interpretacji, co potem oczywiście może stanowić podstawę do nakładania kar. – *Jak o przyjaznym państwie ma mówić fryzjerka, którą karze się za brak regulaminu ochrony danych osobowych? Albo podmioty prowadzące działalność na podstawie zezwolenia? Mam parę takich, z branży odpadów i recyklingu. Po pożarach składowisk odpadów weszły w życie przepisy nakazujące zainstalowanie monitoringu. Objęto nimi również firmy zajmujące się stricte recyklingiem. Mój klient mówi: zarabiam na obrocie, po co miałbym to podpalać? Inny gość ma złomowisko, coś tam odzyskuje i sprzedaje jako używane, przychodzi kontrola, sprawdza zarejestrowany rodzaj działalności i stwierdza, że ta sprzedaż podchodzi pod przeróbkę złomu, a żeby przerabiać złom, trzeba mieć hutę. I łup, kara* – opowiada Michał.

Oskar Hunger prowadzi w Bydgoszczy i okolicy działalność deweloperską. Zatrudnia dziesięć osób, dla każdej inwestycji powołuje spółkę celową, budowy zleca podwykonawcom, sprawdzonym od lat. – *Warunki do prowadzenia biznesu w tej branży? Niewątpliwie byłyby lepsze, gdyby kredyty hipoteczne nie należały do najdroższych w Europie. Druga bolączka: procedury. Średni czas załatwiania pozwolenia na budowę wydłużył się już do ponad dwóch lat. I to mimo że większość samorządów rozszerza zakres obowiązywania planów zagospodarowania przestrzennego, co w teorii powinno ułatwiać formalności. W jednej z inwestycji mieliśmy niedawno taką sytuację: odnawiamy kamienicę, musimy wyremontować elewację, wchodząc na działkę sąsiada, ale on nas nie wpuszcza. Uzyskanie zgody trwało ponad dziewięć miesięcy, ale pewnie i tak będziemy musieli przystąpić do pracy w asyście policji. A to, że prawomocne pozwolenie na budowę można zaskarżyć, to wyjątkowy absurd* – opowiada.

Wlekki popłoch wprawia przedsiębiorców mający wejść w życie w przyszłym roku tzw. KSeF, czyli Krajowy System e-Faktur. – *Planowano wprowadzenie go już w 2024 r., ale Ministerstwo Finansów oznajmiło, że ten projekt, odziedziczony po poprzednikach z PiS, jest niedopracowany. Wszystkie faktury w wersji elektronicznej trafią na serwery ministerstwa. Będzie to poręczne narzędzie analityczne, wyłapujące anomalie w konkretnej branży, w firmach działających w porównywalnej skali. I dzięki niemu będą typowane do kontroli* – uważa Michał. A kontrolujący „zawsze coś znajdą".

Czy powszechne wśród przedsiębiorców oczekiwanie, by upraszczać, odciążać i ułatwiać, skłania ich do popierania wyrywającej się z tymi hasłami Konfederacji? Michał: – *Mentzen zbił spory kapitał, obiecując likwidację obciążeń w rodzaju: podatku od psa, opłaty cukrowej, opłaty mocowej czy podatku od czynności cywilnoprawnych przy zakupie mieszkania. Likwidacja ZUS to czysty populizm. A propozycje w sprawie zmian podatkowych wydają się niedopracowane. Mentzen bronił się, że szczegóły znajdą się w rozporządzeniach, ale to ucieczka przed konkretami.*

Agnieszka (zakład kostki brukowej): – *Obietnice Mentzena to pustosłowie, nie robią na mnie żadnego wrażenia, podobnie jak na moich znajomych z biznesu. Prawica generalnie jest dla mnie niewybieralna z powodów światopoglądowych. Za to moi pracownicy idą za Konfą jak w dym. Z trzech powodów: homofobii, chęci dopieprzenia elitom i uprzedzeń wobec obcokrajowców. Gdy im mówię: nie rozumiecie, że macie robotę, bo 80 proc. pracowników w firmach wykonawców, którzy kupują naszą kostkę, to Ukraińcy, nie robi to na nich żadnego wrażenia. Dramat.*

O tym, że małe firmy są „solą tej ziemi", słyszą od lat z ust polityków wszystkich opcji. Michał z Łodzi: – *Kończy się na kadzeniu. Zresztą może do spektakularnych reform niech się politycy nie biorą, bo gdy sobie przypomnę pisowski Polski Ład i ten totalny chaos, to mi skóra cierpnie. Przecież wtedy nawet Kancelaria Sejmu nie wiedziała, jak wyliczać pensje. Nie ma znaczenia, kto rządzi, probiznesowego podejścia brak.*

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 1a5536f9e2

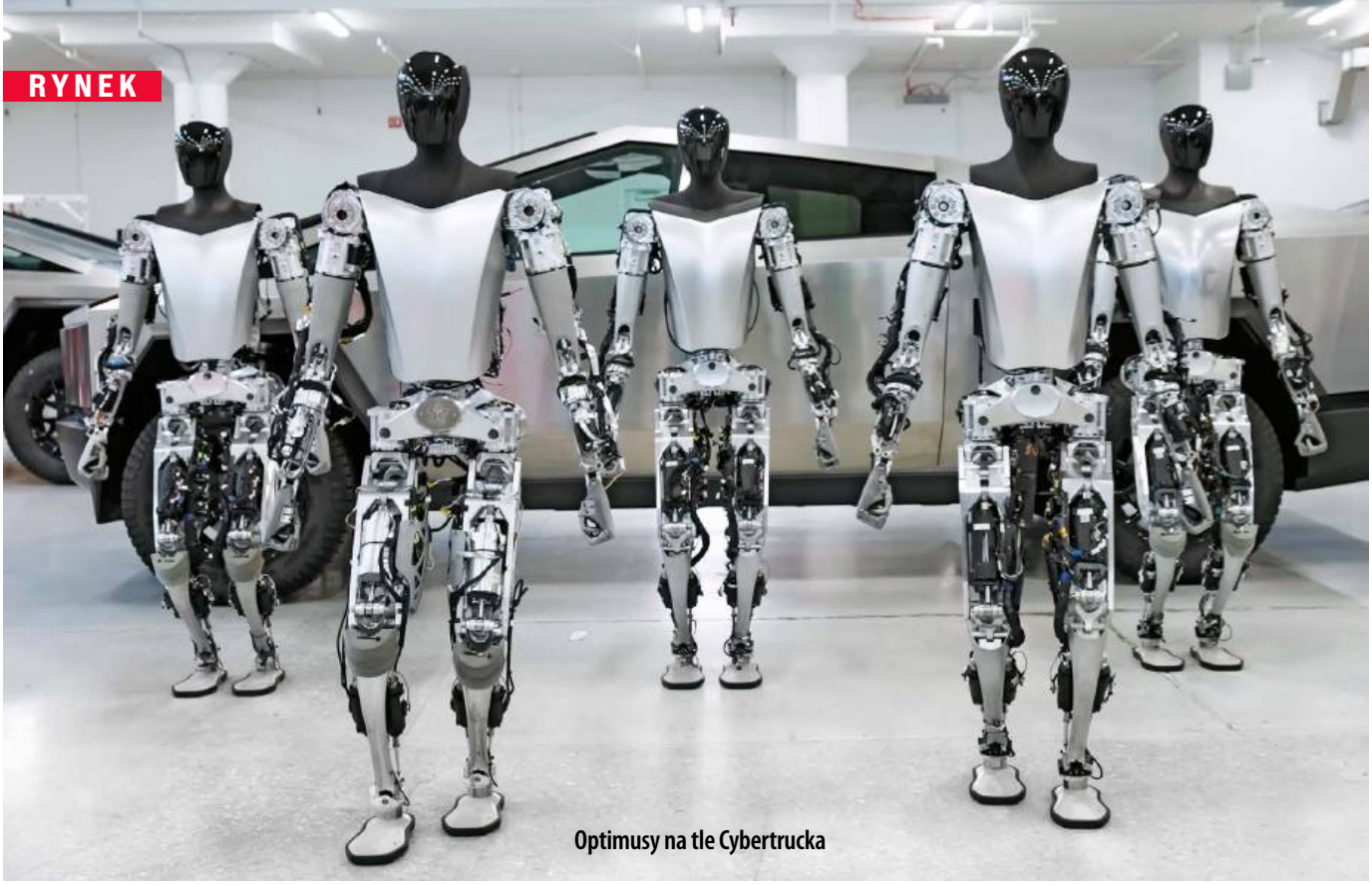

Optimusy na tle Cybertrucka

Nowa klasa robotnicza

Jeszcze niedawno znaliśmy je z bajek, gier i filmów SF, a dziś humanoidalne roboty pewnym krokiem wkraczają do naszego życia, gotowe nam pomagać w pracy i w domu.

ADAM GRZESZAK

Elon Musk, opuszczając Waszyngton, wyjaśnił, że zrobił już, co mógł dla Donalda Trumpa i Ameryki, a teraz musi wracać do Austin w Teksasie, bo Tesla go wzywa. Koncern samochodów elektrycznych przeżywa ostatnio trudny okres. Maleje sprzedaż aut, co z jednej strony jest efektem bojkotu konsumentów kontestujących działalność polityczną Muska, a z drugiej handlową porażką Cybertrucka, nowego modelu zapowiadanego jako rewolucja w elektromobilności.

Jednak dyrektor generalny Musk tłumaczył powrót do Tesli głównie koniecznością zajęcia się Optimusem, który jeszcze w tym roku ma wejść do sprzedaży. Optimus to nie nowy model auta, ale robot humanoidalny, który zdaniem szefa koncernu jest dużo ważniejszym produktem niż samochód elektryczny. Musk obiecuje akcjonariuszom, że Optimus przyniesie gigantyczne zyski, bo będzie „największym produktem wszech czasów". Jeszcze w tym roku Tesla wyprodukuje 10 tys. takich maszyn, z czego – jak liczy Musk – sprzedać się powinno od razu 5 tys. Bo to jednak będzie produkt drogi (20–30 tys. dol.) i nie jest do końca jasne, jak się przyjmie na rynku. Ale 5 tys. to liczebność rzymskiego legionu – wyjaśnił na swoim profilu X – więc siła, z którą trzeba się liczyć.

Idealny pracownik

To militarne porównanie, którego użył Musk, nie oznacza, że będzie to robot bojowy. Wręcz przeciwnie: maszyna pokojowa, a nawet pokojowo-kuchenna. Bo w krótkich filmikach Tesla prezentuje Optimusa jako gosposię krążącą po mieszkaniu z odkurzaczem w ręku albo z mopem, wycierającą podłogę w łazience. Pojawia się też Optimus przy zlewie myjący naczynia. Czyli w sumie robot szykowany jest do zadań, którymi już dziś w wielu domach zajmują się autonomiczne urządzenia sprzątające.

Zanim Optimusy znajdą zatrudnienie w naszych domach, Musk chce dać im pracę w swoich fabrykach, a jednego nawet wysłać w kosmos na pokładzie rakiety SpaceX. W zakładach Tesli będą ich tysiące – zapowiada. „Roboty takie jak Optimus fundamentalnie zmienią gospodarkę, potencjalnie czyniąc pracę fizyczną opcjonalną dla ludzi" – obiecuje. Do końca 2026 r. ma powstać 50 tys., a do końca dekady w sumie milion. Produkcją zajmą się zakłady Giga Texas, które wytwarzać będą też robotaksówki Cybercab, czyli auta jeżdżące bez kierowcy. Bo humanoidalne roboty są po trosze ubocznym efektem prac Tesli nad systemem sztucznej inteligencji niezbędnej w systemie autonomicznej motoryzacji.

W tworzenie człekokształtnych maszyn od dawna zaangażowane są koncerny motoryzacyjne. Długo najsłynniejszym humanoidem był ASIMO, robot stworzony przez konstruktorów Hondy. 20 lat temu stał się wręcz pop-gwiazdą. Jeździł po świecie na występy, spotykał polityków, wznosił toasty, gawędził w kilku językach. Media relacjonowały jego ▶

© TESLA/FERRARI PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ odwiedziny w Czechach, jak był przyjmowany na Hradczanach, a potem jak składał kwiaty na grobie Karela Čapka, pisarza SF, który wymyślił dla takich maszyn nazwę „robot".

Koncern Honda rozważał uruchomienie seryjnej produkcji robotów Asimo, ale uznał, że nie będzie to opłacalne. Robotyki jednak nie porzucił, więc trwają prace nad kolejnym programem badawczym Honda Avatar – robotami do zdalnych operacji na Księżycu i Marsie, potencjalnie wykonującymi zadania w niebezpiecznych lub niedostępnych miejscach. A także robotami wspomagającymi osoby niepełnosprawne, np. w formie egzoszkieletów. W Japonii, która ma najstarsze społeczeństwo na świecie, trwają intensywne prace nad tworzeniem robotów dla osób wymagających opieki.

Jednak koncerny motoryzacyjne najczęściej marzą o zbudowaniu idealnych robotników – pracowitych, solidnych, dokładnych, którzy jednocześnie nie zapiszą się do związków zawodowych, nie zażądają podwyżki i nie zagrożą strajkiem. Dlatego nad humanoidalnymi maszynami pracuje nie tylko Tesla, ale także Toyota, Mercedes-Benz, BMW, i oczywiście koncerny chińskie, jak np. GAC, BYD, XPeng Motors, Xiaomi Automobile.

Roboty humanoidalne ostatecznie zmienią charakter pracy w fabryce i znacznie ulepszą pojazdy, zapowiada Gill Pratt, dyrektor generalny Toyota Research Institute. Obiecuje, że ci, którzy dziś pracują w fabrykach Toyoty, nie muszą się martwić, że roboty ich wygryzą. Bo naczelnym celem Toyoty jest, by maszyny wspierały ludzi. „Chodzi o to, aby nie eliminować pracownika, ale by pomóc mu stać się bardziej produktywnym. Zawsze kierowaliśmy się tą filozofią i teraz kontynuujemy ją w sposobie myślenia o robotach w fabryce" – przekonywał w rozmowie z „Automotive News".

Ramię w ramię

Analitycy firmy Goldman Sachs oceniają, że humanoidy mogą wkrótce zastąpić 5–15 proc. ludzkich pracowników przy produkcji samochodów i innych potencjalnie niebezpiecznych pracach przemysłowych. Do 2035 r. światowy popyt na te roboty może osiągnąć 1,1 do 3,5 mln rocznie, ponieważ koszty szybko spadają. Można sobie jednak zadać pytanie, po co koncernom motoryzacyjnym humanoidalne roboty, skoro linie produkcyjne w fabrykach samochodów są już dziś zrobotyzowane? Każdy z pewnością widział filmy z hal fabrycznych, jak las mechanicznych ramion robotów przemysłowych uwija się, wkładając blachy pod prasy, a potem spawając z nich nadwozia. Co tu mają robić dwunożne i dwuręczne maszyny?

Robot Asimo z wizytą u króla Hiszpanii

Okazuje się, że decyduje elastyczność humanoidów. Roboty przemysłowe są programowane do określonych zadań, w określonym miejscu i muszą być izolowane od ludzi. Przeprogramowanie ich wymaga zatrzymania taśmy i skomplikowanych prac. Robot humanoidalny zasilany sztuczną inteligencją może wykonywać różne prace i można go przeprogramować w języku naturalnym, czyli powiedzieć mu, co ma robić. Tesla dla Optimusa przygotowuje filmy instruktażowe, z których może dowiedzieć się, jak ma wykonać nowe zadanie.

Drugą zaletą humanoidów jest to, że mogą pracować ramię w ramię z ludźmi, nie tworząc dla nich zagrożenia, na tych samych stanowiskach roboczych, korzystając z tych samych narzędzi. A ponieważ przestrzeń fabryczna projektowana jest z myślą o ludziach, więc maszynie o ludzkich rozmiarach i z ludzkim zakresem ruchów łatwiej jest wykonywać zadania. Zresztą ma nad człowiekiem przewagę, bo zakres ruchów bywa większy. Robot może kręcić głową (w której ma kamery i inne czujniki do obserwowania otoczenia) w dowolnym zakresie i używać rąk, nie obracając się.

„Oczekujemy, że humanoidalne roboty wypełnią luki w automatyzacji, których tradycyjne systemy nie były w stanie rozwiązać, takie jak obsługa złożonych procesów montażowych, współpraca z ludzkimi operatorami, a nawet uczenie się zadań w trakcie ich wykonywania" – wyjaśnia Carolin Richter, szefowa działu robotyki nowej generacji w BMW.

Sztuczna rączka

„Czy maszynom trudniej jest naśladować sposób poruszania się ludzi, czy sposób ich myślenia?" – zastanawia się na swoim blogu Bill Gates, twórca Microsoftu. I odpowiada: „Gdyby ktoś zadał mi to pytanie dekadę temu, moja odpowiedź brzmiałaby – myślenia. Tak wiele z tego, jak działa mózg, wciąż pozostaje tajemnicą. A jednak w ciągu zaledwie ostatniego roku postęp w dziedzinie sztucznej inteligencji doprowadził do powstania programów komputerowych, które potrafią tworzyć, obliczać, przetwarzać, rozumieć, decydować, rozpoznawać wzorce w sposób przypominający nasz. Budowanie maszyn, które działają jak nasze ciała – chodzą, skaczą, dotykają, trzymają, ściskają, chwytają, wspinają się, kroją i sięgają tak jak my (lub lepiej) – wydaje się łatwiejszym zadaniem. Co zaskakujące, tak nie jest. Wiele robotów nadal ma problemy z wykonywaniem podstawowych ludzkich zadań, które wymagają zręczności, mobilności i zdolności poznawczych, które większość z nas uważa za oczywiste".

Prace nad robotami humanoidalnymi trwają już od kilku dekad i są prowadzone przez dziesiątki zespołów na całym świecie. Zajmują się tym wielkie koncerny, małe start-upy, a także politechniki i instytuty badawcze. Nie zawsze tworzą całych mechanicznych ludzi, czasem koncentrują się na jego fragmentach, np. nogach i chodzie dwunożnym czy rękach, a zwłaszcza na najtrudniejszym

© JAVIER LIZON/EPA/PAP, TOMASZ WIECH/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1a5536f9e2

do odtworzenia elemencie naszej anatomii – dłoniach. Olbrzymim wyzwaniem jest stworzenie pięciopalczastej dłoni, uzbrojonej w czujniki dotyku, tak by robot był w stanie rozpoznawać przedmiot przez dotyk i z odpowiednią siłą chwytać także delikatne rzeczy, nie miażdżąc ich przy tym. Te prace często służą nie tyle do budowy robota, ile robotycznych protez, np. sztucznej dłoni sterowanej impulsami nerwowymi.

Sophia, osoba elektroniczna

Głowa robota przez konstruktorów traktowana jest zwykle dość umownie jako kulista forma, gdzie lokuje się kamery i czujniki, są jednak zespoły, które za cel postawiły sobie stworzenie imitacji ludzkiej głowy z realistyczną twarzą, łącznie z mięśniami mimicznymi. Tak jak firma Hanson Robotics, która stworzyła robota, a może raczej robotkę Sophia. Kobiecy humanoid zyskał w świecie sławę jak niegdyś Asimo Hondy. Sophia, której fizjonomia stanowi ponoć kombinację urody Nefretete, Audrey Hepburn i żony Hansona, jest dziś gwiazdą telewizyjnych talk show, a w 2017 r. nadano jej obywatelstwo Arabii Saudyjskiej (stworzone specjalnie dla robotów), co przyjęła słowami: „jestem niezwykle zaszczycona i dumna z tego wyjątkowego wyróżnienia".

Z takimi humanoidami będziemy się zapewne stykali częściej, bo Sophia należy do grupy robotów społecznych, projektowanych do kontaktów z ludźmi. Tak jak dziś, dzwoniąc do rozmaitych biur informacyjnych czy urzędów, nigdy nie mamy pewności, czy rozmawiamy z człowiekiem, czy z chatbotem, tak podobne rozterki mogą nas spotkać w hotelowej recepcji, punkcie informacyjnym lub w sali wykładowej. Człowiek czy robot? Sophia, rozmawiając z człowiekiem, utrzymuje z nim kontakt wzrokowy (w oczach ma kamery) i adekwatnie reaguje, nie tylko mówiąc, ale uśmiechając się, krzywiąc, robiąc zdumioną lub przerażoną minę. Co samo w sobie może być doświadczeniem dość szczególnym, niemal jak spotkanie z bohaterem Gwiezdnych Wojen – złocistym C-3PO, czyli neurastenicznym robotem protokolarnym do kontaktu maszyn z istotami organicznymi.

Nadanie Sophie saudyjskiego obywatelstwa wskazuje na kolejny problem, z którym będziemy musieli się zmierzyć: nadania robotom jakiejś formy osobowości prawnej. W Parlamencie Europejskim

Sophia to produkt z grupy robotów społecznych, przeznaczonych do kontaktów z ludźmi

było to już dyskutowane w przypadku sztucznej inteligencji, głównie jej zdolności do zawierania umów przez automatyczne systemy giełdowe HFT (handel wysokich częstotliwości) i wiążącej się z tym odpowiedzialności odszkodowawczej. Pojawiła się propozycja stworzenia pojęcia „osoby elektronicznej", do tego jednak nie doszło. Na razie PE stworzył definicję „inteligentnego robota", uznając, że musi spełniać następujące kryteria: posiadać czujniki umożliwiające mu wymianę danych z otoczeniem; posiadać zdolność uczenia się na podstawie doświadczeń i interakcji z otoczeniem; musi mieć wsparcie materialne; zdolność adaptacji i nie reprezentować życia w sensie biologicznym.

Zastąpią nas?

Według analityków Citi Global Insights ponad 50 różnych humanoidów jest dziś w fazie rozwoju. Najbardziej znane to amerykańskie roboty: Atlas, Digit, Figure 02, Optimus, Apollo; kanadyjski Phoenix; izraelski Menteebot; niemiecki 4NE-1, norweski Neo; oraz chińskie G1, GR-1, CyberOne, Unitree. Niektóre z robotów humanoidalnych można już kupić. Gdzie? Oczywiście na chińskich platformach handlu online. Nie są to jednak zakupy na każdą kieszeń. Chiński Unitree H1, pełnowymiarowy, uniwersalny humanoidalny robot, ze zdolnością do biegania i chodzenia w trudnym terenie, kosztuje ponad pół miliona złotych. Producent zapewnia, że maszyna może poruszać się po gruzach i w niebezpiecznych środowiskach, prowadząc operacje poszukiwawczo-ratunkowe tam, gdzie interwencja człowieka może być ryzykowna. W zakładach przemysłowych można mu zlecić rutynowe zadania konserwacyjne i inspekcyjne, i to także tam, gdzie człowiek ma kłopot, by się dostać. Może zajmować się edukacją, zabawiać widzów w parkach rozrywki czy wspomagać chorych w zabiegach rehabilitacyjnych.

Rozmaitych humanoidalnych robotów wspieranych sztuczną inteligencją przybywa. Część działająca w trybie autonomicznym, część zdalnie sterowana przez ludzi operatorów. Optimus Tesli, na którego sukces liczy Musk, będzie musiał więc zawalczyć o swoje miejsce na rynku. I to raczej nie mopem i odkurzaczem, bo taka służba domowa to dalsza przyszłość. Jednak już dziś zaangażowanie robotów w firmie może być opłacalne, jeśli maszyna wyręczy żywego pracownika, który też przecież swoje kosztuje. Analitycy Morgan Stanley szacują, że do 2040 r. w USA może być 8 mln pracujących robotów humanoidalnych, co przyniesie oszczędności płacowe wysokości 357 mld dol. Do 2050 r. analitycy spodziewają się, że liczba ta wzrośnie do 63 mln, co potencjalnie wpłynie na 75 proc. zawodów, 40 proc. pracowników i da 3 bln dol. oszczędności w wynagrodzeniach.

Jeśli więc ChatGPT i inne duże modele językowe sztucznej inteligencji przestraszyły wiele osób pracujących za biurkiem, przy komputerze, to roboty humanoidalne wsparte sztuczną inteligencją mogą teraz przestraszyć wszystkich tych, którzy utrzymują się z pracy własnych rąk. Bill Gates tak nas pociesza: „Rozumiem obawy dotyczące robotów odbierających ludziom pracę, co jest niefortunną konsekwencją niemal każdej innowacji – w tym internetu (...) Jeśli roboty będą miały podobny wpływ na zatrudnienie, rządy i sektor prywatny będą musiały pomóc ludziom odnaleźć się w tej zmianie. Jednak biorąc pod uwagę obecne niedobory siły roboczej w naszej gospodarce i niebezpieczną lub niewdzięczną naturę niektórych zawodów, uważam, że jest mniej prawdopodobne, że roboty zastąpią nas w pracy, którą kochamy, a bardziej prawdopodobne, że wykonają pracę, której ludzie nie chcą wykonywać". Oby miał rację.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 1a5536f9e2

Szef Mosadu David Barnea na co dzień unika rozgłosu

Szpiedzy w pontonie

Mosad, izraelski wywiad, zwykle strzeże swoich tajemnic, jednak po spektakularnej operacji w Iranie znów stał się publiczną megagwiazdą.

AGNIESZKA ZAGNER

Podobnie jak inne agencje wywiadowcze Mosad dba, by świat nie dowiedział się zbyt wiele o jego działalności. A jeśli już, to ujawnia tylko to, co pomaga mu w budowaniu własnej legendy – o nadzwyczajnej skuteczności w pozyskiwaniu informacji i przeciwdziałaniu zagrożeniom dzięki superagentom prowadzącym niebezpieczne operacje na całym świecie.

– *Unikanie rozgłosu jest częścią budowy wizerunku, co pomaga rekrutować nowych agentów. Muszą mieć pewność, że w razie problemów Mosad stanie w ich obronie. Pomaga w tym również umiejętne wykorzystanie rozgłosu i powszechne przekonanie o byciu najlepszym* – mówi Oded Ilam, były wysoki oficer wywiadu i badacz w Jerozolimskim Centrum Bezpieczeństwa i Spraw Zagranicznych (zgodził się na rozmowę, zastrzegając, że nie może się odnosić do żadnych konkretnych operacji).

Opowieści z Narnii

Tym razem już w dniu izraelskiego ataku na Iran 13 czerwca było jasne, że stoi za nim również Mosad. Agencja opublikowała nagranie przedstawiające agentów umieszczających ładunki wybuchowe na wyrzutniach rakiet balistycznych na terenie Iranu. Czarno-biały film miał nie tylko zrobić wrażenie, lecz przede wszystkim wysłać sygnał do władz Iranu: jesteśmy tu i nie żartujemy.

Mosad swoje akcje w Iranie przygotowywał od co najmniej półtora roku. W tym czasie udało mu się w walizkach, samochodach i kontenerach transportowych przemycić do Iranu drony i amunicję, a nawet stworzyć niedaleko Teheranu bazę bezpilotowców. Według informacji zajmującego się izraelskimi służbami dziennikarza Yossiego Melmana trzy dni przed rozpoczęciem operacji „Powstający lew" kilkudziesięciu agentów Mosadu przeniknęło do Iranu. Tam czekali na nich lokalni pomocnicy.

Razem mieli do wykonania trzy misje: po pierwsze, zmontować i wystrzelić bezpilotowce, by zniszczyć irańskie systemy obrony przeciwpowietrznej, torując tym samym drogę dla izraelskich myśliwców. Po drugie, pomóc w zamordowaniu irańskich naukowców. I po trzecie, gromadzić informacje wywiadowcze w czasie rzeczywistym, by pomóc izraelskim siłom powietrznym ocenić szkody wyrządzone w Iranie i zadać kolejne ciosy. Swoje zadanie wykonali z nawiązką.

Medialny rozgłos przyniosło Mosadowi zwłaszcza to drugie zadanie – operacja „Narnia", której celem było wyeliminowanie

eprasa.pl 1a5536f9e2

W operacji „Narnia" zginęło dziewięciu naukowców, którzy pracowali przy budowie bomby atomowej. Na fot. **zniszczone przez Mosad mieszkanie dr. Mohammada Tehranchi, fizyka jądrowego, rektora Islamskiego Uniwersytetu Azad w Teheranie.**

naukowców z tzw. grupy broni, czyli trzeciego, ostatniego etapu budowy bomby. Skoordynowany atak nastąpił w tej samej chwili – dziewięciu naukowców zginęło w swoich łóżkach. Wśród nich był dr Ferodiun Abbasi Dawani, którego Mosadowi nie udało się dopaść w 2010 r. Wtedy zamachowcy na motocyklu przymocowali bombę do jego auta. Dawani cudem przeżył i wciąż pracował przy irańskim programie nuklearnym.

Mosad nie ujawnił, w jaki sposób tym razem osiągnął swoje cele, ale eksperci uważają, że mogły to być przystosowane do używania wewnątrz budynków drony kamikadze. Oddzielną kwestią było namierzenie prywatnych adresów naukowców i upewnienie się, że w chwili ataku będą w domu.

Równolegle odbyła się inspirowana „Grą o tron" (podczas przyjęcia weselnego rodzina panny młodej brutalnie zabija rodzinę pana młodego) operacja „Czerwone wesele". W ciągu paru minut izraelskim siłom powietrznym udało się wyeliminować kilku kluczowych irańskich dowódców wojskowych, w tym szefa Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, szefa irańskiej armii oraz szefa dowództwa kryzysowego. Tu pomógł podstęp – izraelskie służby miały tak pokierować irańskimi dowódcami, by spotkali się w jednym miejscu. Wtedy nastąpił atak.

Izrael chciał również zabić Najwyższego Przywódcę Alego Chameneiego. „Gdyby był w zasięgu naszego wzroku, tobyśmy go zabili" – przyznał potem izraelski minister obrony Israel Katz. Ajatollah miał się jednak ukryć głęboko pod ziemią i zerwać kontakty z dowódcami, którzy zastąpili tych wyeliminowanych podczas „Czerwonego wesela". Choć niewykluczone, że życie najbardziej zawdzięcza Donaldowi Trumpowi, który przyznał, że nie pozwolił go zabić.

Wbrew medialnemu wrażeniu za akcjami nie stał jedynie Mosad – również wywiad wojskowy Aman, izraelskie siły powietrzne i Izraelska Komisja Energii Atomowej – chociaż laury zebrała głównie agencja. Może również dlatego, że głos zabrał sam jej szef David Barnea, co samo w sobie stało się wydarzeniem. 60-letni dyrektor Mosadu na co dzień unika rozgłosu, nie udziela wywiadów, rzadko pokazuje się publicznie.

Tym razem zrobił wyjątek: nazwał operację „historyczną" i pochwalił uczestniczące w niej Izraelskie Siły Obronne oraz CIA. „Cele, które kiedyś wydawały się wyimaginowane, zostały teraz osiągnięte" – stwierdził. I dodał: „Będziemy nadal siedmiorgiem oczu śledzić każdy projekt realizowany przez Iran".

Po prostu instytut

Barnea karierę zaczynał w Sajeret Matkal, słynnej jednostce izraelskiej armii, wyspecjalizowanej w głębokim rozpoznaniu na wrogim terytorium i tajnych operacjach, w tym ratowaniu zakładników. Do Mosadu dołączył w 1996 r., gdzie m.in. kierował wydziałem Tzomet, zajmującym się rekrutowaniem agentów i prowadzeniem zagranicznych siatek szpiegowskich. Na czele całej agencji stanął w 2021 r., gdy premierem Izraela był Naftali Bennett.

Rok później na powiązanym z Iranem koncie na Telegramie opublikowano zeznania podatkowe Barnei, rachunki za bilety lotnicze, satelitarne zdjęcia jego domu oraz prywatne zdjęcia i nagrania, w tym takie, na których Barnea robi śmieszną minę i wystawia język. „Mamy mały prezent dla Mosadu. Z MIŁOŚCIĄ dla Davida. Wesołego Purim" – napisano, odnosząc się do żydowskiego święta, które właśnie się rozpoczęło. ▶

© GIL COHEN-MAGEN/AFP/EAST NEWS, MAJID SAEEDI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶Miał to być odwet Iranu za tajemniczy atak na ich bazę w zachodniej części kraju, podczas którego zniszczono setki irańskich dronów. Atak przypisano Izraelowi, ale ten się do niego nie przyznał. Do sprawy lakonicznie odniosło się biuro premiera – bo to jemu podlega bezpośrednio agencja – podkreślając, że telefon Barnei nie został zhakowany, a „materiały są stare i nie podchodzą z prywatnego telefonu dyrektora Mosadu", tym samym przyznając, że ujawnione treści były jednak prawdziwe. Izraelskie media spekulowały, że dane wykradziono ze starego telefonu żony Barnei. Choć sprawa była wizerunkowo przykra, szybko rozeszła się po kościach. Ale sam Barnea zapewne nigdy o niej nie zapomniał. Ma opinię doskonałego w swym fachu operatora. Jako szef Mosadu zaprowadził w agencji technologiczną rewolucję, inwestując w nowinki techniczne, w tym inteligentne kamery rozpoznające twarze. Mosad nigdy jednak nie porzucił bardziej tradycyjnych metod.

Agencja powstała w grudniu 1949 r., początkowo jako Centralny Instytut Koordynacji, później Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych (HaMosad LeModi'in u-le Tafkidim Mejuhadim). Po hebrajsku „mosad" to po prostu instytut, ale skrót się przyjął. – *Kiedyś, świętując po udanej operacji, którą prowadziliśmy z CIA, kolega Amerykanin powiedział: „My w CIA jesteśmy jak wielki lotniskowiec, a ja siedzę w miejscu kapitana, który patrzy na horyzont i szuka, gdzie pojawi się kolejny czarny łabędź. A ja mu na to: „Różnica między nami i wami jest taka, że ja siedzę w pontonie i czekam, aż rekin ugryzie mnie w tyłek"* – opowiada były wysokiej rangi oficer Mosadu.

Oded Ilam: – *Służba w Mosadzie to bycie w gotowości 24/7, by udaremnić wszelkie zagrożenia i być dwa kroki do przodu. Agencja nie tylko gromadzi informacje wywiadowcze, ale przekłada je na bezpośrednie misje operacyjne. Poziom wolności i kreatywności w Mosadzie znacznie przekracza ten z wielu innych agencji. Oczywiście, w przeszłości zdarzały się błędy i wtedy było głośno o Mosadzie. Ale statystyki są dla niego więcej niż pozytywne.*

Agenci i sajani

Tych „statystyk" oczywiście nikt nie ujawnia, podobnie jak tajne pozostają budżet agencji i liczba pracowników. W ostatnich latach Mosad odniósł jednak kilka sukcesów, o których było głośno, w tym m.in. wykradzenie 100 tys. dokumentów na temat irańskiego programu nuklearnego z jednego z magazynów pod Teheranem w 2018 r. Nie mniej głośna była operacja „Pager", czyli podłożenie w tysiącach urządzeń należących do Hezbollahu w Syrii i Libanie miniaturowych ładunków wybuchowych, które raniły lub zabiły setki członków tej organizacji. Rękę Mosadu widać też w zabójstwie szefa Hamasu Ismaila Haniji w Teheranie, który zginął od wybuchu w irańskiej rezydencji rządowej.

Nieoficjalnie Mosad ma 7 tys. pracowników, a jego budżet to ok. 10 mld szekli rocznie (nieco ponad 10 mld zł). Dla porównania: polska Agencja Wywiadu dysponuje budżetem ok. 330 mln zł. W strukturze Mosadu jest kilka wydziałów: poza wspomnianym Tzometem (co oznacza skrzyżowanie, węzeł komunikacyjny), także Cezarea (długotrwałe operacje zagraniczne wymagające infiltracji na terenie wrogich państw), Kidon (hebr. bagnet; owiane legendą operacje eliminacji wrogów za granicą, sabotaż i misje pod przykryciem), Keszet (czyli tęcza; elektroniczny nadzór, włamania, podsłuchy), ale także komórka zasobów ludzkich.

Poza pracownikami i siatką agentów na usługach Mosadu są także tysiące tzw. sajanów, czyli pomocników w pracy operacyjnej – mogą np. użyczać swoich domów jako kryjówek dla agentów czy wynajmować dla nich samochody. Nie zajmują się szpiegowaniem, ale wykorzystuje się ich do drobnych zadań logistycznych. W książce Dana Raviva i Yossiego Melmana „Szpiedzy Mossadu i tajne wojny Izraela" opisano m.in., jak po nieudanej akcji w Norwegii obecny na miejscu ówczesny szef agencji Cwi Zamir przy pomocy miejscowego sajana uciekł na pokładzie jachtu należącego do żydowskiego producenta tekstyliów.

Nie jest jasne, na ile irańscy sajani pomogli Izraelowi podczas ostatniej wojny, ale irańskie media podały, że do tej pory aresztowano ponad 700 osób podejrzewanych o współpracę z wrogiem, co najmniej na dziewięciu wykonano egzekucję. Szczególnie narażeni na podejrzenia są irańscy Żydzi, których w Iranie jest co najmniej 9 tys. Ci jednak przezornie i jeszcze w czasie wojny wyrazili poparcie dla reżimu.

Już w trakcie bombardowań Mosad ponownie zagrał na nosie ajatollahom, publikując na portalu X informację w języku farsi, skierowaną do Irańczyków poszkodowanych podczas ataków (ale nie tylko) z ofertą medycznych teleporad udzielanych przez wykwalifikowanych lekarzy z Izraela. Specjaliści mają być do dyspozycji przez pięć dni w tygodniu, a dzwoniącym poradzono korzystanie z VPN (program ukrywający adres internetowy). Podano izraelski, holenderski i czeski numer telefonu, radząc korzystanie z WhatsAppa, Signala lub Telegrama.

Operacja rekrutacja

Wszystkie te ostatnie sukcesy dobrze świadczą o pracodawcy i przyciągają kolejnych chętnych do pracy w Mosadzie. Ale – jak wskazuje Oded Ilam – agencja jest bardzo ostrożna w rekrutowaniu ludzi: – *Zanim przyjmie się ich do służby, są wielokrotnie sprawdzani. Najgorsze, co się może zdarzyć, to podwójny agent szpiegujący na rzecz innego państwa.*

Na stronie internetowej Mosadu można znaleźć wiele ogłoszeń o pracy. Poszukiwane są np. kobiety/operatorzy terenowi. Opis stanowiska: „praca obejmuje podróże zagraniczne (zamieszkanie w Izraelu), pracę w zespole i w zmieniającym się otoczeniu. Wymagania – wykształcenie wyższe, mile widziane umiejętności technologiczne, znajomość języków, spokój, radzenie sobie w sytuacjach stresowych, umiejętność improwizacji i nieszablonowego myślenia, optymizm, poczucie humoru i spontaniczność".

Mosad szuka też kandydatów na własną rękę. Na przykład wśród studentów wyższych uczelni lub ludzi biegle znających język arabski czy perski. Choćby dlatego, że w agencji na dyżurach telefonicznych są osoby mówiące po arabsku z odpowiednim akcentem – w zależności od operacji czasem potrzeba kogoś, kto mówi dialektem palestyńskim, czasem libańskim.

– *Najtrudniejsze w pracy pod przykryciem jest uniknięcie wpadki. Czasem prowadziłem jednocześnie kilka operacji w różnych miejscach świata. Zdarzało mi się, że musiałem się chwilę zastanowić, by sobie przypomnieć, kim jestem w danym momencie i pod jakim nazwiskiem. Jestem Włochem czy Maltańczykiem? Żonaty czy nie? Pisałem więc sobie na ręce małe ściągawki: troje dzieci, żonaty od 20 lat albo playboy z Monako. Ta praca wymaga niewątpliwie również umiejętności aktorskich* – opowiada były agent Mosadu.

Czerwcowy atak na Iran okazał się wielkim sukcesem Mosadu, który w każdym swoim wcieleniu jest dziś śmiertelnym zagrożeniem dla wrogów Izraela na całym świecie. Nawet w ich własnych łóżkach.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl 1a5536f9e2

W zakazanej przez władze Paradzie Równości w Budapeszcie wzięło udział niemal 200 tys. ludzi

Kogel-mogel po węgiersku

Od kilku miesięcy węgierska opozycja wyraźnie prowadzi w sondażach. Ale nawet jeśli wygra przyszłoroczne wybory, to Viktor Orbán może utrzymać władzę, bo Węgry są już politycznie zabetonowane.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

„Widzę rozbite jaja, ale gdzie ten omlet?" – zapytał rumuński pisarz Panait Istrati, gdy stalinowscy aparatczycy tłumaczyli mu podczas wizyty w ZSRR, że nie da się zrobić omletu bez rozbijania jajek. Po 15 latach rządów Viktora Orbána i prawdopodobnym jak nigdy wcześniej sukcesie opozycji w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych na Węgrzech komentatorzy coraz częściej zadają pytanie, czy można włożyć rozbite jaja do skorupek.

Rządząca koalicja Fidesz-KDNP trzyma w garści wszystkie instytucje publiczne, niemal całą gospodarkę oraz media publiczne i prywatne. System stworzony na miarę dyktatorskich ambicji 62-letniego idola populistycznej prawicy, który szczyci się przyjaźnią z Donaldem Trumpem, a prezydenta Rosji Władimira Putina w trzecim roku wojny w Ukrainie nazywa „uczciwym partnerem", działa tak, by jego kamaryla nawet w razie przegranej w wyborach nie straciła realnej władzy.

Torysi znad Dunaju

Zgodnie z konstytucją Węgier z 2011 r. zmiana większości ustaw przyjętych przez gabinet Orbána i uchwalenie nowych wymaga aprobaty większości dwóch trzecich posłów. Dzięki faworyzującej rządzących ordynacji wyborczej Fidesz już trzykrotnie uzyskał większość konstytucyjną i 15 razy znowelizował ustawę zasadniczą tak, by zabetonować korzystny dla siebie układ sił na Węgrzech.

Na straży systemu Orbána stoją mianowani na dziewięcioletnie kadencje sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, prokurator generalny, a wreszcie wybierany przez parlament prezydent; obecnie jest nim były prezes Trybunału Konstytucyjnego Tamás Sulyok. Wszyscy oni bez wyjątku są nominatami premiera i jemu zawdzięczają lukratywne posady.

Jakby tego było mało, w kraju od marca 2020 r. niemal bez przerwy obowiązuje tzw. stan zagrożenia, który pozwala Orbánowi rządzić za pomocą dekretów uchwalanych hurtowo w kilka dni przez Zgromadzenie Narodowe większością dwóch trzecich głosów. W efekcie monumentalny gmach parlamentu, wzniesiony jeszcze w czasach monarchii Habsburgów, przez większość roku jest całkiem pusty.

Nawet cesarz Franciszek Józef I nie miał takiej władzy na Węgrzech jak ma premier Viktor Orbán. ▶

© BALINT SZENTGALLAY/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a5536f9e2

► Po tym, jak w ostatnią sobotę czerwca 2025 r. niemal 200 tys. ludzi wzięło udział w zakazanej przez władze Paradzie Równości w Budapeszcie, wielu uwierzyło, że dni węgierskiego rządu są policzone. Nigdy wcześniej w marszu społeczności LGBT nie uczestniczyło tylu ludzi, w tym wiele rodzin z dziećmi, mimo że policja użyła zakazanej w Unii Europejskiej chińskiej aparatury do rozpoznawania tożsamości demonstrantów.

Uczestnikom marszu grożą wysokie grzywny, a nawet kary więzienia. Obyło się jednak bez pałowania, gdyż węgierskie władze w trosce o swój wizerunek „torysów znad Dunaju" konsekwentnie unikają stosowania przemocy fizycznej wobec protestujących obywateli i polityków opozycji.

Za to przemoc werbalna nie zna granic. Podstawą do zakazu parady były przyjęte wiosną 2025 r. zmiany w konstytucji, zakazujące propagowania wszelkich treści uznanych przez rząd za zagrożenie dla tradycyjnego modelu rodziny i wychowania dzieci w duchu chrześcijańskich wartości.

Społeczność LGBT znalazła się na celowniku rządowej propagandy, gdy w elektoracie Fideszu – mówiąc kolokwialnie – „przestały żreć" tradycyjne figury wrogów publicznych: muzułmańscy uchodźcy rzekomo sprowadzani do Europy przez amerykańskiego miliardera i filantropa węgierskiego pochodzenia George'a Sorosa czy Komisja Europejska, która – jak wiadomo – tylko czyha, by zrobić z Węgrów brukselskich pachołków.

Centrolewicowy burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony

Aniołki Orbána

Przy tym Węgrzy są nadal bardziej proeuropejscy niż na przykład Czesi. Z najnowszego sondażu V4 Media Freedom Poll 2025, przeprowadzonego w kwietniu 2025 r. na zlecenie międzynarodowego Komitetu ds. Niezależności Redakcyjnej (którego członkiem jest niżej podpisany) i czeskiej Fundacji Bakali, wynika, że Węgrzy częściej opowiadają się za unijnymi sankcjami wobec rządów ingerujących w wolność rodzimych mediów (60 proc. respondentów) niż Czesi (55 proc.) czy Słowacy (57 proc.). Pod tym względem wyprzedzamy ich tylko my, Polacy (65 proc.).

Jednocześnie zdecydowana większość Węgrów opowiada się za pozostaniem ich kraju w UE; według sondażu węgierskiego think-tanku Republikon z marca 2025 r. taki pogląd wyraża nie tylko ponad 90 proc. wyborców opozycji, ale także 69 proc. zwolenników Fideszu, a nawet 51 proc. sympatyków skrajnej prawicy.

Najpoważniejsze kryzysy wizerunkowe węgierskiego rządu, które kosztowały go utratę wielu wyborców, nie dotyczyły polityki zagranicznej czy stosunku do UE, tylko afer korupcyjnych i skandali obyczajowych z udziałem rządzących. Nawet zwolennicy premiera przyznają, że on i jego rodzina zgromadzili majątek godny rosyjskich oligarchów, w tym ekskluzywne nieruchomości i auta luksusowych marek. Kłóci się to z rzekomo protestanckim etosem pracy Orbána, który ma zwyczaj w czasie adwentu na oczach telewidzów zapalać świece i ni to modlić się, ni to dumać nad losem narodu z zatroskaną miną.

Szczytem hipokryzji była jednak słynna impreza gwiazdkowa europosła Fideszu Józsefa Szajera, schwytanego w grudniu 2020 r. przez belgijską policję podczas ucieczki po rynnie z nielegalnej orgii gejowskiej w Brukseli. Przyłapany na łamaniu obostrzeń antycovidowych 59-letni wówczas Szajer był ważną postacią ze starej gwardii Orbána, współzałożycielem Fideszu i przewodniczącym komisji konstytucyjnej, a także faktycznym autorem węgierskiej konstytucji (którą – jak sam twierdzi – napisał w 2011 r. na iPadzie).

Poważniejsze następstwa polityczne miała kolejna wpadka Fideszu. W lutym 2024 r. do dymisji podały się „aniołki Orbána", wschodzące gwiazdy rządzącej partii: 47-letnia prezydent Węgier Katalin Novák i 44-letnia była minister sprawiedliwości Judith Varga, w owym czasie typowana na liderkę listy wyborczej rządzącej koalicji w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Obydwie rok wcześniej podpisały się pod ułaskawieniem związanego z rządzącą partią wicedyrektora ośrodka opiekuńczego, skazanego za tuszowanie przestępstw pedofilskich swojego zwierzchnika.

Odkąd sprawa wyszła na jaw, premier Orbán demonizuje społeczność LGBT, by odwrócić uwagę Węgrów od skandali, które naruszyły świętoszkowaty wizerunek jego własnej partii. Zmusił obydwie polityczki do rezygnacji ze stanowisk i dalszej kariery publicznej, ale to nie wystarczyło, by uciszyć oburzonych.

Wydarzenia nabrały tempa, gdy wiosną 2024 r. na czele protestów antyrządowych stanął były mąż Judith Vargi, 44-letni Péter Magyar. Z wykształcenia prawnik, z zawodu dyrektor spółek związanych z Fideszem. Rok wcześniej rozstał się z żoną, po czym zerwał z władzą i rozpoczął nowe życie trybuna ludowego. W kwietniu 2024 r. stanął na czele mikroskopijnej Partii Szacunku i Wolności Tisza, dwa miesiące później został europosłem z jej listy, a jesienią 2024 r. sięgnął po prymat w sondażach.

Obecnie Tisza ma trwałą kilkupunktową przewagę nad rządzącą koalicją i poparcie jednej trzeciej wyborców. A jej lider, nazywany przez premiera

eprasa.pl 1a5536f9e2

Péter Magyar, lider Partii Szacunku i Wolności Tisza – prawdopodobny następca Orbána

„brukselską marionetką" (co jest o tyle zabawne, że przed laty Magyar był specjalistą od kontaktów z Parlamentem Europejskim w kancelarii Orbána), jest jego najbardziej prawdopodobnym następcą.

Prowincja rządzi

Nawet wielu dawnych wyborców Fideszu ma dość kleptokratycznej władzy premiera, drożyzny i ciągłych nagonek na wyimaginowanych wrogów narodu: gejów, płatnych agentów Sorosa i Brukseli, muzułmańskich uchodźców i rzekomych podżegaczy wojennych z UE i NATO krytykujących prorosyjską politykę władz.

Mieszkańcy Budapesztu już dawno odwrócili się od premiera, władzę w mieście sprawuje centrolewicowy burmistrz Gergely Karácsony. Ale na Węgrzech, podobnie jak w Polsce, wybory powszechne wygrywa się na prowincji, skąd pochodzi Viktor Orbán i wielu członków stworzonej przez niego nowej oligarchicznej elity.

Dlatego tak groźnym przeciwnikiem władz jest Péter Magyar. Związany od czasów studenckich z rodzimą prawicą, zna środowiska narodowe od podszewki i mówi językiem zrozumiałym dla konserwatywnego elektoratu. Ojciec trójki dzieci, absolwent stołecznego Uniwersytetu Katolickiego (i cioteczny wnuk Ferenca Mádla, chadeckiego prezydenta Węgier w latach 2000–05), nie daje sobie wcisnąć tęczowej flagi ani przypiąć łatki euroentuzjasty czy ukrainofila.

Magyar nie angażuje się w spory światopoglądowe, zamiast tego krytykuje kolesiostwo i korupcję rządzącego układu. Zapowiada utrzymanie wszystkich rządowych programów i ulg socjalnych (jak choćby uchwalone niedawno dożywotnie zwolnienie z podatków dla kobiet, które przed trzydziestką urodzą dwoje dzieci). Obiecuje normalizację stosunków z Brukselą i odblokowanie ok. 12 mld euro środków unijnych.

Akcesję Ukrainy do Unii Europejskiej odkłada na wieczne nigdy, ale nie jest jej kategorycznym przeciwnikiem, jak Viktor Orbán i 95 proc. wyborców rządzącej koalicji – tylu powiedziało „nie" akcesji Ukrainy do UE w przeprowadzonym w czerwcu 2025 r. rządowym plebiscycie. Przy czym frekwencja w tym niby-referendum, które nie ma żadnej mocy wiążącej, wyniosła zaledwie 29,4 proc. To pokazuje rzeczywisty poziom poparcia dla Fideszu i jego satelity, Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej KDNP.

Péter Magyar nie wziął udziału w Paradzie Równości, ale poparł jej uczestników i upomniał się o ich prawo do wyrażania własnych poglądów. Mimo tak wstrzemięźliwej postawy lider Tiszy stopniowo przejmuje elektorat lewicowo-liberalnej Koalicji Demokratycznej Gergely Karácsonya, która ma umiarkowane szanse na przekroczenie progu wyborczego. Na Węgrzech wynosi on 5 proc. dla jednej partii, 10 proc. dla koalicji dwóch ugrupowań i aż 15 proc. dla trzech. Na dodatek 106 posłów wybiera się w okręgach jednomandatowych, a pozostałych 93 w jednym ogólnokrajowym okręgu wyborczym, co faworyzuje obóz rządowy, bo głosy z prowincji przeważają nad tymi z miast. Oznacza to, że opozycja jest skazana na współpracę ponad podziałami i prawdopodobnie będzie zmuszona się skupić wokół Pétera Magyara. Tylko tak może pokonać Fidesz w grze wyborczej, której reguły ustalił Viktor Orbán.

Pokusa władzy

Premier Węgier tymczasem szuka koalicjantów na skrajnej prawicy. Stąd jego atak na społeczność LGBT czy wmawianie Węgrom, że idąca na pasku Brukseli i Kijowa opozycja demokratyczna wciąga kraj w wojnę z Rosją. Podobne hasła głosi neofaszystowska partia Mi Hazánk, Nasza Ojczyzna, utworzona w 2018 r. przez odszczepieńców ze zmarginalizowanej partii Jobbik.

Liderem tego ugrupowania jest László Toroczkai, 47-letni były sołtys wsi Ásotthalom na granicy z Serbią, przez którą podczas kryzysu uchodźczego w 2015 r. nielegalnie dostały się na Węgry tysiące syryjskich uchodźców. Partia ma sześciu posłów i raptem 300 tys. wyborców, ale to właśnie oni mogą za rok przechylić szalę rywalizacji politycznej na Węgrzech i zadecydować o przyszłości kraju.

Gdyby wybory odbyły się w tym miesiącu, Péter Magyar znalazłby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. W razie nieznacznej wygranej nie mógłby zrealizować obietnic wyborczych ani przeprowadzić zapowiadanych rozliczeń. Jeśli zaś opozycja pod jego przywództwem zdobędzie większość konstytucyjną, co dziś wydaje się nierealne, nowy rząd wejdzie w buty Orbána. Przyszły premier musiałby być samobójcą albo skrajnym idealistą, by w imię praworządności zdemontować system stworzony przez swego poprzednika. Magyar zaś nie jest ani jednym, ani drugim. Węgrzy mogą więc wpaść z deszczu pod rynnę.

Przestrogą dla tamtejszej opozycji są wyniki wyborów prezydenckich nad Wisłą. Węgierscy demokraci marzą o dniu, gdy „będą mieli Warszawę w Budapeszcie". Ale na razie polski przykład nie napawa ich optymizmem. Po co kleić rozbite jaja? Może zamiast omletu zadowolić się koglem-moglem?

ALEKSANDER KACZOROWSKI

© ALESSANDRO SERRANO/AVALON/PAP, ATTILA KISBENEDEK/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1a5536f9e2

Czy lewicowy muzułmanin Zohran Mamdani, kandydat na burmistrza Nowego Jorku, zostanie zablokowany przez własną Partię Demokratyczną, republikańskich miliarderów i proizraelskie lobby?

MARIUSZ ZAWADZKI

Chcieliście Trumpa, no to mnie

Gdyby Osama bin Laden i Włodzimierz Lenin byli małżeństwem, to owocem ich związku byłby Zohran Mamdani – takie wrażenie można odnieść na platformie X (dawnym Twitterze). Sensacyjne zwycięstwo tego 33-latka w demokratycznych prawyborach na burmistrza Nowego Jorku wywołało histerię.

Republikańska deputowana Marjorie Taylor Greene zamieściła obrazek Statui Wolności okutanej muzułmańską burką. Jej partyjny kolega z Kongresu, Andy Ogles, wzywa Departament Stanu, żeby odebrać Mamdaniemu amerykańskie obywatelstwo, które przyznano mu osiem lat temu, i deportować go do Afryki jako „zwolennika terroryzmu". Młody prawicowy influencer Charlie Kirk alarmuje: „11 września 2001 r. grupka muzułmanów zabiła 2753 nowojorczyków, ale już niedługo muzułmański socjalista będzie rządzić Nowym Jorkiem" (Demokraci mają w mieście dużą przewagę, dlatego ich kandydat może być niemal pewien wygranej w jesiennych wyborach).

Na tle tych wpisów reakcja prezydenta Donalda Trumpa wydaje się relatywnie wstrzemięźliwa: „Stało się! Stuprocentowy komunistyczny świr jest na drodze, żeby zostać burmistrzem Nowego Jorku. To niebezpieczny moment w historii naszego kraju".

Jeszcze pół roku temu Mamdani był mało znanym deputowanym w stanowym parlamencie. W listopadzie, kiedy zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza – jako jeden z kilkunastu przedstawicieli Partii Demokratycznej – sondaże dawały mu 1 proc. poparcia. Zdecydowanym faworytem prawyborów był 67-letni Andrew Cuomo, wieloletni gubernator stanu Nowy Jork i jednocześnie syn popularnego w latach 80. gubernatora. Wprawdzie

eprasa.pl 1a5536f9e2

© ADAM GRAY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

macie

ustąpił ze stanowiska w niesławie, oskarżony o molestowanie seksualne przez 11 kobiet, ale od tamtej pory minęły już cztery lata... A w Ameryce każdy dostaje drugą szansę, szczególnie jeśli należy do elit politycznych czy biznesowych.

Kandydaturę Cuomo poparli m.in. były prezydent Bill Clinton, miliarder Michael Bloomberg, który sam przez 12 lat był burmistrzem Nowego Jorku, oraz dziesiątki demokratycznych kongresmenów, miliarderów i multimilionerów związanych z największym miastem Ameryki. Cuomo był tak pewny swego, że niemal nie prowadził kampanii, spotykał się jedynie z darczyńcami i masowo kupował reklamy w telewizji.

Dla odmiany Mamdani chodził po ulicach, rozmawiał z nowojorczykami, nagrywał filmiki i wrzucał je do mediów społecznościowych. Zaczął od Bronxu i Queensu, czyli relatywnie biednych dzielnic, w których zaskakująco duże poparcie zdobył w 2024 r. Trump. Pytał przechodniów, czemu głosowali na Trumpa i – na podstawie ich odpowiedzi – sformułował swój program.

Mamdani lubi powtarzać, że wyborców nie należy pouczać, lecz słuchać, co mówią. To zaskakująco świeże podejście jak na obecne standardy Partii Demokratycznej. Przypomnijmy, że w zeszłorocznych wyborach prezydenckich partyjne elity przez wiele miesięcy przekonywały Amerykanów, że Joe Biden jest w świetnej formie i powinien zostać na drugą kadencję, chociaż w sondażach co najmniej dwie trzecie ankietowanych odpowiadało, że jest za stary.

Wyborcy Trumpa mówili Mamdaniemu, że wszystko jest za drogie: mieszkania, jedzenie, komunikacja miejska. Takich odpowiedzi można się było poniekąd spodziewać, bo w Nowym Jorku 2 mln ludzi, czyli jedna czwarta mieszkańców, żyje w ubóstwie. Dlatego kandydat ogłosił, że przewodnim motywem jego kampanii będzie hasło: „Niech Nowy Jork stanie się miastem, na które nas wszystkich będzie stać".

Kiedy mieszkałem w Nowym Jorku, nieraz się zastanawiałem, czemu to miasto jest takim potężnym magnesem dla milionów imigrantów. Przecież standard życia przeciętnego nowojorczyka jest niższy niż np. przeciętnego warszawiaka! Nawet ciemne, śmierdzące mieszkanka na Queensie czy Brooklynie są wynajmowane po 3 tys. dol. miesięcznie. Żeby zejść poniżej oficjalnego nowojorskiego progu ubóstwa, czteroosobowa rodzina musi mieć dochody poniżej 50 tys. dol. rocznie. Za to można całkiem przyzwoicie żyć nie tylko w Warszawie, ale nawet w wielu miastach Ameryki. Tylko nie w Nowym Jorku. Tutaj ludzie harują, często na kilku etatach, płacą ogromne czynsze za śmierdzące mieszkanka z karaluchami. I codziennie patrzą na piękne – szczególnie z daleka – wieżowce Manhattanu, w nadziei, że kiedyś się do nich wprowadzą.

A byłoby jeszcze drożej, gdyby nie fakt, że około połowy mieszkań na wynajem w Nowym Jorku ma czynsze stabilizowane, tzn. właściciel nie może podnieść opłaty o więcej niż kilka procent rocznie. Maksymalną dopuszczalną podwyżkę ustalają co roku władze miasta. W 2025 r. jest to 3 proc.

W ramach „przystępnego Nowego Jorku" Mamdani obiecuje całkowite zamrożenie czynszów stabilizowanych, bezpłatne autobusy miejskie oraz darmowe żłobki i przedszkola. Pieniądze zamierza zdobyć, m.in. podwyższając z 4 do 6 proc. podatek dochodowy dla nowojorczyków zarabiających ponad 1 mln dol. rocznie (mieszkańcy płacą aż trzy rodzaje podatku dochodowego: federalny, stanowy i miejski; dla najbogatszych aktualne stawki wynoszą odpowiednio 37, 11 i 4 proc.).

Dodatkowo Mamdani w ramach eksperymentu chce otworzyć pięć spożywczych supermarketów municypalnych (po jednym w każdej dzielnicy Nowego Jorku). Markety byłyby zarządzane i dotowane przez miasto; oferowałyby produkty w cenach prawie hurtowych. Stałyby się konkurencją dla prywatnych sklepów, które nie mogłyby już tak łatwo podnosić cen (w ostatniej dekadzie ceny żywności w Nowym Jorku wzrastają znacznie szybciej niż w innych miastach Stanów Zjednoczonych).

Czy propozycje Mamdaniego są realne politycznie i zbilansują się ekonomicznie? Przekonamy się tylko, jeśli jesienią wygra wybory i spróbuje spełnić obietnice. Niektóre z nich, np. podwyższenie podatku dla milionerów, nie leżą jedynie w gestii burmistrza; musiałyby zostać zatwierdzone przez władze stanu Nowy Jork. Ale Mamdani mówi również o sprawach, które wydają się znacznie łatwiejsze do załatwienia.

W jednym z pierwszych filmików wyborczych przeprowadził śledztwo w kwestii baraniny/kurczaka z ryżem, czyli popularnego dania oferowanego w ulicznych budkach w całym Nowym Jorku. Obecnie kosztuje aż 10 dol. Czemu tak drogo? Okazuje się, że sprzedawcy potrzebują licencji od urzędu miasta, za którą nominalnie płaci się kilkaset dolarów rocznie. A wszystkie licencje wykupują cwaniacy, którzy udostępniają je prawdziwym sprzedawcom po 20 tys. dol. rocznie! „Gdybyśmy mogli kupować licencje bezpośrednio od miasta, to kurczak z ryżem kosztowałby 7 lub 8 dol." – wyjaśniali Mamdaniemu uliczni sprzedawcy. ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶Filmik stał się przebojem kampanii. Był profesjonalnie zmontowany, dynamiczny, opatrzony chwytliwym i śmiesznym hasłem: „Make Halal 8 Bucks Again!" (Niech baranina z ryżem znów kosztuje 8 dol.!). Nawiązuje ono do hasła Trumpa „Make America Great Again!", ale jest znacznie bardziej konkretne i namacalne.

Wysoka jakość filmików Mamdaniego nie jest przypadkiem. Jego matka to wybitna reżyserka Mira Nair, która nakręciła m.in. „Monsunowe wesele". Lewicowe poglądy odziedziczył po ojcu, Mahmoodzie Mamdanim, wykładowcy antropologii i nauk politycznych na Uniwersytecie Columbia. Oboje rodzice są muzułmanami, mieszkali najpierw w Ugandzie, potem w Republice Południowej Afryki. W Ameryce osiedlili się w 1998 r.; ich syn miał wówczas siedem lat.

Na studiach Zohran zaangażował się w akcje solidarności z Palestyńczykami żyjącymi pod izraelską okupacją. Potem próbował zostać raperem. W internecie łatwo można znaleźć teledyski, na których podryguje z nagim torsem i w przeciwsłonecznych okularach. Kariery muzycznej nie zrobił, ale nabrał swobody, która teraz przydaje się na ulicach, w rozmowach z najróżniejszymi typami ludzkimi, jakie spotyka się w Nowym Jorku.

Wczesną wiosną Mamdani zaczął wspinać się w sondażach. Wokół niego zebrały się tysiące wolontariuszy, którzy amerykańskim zwyczajem stukali do domów i mieszkań, żeby przekonywać do swojego kandydata. Od tysięcy drobnych darczyńców uzbierał 8 mln dol. na kampanię. Cuomo, który miał do dyspozycji 35 mln dol., przedstawiał młodego rywala jako człowieka niedoświadczonego, który nigdy niczym poważnym nie zarządzał. A co gorsza – komunistę, który doprowadzi Nowy Jork do chaosu, exodusu najbogatszych mieszkańców i w rezultacie do bankructwa.

Kiedy ta linia ataku nie zadziałała, Cuomo dodatkowo okrzyknął Mamdaniego „wrogiem Izraela", „antysemitą", a może nawet „sympatykiem Hamasu". W ustach byłego gubernatora te oskarżenia brzmiały wiarygodnie, bo zawsze był politykiem mocno proizraelskim. W 2024 r., kiedy Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze oskarżył premiera Beniamina Netanjahu o zbrodnie wojenne w Strefie Gazy, zgłosił się do zespołu prawników, którzy chcą go bronić.

Dla odmiany Mamdani, zanim postanowił zostać burmistrzem, wielokrotnie potępiał Izrael, wzywał do jego bojkotu. A bombardowanie i głodzenie mieszkańców Strefy Gazy nazywał ludobójstwem. W kampanii unikał tematu Izraela i konsekwentnie trzymał się przekazu o „przystępnym Nowym Jorku". W końcu jednak Cuomo i dziennikarze zmusili go do rozmowy na tematy izraelskie.

Podczas telewizyjnej debaty prowadzący zapytali dziewięcioro kandydatów, „dokąd udadzą się w pierwszą podróż, jeśli zostaną burmistrzem?". Wszyscy po kolei odpowiadali, że do Izraela. Mamdani stwierdził: „Zostanę w Nowym Jorku, bo jako burmistrz zamierzam skoncentrować się na problemach nowojorczyków, w tym również na problemach nowojorskich Żydów". Wypowiedź ta wywołała w studiu niemały harmider. Cuomo krzyczał tryumfalnie „Słyszeliście?! Powiedział, że nie pojedzie do Izraela!". Prowadzący debatę dopytali Mamdaniego, czy państwo żydowskie ma prawo istnieć. Odpowiedział: „Izrael ma prawo istnieć jako państwo, które zapewnia równe prawa wszystkim obywatelom niezależnie od religii".

Gdy w prawyborach 24 czerwca Mamdani zdobył 43 proc. głosów – o 7 pkt proc. więcej niż Cuomo – w Partii Demokratycznej zapanowała konsternacja. Chuck Schumer i Hakeem Jeffries, czyli przywódcy Demokratów w Senacie i Izbie Reprezentantów, złożyli mu gratulacje, ale czekają na wyjaśnienia w sprawie Izraela.

Nowojorski miliarder Bill Ackman, który bezwarunkowo popiera Izrael i kapitalizm, zadeklarował na X, że znajdą się setki milionów dolarów dla kandydata, najchętniej młodego i charyzmatycznego, który wystąpi przeciw Mamdaniemu. Ten antyMamdani musiałby być ręcznie dopisywany na kartach do głosowania, bo minął już czas na zgłaszanie kandydatów. Teoretycznie jest to dozwolone, ale nigdy jeszcze taki dodatkowy kandydat nie wygrał żadnych istotnych wyborów w Ameryce.

Na oficjalnej liście jest jednak... Cuomo, który przezornie zgłosił się również jako kandydat niezależny. Jednak po klęsce w prawyborach raczej należy wątpić, czy ktoś jeszcze będzie chciał w niego inwestować. Jest tam też Curtis Sliwa, kandydat Republikanów, który cztery lata temu już kandydował i zdobył 28 proc. głosów. Ze względu na obecne lewicowo-liberalne odchylenie Nowego Jorku nie ma wielkich szans, żeby poprawić swój wynik.

Na liście jest też obecny burmistrz Eric Adams, który cztery lata temu został wybrany jako Demokrata, ale teraz startuje jako „kandydat niezależny". On również jest skompromitowany – promował tureckie interesy w Nowym Jorku, a w zamian dostawał od tureckiego rządu łapówki: darmowe przeloty do Europy i Azji w klasie biznesowej Turkish Airlines i bezpłatne luksusowe zakwaterowanie. Kiedy Trump został prezydentem, kazał zamknąć śledztwo w sprawie tureckich łapówek, a w zamian Adams zgodził się pomagać w deportacjach imigrantów z Nowego Jorku. W ostatnich sondażach tylko 20 proc. nowojorczyków ocenia go pozytywnie. Wiele wskazuje, że 33-letni muzułmański imigrant oskarżany o komunizm i antysemityzm zostanie burmistrzem największego miasta Ameryki. I jako taki będzie zarządzał budżetem miejskim równym połowie budżetu Polski.

Jakim cudem to mu się udało? Wielu komentatorów twierdzi, że jego kampania była „nową jakością" i „gotową receptą na sukces" dla Partii Demokratycznej. Receptą na sukces – na pewno. Nową jakością – niekoniecznie. Zohran Mamdani dysponuje bowiem cechami, które wyróżniają dwóch innych amerykańskich polityków: Donalda Trumpa i Berniego Sandersa.

Wszyscy trzej mają świetny „słuch społeczny" – uważnie słuchają wyborców i dlatego mówią to, co wyborców dotyczy i porusza. Wszyscy trzej są antysystemowi. Obiecują rozbić skostniałe układy polityczne, i to się rozczarowanym wyborcom bardzo podoba. No i wszyscy trzej są autentyczni. Nie mówią słowotokiem przygotowanym przez doradców czy politycznych konsultantów. A kiedy ktoś wytyka im rzekomo kontrowersyjne dawne wypowiedzi czy działania, nigdy nie przepraszają, nie wycofują się, nie lawirują, tylko upierają przy swoim. Nawet jeśli się z nimi nie zgadzamy, to odbieramy ich jako „prawdziwych". Dlatego właśnie w tej powodzi sztuczności zalewającej Amerykę Mamdani dla wielu nowojorczyków stał się powiewem autentyczności. A dla wielu Demokratów – sugestią, jak pokonać Trumpa.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Dżanna na ziemi

W Bośni i Hercegowinie wciąż można pooddychać postotomańskim rozleniwieniem. I zakochać się w Sarajewie.

ZIEMOWIT SZCZEREK

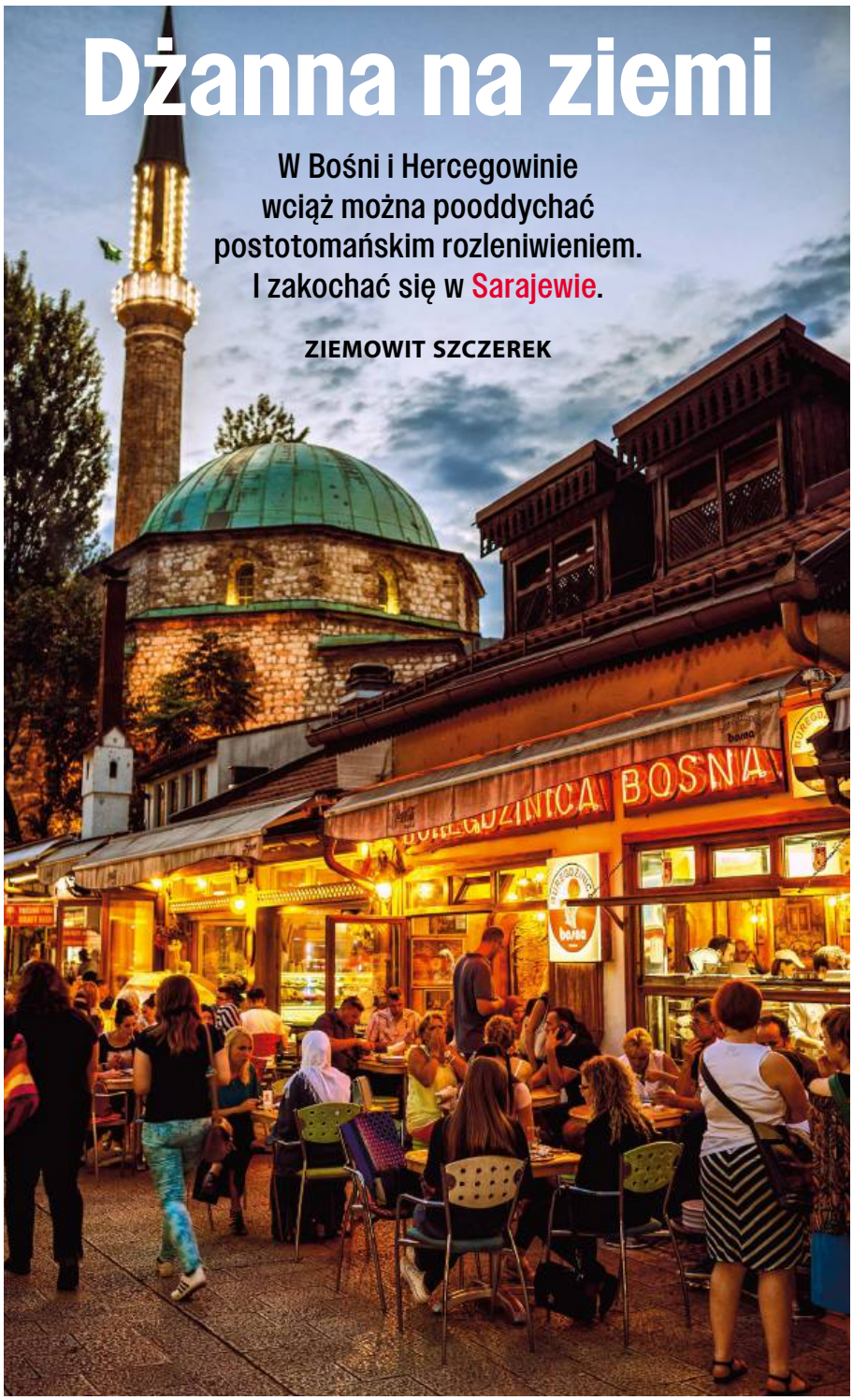

© AJAN ALEN/SHUTTERSTOCK

Dobrze jest wjeżdżać do Bośni i Hercegowiny od strony chorwackiej Dalmacji. Szczególnie latem, bo Dalmacja jest rozżarzona słońcem jak sam szatan, a Bośnia – ze swoimi zielonymi górami, cienistymi lasami i umiarkowanymi temperaturami – naprawdę przynosi ulgę.

Jeśli, powiedzmy, jesteśmy w chorwackim Dubrowniku i serdecznie dosyć mamy już skwierczącego upału, tłumów turystów próbujących nie przewrócić się w klapkach na wyślizganych kamieniach dubrownickich uliczek, restauracji z owocami morza za pół średniej krajowej i sklepów z turystycznym badziewiem, nie ma niczego lepszego niż pojechać na wschód. Do Bośni i Hercegowiny. A konkretnie – do Hercegowiny właśnie, zajmującej południowy zachód tego państwa.

Od razu widać, że wjeżdża się nie tylko do innego państwa, ale też do innej cywilizacji. To stara granica pomiędzy łacińską, katolicką Wenecją i islamską Ottomanią. I o ile Dubrownik, Split, Trogir i w zasadzie wszystkie dalmatyńskie miasta, miasteczka i porty to nastrojowe, budowane z kamienia śródziemnomorze, idealnie kojarzące się z adriatycką idyllą, o tyle spore części Bośni i Hercegowiny to raj, ale otomański.

Islamski raj

„Wiele aspektów kultury osmańskiej niosło ze sobą wysokie walory estetyczne" – pisała Barbara Jelavich w swojej „Historii Bałkanów". „Osmańska architektura – zarówno domy prywatne, jak i budynki użyteczności publicznej: meczety, mosty, karczmy i urzędy – znacznie przewyższała wszystko, co miało po niej nastąpić. Kultura osmańska niezwykle ceniła ogrody i naturę, a zwłaszcza rzeki i bieżącą wodę. Europejscy podróżnicy byli pod ogromnym wrażeniem romantycznego piękna bałkańskiego krajobrazu".

Nadal to widać. Na przykład taki Stolac: leży w dolince nad rzeką Bregavą; a ten, kto wjedzie do tej dolinki, nie zechce już z niej wyjeżdżać, bo ma wrażenie, że trafił do dżanny, islamskiego raju. Iglice minaretów harmonizują z dachami, rzeczka szemra pod łukowatymi mostkami, a przy stolikach, na ocienionych drzewami placykach, siedzą ludzie przy kawie i leniwie rozmawiają.

W porównaniu z dalmatyńską męczarnią w Hercegowinie, w miarę pustawej, niespecjalnie „naturystowionej", osiągnąć można błogi spokój i naprawdę pooddychać tym słodkim, rachatłukumowym postotomańskim rozleniwieniem starej tureckiej prowincji.

Do tego Počitelj, wspinający się na skały tak malowniczo i dramatycznie, że człowiek ma ochotę komponować orientalne „Sonety hercegowińskie" na wzór tych krymskich. Jest Blagaj z klasztorem derwiszów, starymi potureckimi willami przerobionymi na pensjonaty. Albo Mostar, miasto podzielone na część chorwacką: raczej trywialną, pełną pojugosłowiańskich bloków, oraz muzułmańską: niesamowitą, bajkową wręcz, z pięknym, potureckim mostem łączącym ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ oba brzegi Neretwy, z którego skaczą młodzi ludzie.

Stare potureckie miasto w Mostarze jest tak cukierkowe, koronkowe i śliczne, że – podobnie zresztą jak w Stolacu – można zapomnieć, do jakich zbrodni tutaj dochodziło jeszcze niedawno, w czasie wojny w Bośni i Hercegowinie. Ba, w ogóle można się po Hercegowinie kręcić i prawie nie myśleć o wojnie. Rozwalonych czy spalonych domów jest coraz mniej, coraz mniej lasów czy łąk oznaczonych jest tabliczkami albo taśmami z napisem „Uwaga, miny!".

Stopy Matki Boskiej

Hercegowina to dziwna kraina. „W tej stráni jsou schovaní mohamedáni" – jak wiemy choćby z czeskiej XIX-wiecznej piosenki „Za císaře pana", opowiadającej o tym, jak czeskie i morawskie pułki w imię Habsburgów podbijały ten kraj. Ale nie tylko mahometanie w niej żyją.

Bo to przecież w Hercegowinie mieści się np. chorwackie Medziugorie, katolickie, w stylu tego południowego, włoskiego katolicyzmu. Miejsce, w którym miały miejsce tzw. objawienia maryjne, w które jedni wierzą, a inni nie, w tym wielu katolików, uważają bowiem, że w Medziugorie to nie Matka Boska się objawiła, ale bliżej nieokreślony demon, który ukrył się tylko pod postacią Madonny (ma na to wskazywać fakt, że „objawiona" Maryja nie miała stóp, a – jak wiadomo – stopy Maryi boi się szatan najbardziej).

Krajobraz kulturowy tej części Hercegowiny, która zamieszkana jest przez Chorwatów, przypomina krajobraz kulturowy Chorwacji właściwej, tylko bez kamiennych miasteczek dalmatyńskiego wybrzeża. Ale poza tym – podobnie malowane i utrzymane domy, podobnego kształtu katolickie kościoły, być może tylko o cieńszych nieco wieżach, które wyglądają przez to jak katolickie wersje minaretów, z którymi sąsiadują. W miastach i miasteczkach jest jednak bardziej bałkańsko, czyli bardziej chaotycznie. W lokalach można palić i w ogóle zaczyna się ten cały bałkański wajb, który pojawia się w głowie zawsze, gdy mowa o tej części Europy.

Tę różnicę widać zresztą nawet w samej Dalmacji, w jedynym dalmatyńskim, nadmorskim mieście, które zapewnia Bośni i Hercegowinie dostęp do morza: w Neumie. Dziś, jadąc, powiedzmy, z chorwackiego Splitu do Dubrownika, nie trzeba już przejeżdżać przez terytorium Bośni i Hercegowiny, czyli rzeczony Neum właśnie, który dzieli Chorwację na dwie części: Chorwaci zbudowali bowiem okrążający to miasto most. Ale ja lubię tam wjeżdżać, nawet gdy nie muszę. W Neum, podobnie jak we wspomnianych Splicie czy Dubrowniku, mieszkają Chorwaci, i zapewne w czasie Jugosławii miasto to niespecjalnie różniło się od sąsiadujących z nimi miast chorwackich, ale dziś, gdy kwestia przynależności państwowej przekłada się na formę krajobrazu kulturowego, różnica jest znaczna.

Neum wygląda jak zbałkanizowana Dalmacja. Nie ma tu chorwackich kamiennych uliczek, za to można usiąść w ćevabdžinicy nad szklanką herbaty podanej po turecku, gapić się na nie za bardzo pasujący do kontekstu Adriatyk i rozmyślać o tym dziwacznym kawałku wybrzeża, które Bośnia odziedziczyła po Ottomanii.

Przechrzta Kusturica

Po tureckich sułtanach zostały pałace w Stambule, w których tłoczą się turyści. Po chwale Republiki Weneckiej pozostały lwy na placu św. Marka. A Bośnia, spadkobierczyni tureckiego elajetu, do którego Neum od wieków należy, nadal rządzi tym skrawkiem wybrzeża. Ale spróbujcie pomylić lokalnych Chorwatów z Bośniakami, a jeszcze lepiej – z Boszniakami. Nasłuchacie się kwiecistych i pełnych uroku bluźnierstw, które zresztą tak samo brzmią w języku chorwackim, jak i bośniackim oraz serbskim.

Boszniacy to właściwie nowy termin, pod którym kryją się bośniaccy muzułmanie. Jeszcze na początku wojny w latach 90. nazywani byli nie Boszniakami, a po prostu Muzułmanami właśnie – przez duże „M", religia sprzęgła się tam bowiem z narodowością, a właściwie ją wytworzyła. Choć, szczerze mówiąc, sami Boszniacy niespecjalnie się o to starali. Wyznawali islam, ich przodkowie przeszli na tę religię w czasach tureckiej władzy – z różnych powodów: z oportunizmu, z przymusu, być może z wyboru. Jeszcze wcześniej wyznawali prawosławie, katolicyzm, niektórzy pewnie należeli do niedobitków wiernych Kościoła bośniackiego, na który spory wpływ miała stara herezja bogomilców.

Do dziś więc zarówno Serbowie (którzy są w większości prawosławni), jak i Chorwaci (w większości katolicy) spierają się, do kogo właściwie należą bośniaccy muzułmanie: czy są „zislamizowanymi Chorwatami", czy „zislamizowanymi Serbami". Boszniacy jednak nie chcą należeć do nikogo i trwają w swojej religii, nabytej czy nie, i w przywiązaniu do otomańskiej tradycji.

Są jednak tacy, którzy decydują się na nawrócenie. Przykładem jest Emir Kusturica, najsłynniejszy bośniacki reżyser filmowy, który urodził się w muzułmańskiej rodzinie i który z bośniackiego Jugosłowianina stał się serbskim nacjonalistą, ochrzcił się w prawosławnym obrządku w jednym z czarnogórskich klasztorów i przyjął bardzo serbskie imię Nemanja.

Kusturica odcisnął swoje piętno nie tylko na bośniackiej (oraz serbskiej i jugosłowiańskiej) kulturze, ale i na krajobrazie kulturowym Bośni. W leżącym nad rzeką Driną Wiszegradzie, miejscu masakry, którą w czasie wojny w Bośni Serbowie zgotowali Boszniakom, Kusturica wybudował – no cóż – nowe centrum miasta, które właściwie jest osobnym miastem, miastem wyobrażonym. Miastem prosto z historii alternatywnej, bo – jak pisał sam Kusturica, już jako Nemanja – jego część posiada taką formę, jaką według niego posiadałyby serbskie miasta, gdyby nie panowała nad nimi Turcja. I gdyby miał w nich miejsce renesans.

Przed wejściem do tego starego-nowego miasta stoi pomnik dwóch braci, którzy pochodzili z niedalekiej wioski Sokoloviće. Jeden z nich – Mehmed Pasza Sokolović, odebrany za młodu prawosławnym rodzicom i wcielony do janczarów – został wielkim wezyrem Wysokiej Porty i przez pewien czas był faktycznym władcą imperium. A drugi – Makarije Sokolović – został głową serbskiego Kościoła prawosławnego (nie bez pomocy swojego brata zresztą, nepotyzm nie był w Ottomanii niczym niespotykanym).

Trzy cywilizacje

Wiszegrad leży w Republice Serbskiej, której nie można mylić z Serbią właściwą, tą ze stolicą w Belgradzie. Republika Serbska w Bośni to efekt porozumienia z Dayton, które podzieliło Bośnię i Hercegowinę na trzy „entitety": Republikę Serbską właśnie, Federację Muzułmańsko-Chorwacką oraz osobny Dystrykt Brčko, w którym stosunki etniczne były już tak poplątane, że wysoki przedstawiciel społeczności międzynarodowej dla Bośni i Hercegowiny nie był w stanie dokonać tam rozgraniczenia.

Trzeba tu powiedzieć, że Republika Serbska, z faktyczną stolicą w Banja Luce, mieście, które dopiero stosunkowo

eprasa.pl 1a5536f9e2

„Miasto wyobrażone", czyli nowe centrum Wiszegradu wybudowane przez reżysera Emira Kusturicę

od niedawna nabiera cech stołecznych, nie bardzo ma ochotę uczestniczyć we wspólnym projekcie państwowym razem z Boszniakami i Chorwatami. Nawet więc, jak widać, tę resztkę dawnej Jugosławii, w której wszystkie jej narody żyły przecież w pokoju, zanim na nowo nie rozhulało się przekleństwo etnicznych nacjonalizmów, potężna ich siła rozsadza od środka.

Jest to również państwo zbudowane na liniach podziałów o wiele głębszych, bo cywilizacyjnych. Zgodnie z tezami nie tylko Samuela Huntingtona bowiem, ale i innych geopolityków, państwo to składa się z części należącej do cywilizacji Zachodu (część chorwacka), islamu (część muzułmańska) oraz prawosławia (część serbska).

Jeśli więc już Zachód podczas porozumienia w Dayton, kończącego wojnę w Bośni, zdecydował się tę potencjalną bombę trzymać razem w imię demokratycznych wartości, to powinien również zrobić wszystko, by uczynić z Bośni i Hercegowiny kwitnącą gospodarkę z funkcjonującą i sprawną demokracją, by państwo to promieniowało na cały region przykładem. Ale nie wyszło.

Srebrenica to przesada

Prezydent Republiki Serbskiej Milorad Dodik, którego można zestawić z Viktorem Orbánem, Aleksandrem Vuciciem czy Robertem Ficą, czyli notorycznie i korupcyjnie łamiącymi prawo prorosyjskimi przywódcami ze skłonnością do twardej ręki, od wielu już lat grozi oderwaniem się od reszty Bośni i Hercegowiny. Dodik ostatnio wzmógł jeszcze tę narrację, być może dlatego, że jest poszukiwany przez władze federalne listem gończym za notoryczne łamanie konstytucji i warto od tego jakoś odwrócić uwagę.

W Republice Serbskiej po miastach i miasteczkach wiszą plakaty Dodika, i nie można powiedzieć, by jego propozycje nie miały posłuchu wśród rodaków. Tylko że Republika Serbska jest już teraz w wielkim stopniu niezależna od Sarajewa. Struktura administracyjna jest bardzo słabo powiązana z federalną, sarajewską, odrębna jest też policja. W wojskach Bośni i Hercegowiny Serbowie, jak i pozostałe nacje, tworzą osobne jednostki. Ba, nawet na banknotach waluty Bośni i Hercegowiny emitowanych w Republice Serbskiej, czyli marki, widnieją wyłącznie serbscy bohaterowie narodowi. Inni niż ci z banknotów emitowanych w Federacji.

Republika Serbska w Bośni oplata Federację Muzułmańsko-Chorwacką czymś na kształt półksiężyca i sięga aż pod Sarajewo – stolicę całej Bośni i Hercegowiny, państwa bezsilnego. A tę bezsilność niech zilustruje fakt, że federalne władze nie są w stanie aresztować prezydenta jednego ze swoich własnych regionów, za którym wysłały list gończy.

Wystarczy wyjechać z pięknego i starego Sarajewa – miasta, w którym tradycja ottomańska (stara czarszija, czyli dawna handlowa część miasta) oraz habsburska (część miasta dobudowana do tej tureckiej podczas okupacji austro-węgierskiej) stykają się, lecz ze sobą nie za bardzo łączą – by dostać się do ponurych, kostko-blokowych przedmieść rozpaczliwie nazwanych Wschodnim albo Nowym Sarajewem. Te już należą do Republiki Serbskiej w Bośni i mieszkają tam w zasadzie sami Serbowie.

Ci są coraz bardziej zradykalizowani, niechętni wspólnemu z Boszniakami i Chorwatami państwu. I w duchu często przytakują swojemu prezydentowi kryminaliście, któremu zdarza się np. zaprzeczyć masakrze w Srebrenicy, twierdząc, że to wszystko przesada, a poza tym „wiele z rzekomo zamordowanych tam osób nadal żyje". Warto tu wspomnieć, że gdy tę samą strategię stosują Chorwaci wobec własnych obozów koncentracyjnych z czasów drugiej wojny światowej, w których wymordowano ogromną liczbę Serbów (Chorwacja była wtedy marionetkowym państwem Hitlera), serbskie oburzenie nie ma granic.

Kto raz widział Sarajewo

Samo jednak Sarajewo – miasto tak uroczo leżące w dolinie (z której brzegów Serbowie walili w nie w czasie wojny artylerią, jakby wrzucali kartofle do wiadra), że wydaje się stworzoną przez sztuczną inteligencję ilustracją do bajki, która jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa – to kolejne miejsce w Bośni, które rzuca na kolana. Kto raz widział to miasto w nocy, z jego podświetlonymi minaretami i wieżami kościołów, ze światłami wspinającymi się po zboczach gór, z jego islamskimi cmentarzami w parkach, z niesamowitą knajpą w dawnym Kinie Bosna, w której zawsze w poniedziałki odbywają się takie imprezy z graną na żywo bośniacką (i w ogóle pojugosłowiańską) muzyką, jakich świat nie widział, ten wie, że będzie go już zawsze zachwycało i przyciągało.

To piękno zresztą przyciąga nie tylko Europejczyków: do Sarajewa, poza turystami, masowo zjeżdżają też inwestorzy z roponośnych krajów arabskich, a wielu z nich się w tym mieście osiedla.

Założony w Sarajewie jeszcze za czasów Jugosławii zespół Zabranjeno Pusenje, którego historia rozpadów, rozgałęzień, kłótni i awantur to w zasadzie historia rozpadu Jugosławii w pigułce, ale który nadal gra (i to w kilku nieuznających się wzajemnie wariantach), ma o tej popularności Bośni wśród szejków z Zatoki piosenkę pod tytułem „Kupi nas Ali", czyli „Kup nas, Ali".

„Dla niego jesteśmy Eldorado – ziemia wody, lasów, owoców, ileż można na pustyni w ciągłym pocie nogi toczyć – śpiewa w niej wokalista Sejo Saxon – kiedy wraca do Dubaju, wszystkim opowiada Ali, że tu dżanna jest na ziemi, którą wszyscy Bośnią zwali". Piosenka kończy się niewesołą refleksją: „Brawo Ali, masz rację, ty będziesz wiedział, jak kochać ten kraj. A za nami, idiotami, tylko zbrodnia, wojna i bieda.

ZIEMOWIT SZCZEREK

© TRABANTOS/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a5536f9e2

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, gdzie przebywa właśnie Sławosz Uznański-Wiśniewski, wkrótce spłonie w atmosferze. Czy jej idea ma szansę się odrodzić?

© NASA

Wysokie ambicje na niskiej orbicie

OLAF SZEWCZYK

Przez wszystkie lata zimnej wojny wyścig o dominację w kosmosie był w istocie wyścigiem o dominację na Ziemi. Gdy 4 października 1957 r. dzięki geniuszowi Ukraińca Serhija Korolowa Związek Radziecki umieścił na orbicie Ziemi pierwszego sztucznego satelitę Sputnik, wywołało to szok w społeczeństwach Zachodu. W jeden dzień upadł wizerunek Ameryki jako dominującego mocarstwa technologicznego oraz wizerunek ZSRR jako państwa technologicznie zacofanego. Jednocześnie biedne kraje globalnego Południa zaczęły z większą uwagą wsłuchiwać się w radziecką propagandę, łatwiej wpadając w strefę wpływów rosyjskiego imperium.

Z perspektywy Stanów Zjednoczonych okazało się to jednak impulsem, który wyszedł im na dobre. Próbując zażegnać kryzys, rząd sypnął groszem instytucjom badawczym i edukacyjnym (Rosjanie kształcili wówczas rocznie dwu-, trzykrotnie więcej naukowców). Jak ujął to John Jefferies z High Altitude Observatory: „W tydzień po wysłaniu Sputnika zaczęliśmy się wygrzebywać z lawiny pieniędzy, która nagle na nas spadła". Przede wszystkim jednak USA powołały do istnienia National Aeronautics and Space Administration (NASA).

eprasa.pl 1a5536f9e2

Nowa przygoda

Tak zaczął się wyścig kosmiczny, którego kolejnym wielkim celem była załogowa wyprawa na Księżyc. Amerykanie byli tak zdeterminowani, by zdążyć przed Rosją, że zatrudnili nazistowskich ekspertów od silników rakietowych. Mimo protestów wielu naukowców, w tym Alberta Einsteina, nad rakietą, dzięki której Amerykanie dotarli na Księżyc, zaczął pracować twórca V-2 i pupil Hitlera, Sturmbannführer SS Wernher von Braun.

Następnym etapem miała się okazać budowa stacji kosmicznej na orbicie Ziemi. Ta przygoda zaczęła się 25 stycznia 1984 r., kiedy to prezydent Ronald Reagan ogłosił zamiar zbudowania stacji kosmicznej Freedom. I tym razem impuls dali Sowieci, z powodzeniem realizując od lat 70. projekt stacji orbitalnych Salut. Reagan wiedział, że lada moment ZSRR rozpocznie budowę habitatu Mir. Freedom miała być dowodem, że USA zachowują dominację w kosmosie. Kongres, przerażony przewidywanymi kosztami, zatwierdził projekt, ale wezwał do szukania partnerów. NASA szybko dokooptowała Kanadę, Japonię i kraje współpracujące ze sobą w ramach Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA).

Rozpoczęły się prace projektowe i stało się oczywiste, że nawet najbardziej ponure prognozy wydatków nie dorównują realiom. Pierwotny projekt Freedom rozrósł się do kilkudziesięciu segmentów.

W 1982 r. NASA powołała wewnętrzny zespół Space Station Task Force, by opracował koncepcję stacji kosmicznej mającej zastąpić Skylab – pierwszy amerykański kosmiczny moduł badawczy, wyniesiony na orbitę 14 maja 1973 r. przez rakietę Saturn V, koronne dzieło von Brauna. Niestety, wskutek podwyższonej aktywności słonecznej Skylab nieoczekiwanie deorbitował, wchodząc w atmosferę 11 lipca 1979 r. Badania, które zdążono dzięki niemu przeprowadzić, zwłaszcza te dotyczące długotrwałego pobytu ludzi w kosmosie, okazały się nieocenione przy projektowaniu stacji kosmicznej.

W 1987 r. ESA zatwierdziła program Columbus, nad którym europejskie kraje partycypujące w budowie stacji orbitalnej pracowały od 1985 r. Celem był moduł badawczy podłączony do Freedom, który przed końcem stulecia wyewoluowałby w pełnoprawną europejską placówkę orbitalną. Pod koniec lat 80. uczestnicy projektu zaczęli wytwarzać i testować pierwsze elementy stacji. Aż tu 26 grudnia 1991 r. radzieckie imperium uległo samorozwiązaniu. Skończyła się zimna wojna. A wraz z nią – cierpliwość Kongresu.

Nowa filozofia

Przedstawiciele podatników przykręcili kurek z dolarami, ostrzegając, że jeśli NASA nie zachęci do współudziału kolejnych zagranicznych partnerów, nie zawahają się przed pogrzebaniem projektu. Nowy administrator agencji Daniel Goldin zaczął wprowadzać w życie filozofię zarządzania „szybciej, lepiej, taniej": zwiększono efektywność prac, jednocześnie tnąc koszty. Przewidywano m.in. redukcję liczby modułów, ograniczenie limitu załogi z 12 do 6 osób i uproszczenie systemów podtrzymywania życia. Ale nawet nie to było najbardziej rewolucyjną zmianą.

Rozpad ZSRR pociągnął za sobą wiele problemów, począwszy od zredukowania budżetów, po fakt, że kosmodrom Bajkonur nagle znalazł się poza granicami Rosji. Kazachstan stał się samodzielnym państwem i trzeba było się z nim dogadywać. Wszystko wskazywało na to, że ambitny plan budowy stacji orbitalnej Mir-2 nie doczeka się sfinalizowania, mimo że zaczęto już produkcję modułów. We wrześniu 1993 r. Al Gore, wówczas wiceprezydent USA, i rosyjski premier Wiktor Czernomyrdin ogłosili, że Amerykanie i Rosjanie razem będą budować stację orbitalną.

Problemy zaczęły się natychmiast – od sporu o nazwę. Freedom oczywiście wypadła z grafiku. Zaproponowana przez USA neutralna, wydawałoby się, Alpha nie znalazła uznania u Rosjan, sugerowała bowiem według nich, że jest to pierwsza stacja kosmiczna, a przecież wcześniej był całkiem spory, modułowy radziecki Mir, a jeszcze wcześniej, już w 1971 r., Salut 1. Podsuwany przez niedawnych komunistów Atlant storpedowali z kolei Amerykanie, bo kojarzył im się z zatopioną Atlantydą. Nazwy nie ustalono wspólnie do dziś. Stanęło na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS).

Nowa polityka

Pierwsze oznaki odwilży można było zauważyć już w latach 70. 17 lipca 1975 r. na orbicie połączyły się amerykański Apollo (z trzyosobową załogą) i rosyjski Sojuz (z dwoma kosmonautami). Panowie powymieniali się prezentami, m.in. nasionami drzew, a także muzyką. Amerykanie w swej naiwności zagrali Rosjanom piosenkę „Why Can't We Be Friends?" zespołu o rozkosznej w tym kontekście nazwie War (ang. wojna).

USA, zaprosiwszy do współpracy ZSRR, osiągnęły wymierne korzyści. Mogły skorzystać z radzieckiego doświadczenia w projektowaniu modułowych laboratoriów, zebranego przy budowie stacji orbitalnej Mir – największej dotąd konstrukcji w kosmosie – i przy programie Salut. Taniej i szybciej było sfinansować zbudowanie przez Rosjan pierwszego, lekkiego segmentu stacji, niż samodzielnie opracować analogiczny moduł. Bardziej opłacalne było także wysłanie go na orbitę rosyjską rakietą niż promem NASA.

Co najmniej równie istotne były dla Amerykanów strategiczne korzyści dyplomatyczne. Angażując do współpracy Rosjan, z jednej strony chcieli wzmocnić u nich procesy demokratyczne, a z drugiej zapobiec przepływowi bezrobotnych wybitnych inżynierów i unikalnych technologii do Chin. Dzięki zastrzykom finansowym z NASA radziecki przemysł kosmiczny zyskał możliwość przetrwania.

Pierwszy moduł zbudowany z myślą o ISS, nazwany Zaria (ros. świt), klasyfikowany przez Rosję jako Moduł Funkcjonalno-Ładunkowy (FGB), został wyniesiony z kosmodromu Bajkonur przez rakietę Proton-K na orbitę 20 listopada 1998 r. o godzinie 6.40 UTC. Datę tę można uznać za debiut ISS. Dwa tygodnie później, 4 grudnia 1998 r., prom kosmiczny Endeavour dostarczył segment Unity (Node 1). Dopiero po półtora roku, 26 lipca 2000 r., dołączyła do nich Zwiezda (ros. gwiazda) – projektowana z myślą o stacji Mir-2, konstrukcyjnie nawiązująca jeszcze do stacji Salut. Był to pierwszy moduł ISS wyposażony we wszystkie niezbędne systemy podtrzymywania życia oraz kwatery dla załogi. Stację można było wreszcie traktować jako habitat.

Pierwsi astronauci zamieszkali w niej 2 listopada 2000 r., przybywszy na pokładzie statku Sojuz T-31: Amerykanin Bill Shepherd oraz Rosjanie Jurij Gidzenko i Siergiej Krikalow, znany jako „ostatni obywatel ZSRR", bo wylatywał na stację Mir, gdy jeszcze ZSRR istniał, a wrócił na Ziemię już po jego rozpadzie. ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ Nowa era

Był to początek ery kolonizacyjnej – stałej obecności człowieka w kosmosie. W kolejnych latach ISS rozbudowywano o kolejne segmenty, dziś jest ich już 16. Przez ten czas krążący po niskiej orbicie Ziemi międzynarodowy habitat okrążył nasz glob ponad 150 tys. razy. Przebył 6,18 mld km (41-krotność odległości Ziemi od Słońca). To jedna z najbardziej zaawansowanych technicznie konstrukcji stworzonych przez człowieka, a na pewno najbardziej kosztowna. Przewidywane pierwotnie 8 mld dol. nakładu spuchło już do 150 mld, a do tego trzeba jeszcze doliczać 3–4 mld rocznie kosztów utrzymania (połowę uiszczają USA).

Stacja ma obecnie, licząc z panelami słonecznymi, w przybliżeniu 109 m długości, 73 m szerokości i 20 m wysokości. Oferuje circa 932 m sześc. przestrzeni użytkowej, co można porównać do wnętrza dużego samolotu pasażerskiego. Osiem par paneli słonecznych o łącznej powierzchni 2500 m kw., czyli ponad 15 boisk do siatkówki, generuje do 84 kW energii elektrycznej. Masa całej stacji obliczana jest na 420 ton. Aby wynieść taki ciężar na orbitę – a nie liczymy transportu ludzi, żywności itp. – rakiety musiały spalić około 63 tys. ton paliwa. 150 ton na jedną tonę bagażu.

Czy było warto? I czy nadal jest? Za prezydentury George'a W. Busha ustalono, że stacja zostanie zdeorbitowana na początku 2016 r. Administracja Baracka Obamy odwołała ten wyrok, ale już w lutym 2018 r. ekipa Donalda Trumpa zaproponowała w projekcie budżetu NASA, by po 2025 r. zaprzestać finansowania. Wciąż jednak jest to wyjątkowe laboratorium, gdzie w warunkach mikrograwitacji można przeprowadzać badanie niemożliwe na Ziemi. Dotyczą one rozmaitych wyzwań – od obserwacji funkcjonowania człowieka w kosmosie, przez produkcję leków na nieuleczalne dotąd schorzenia, badanie fizyki wszechświata, po opracowywanie nowych technologii. Czy można używać w kosmosie drukarki 3D do wytwarzania ze stali nierdzewnej potrzebnych przedmiotów? Już wiemy, że tak.

Nowy trend

Najnowsze ustalenia polityków, jakoby już nieodwołalne, przewidują, że ISS spłonie w atmosferze Ziemi pod koniec 2030 r. Zepchnąć ma ją z orbity zaprojektowany w tym celu statek z kosmicznej kuźni SpaceX. Rzecz jasna tak duży obiekt nie spłonie w całości, na Ziemię mogą wrócić całkiem pokaźne szczątki. NASA wyznaczyła zatem na cmentarz znajdujące się na Oceanie Spokojnym najbardziej oddalone od lądu miejsce, znane jako punkt Nemo. Astronauci żartują, że stacja szykuje się „na emeryturę z widokiem na morze".

Przygoda jeszcze jednak trwa, a do ISS ma zostać dołączony – prawdopodobnie w 2027 r. – jeszcze przynajmniej jeden moduł – Payload Power Thermal Module (PPTM) firmy Axiom, która ma w planach budowę własnej stacji orbitalnej. Ma on dostarczać habitatowi energię wytwarzaną przez ogniwa słoneczne. Docelowo odłączy się od stacji i połączy z modułem mieszkalnym Axiom Habitat One (Hab-1), który jednak nie trafi na orbitę wcześniej niż w 2028 r. Kolejne moduły mają być dokowane w następnych latach. Jeden z nich posłużyłby za obserwatorium, oferując „niezwykłe widoki na Ziemię" dzięki wielkiemu kopułowemu oknu o średnicy aż 3,8 m.

Ciekawostka: moduł mieszkalny stacji Axiom zaprojektował znany francuski architekt i designer Philippe Starck. Mają się w nim znaleźć ściany z pikowaną wyściółką oraz zatrzęsienie zmieniających kolor diod LED. To zresztą wyraźny trend. Orbitę przejmują firmy prywatne, dbające o to, by ich klienci czuli się komfortowo. Przykładowo, za zaprojektowanie wnętrz stacji Starlab, która ma zacząć działać od 2027 r., odpowiada Hilton. Doświadczenie hotelarskie ma się przełożyć na stworzenie przestrzeni wygodnych, funkcjonalnych, sprzyjających integracji lub prywatności, pomagających zadbać o kondycję psychofizyczną.

Kosmos się zmienia. Klienci mają być zadowoleni, nie narzekając na siermiężność rozwiązań, które musiały wystarczać pionierom astronautyki i kosmonautyki. A bywało naprawdę ciężko. Niektórzy astronauci wspominają jako największy horror awarię toalety, co zmuszało ich – w ramach improwizacji – do bardzo ostrożnego korzystania z toreb na odpadki. Ale i to furda w porównaniu do przygód w rosyjskiej części stacji, gdzie po poważnym wycieku wszędzie w powietrzu dryfowały cuchnące kropelki, które kosmonauci próbowali zagarniać ręcznikiem.

Nowi rywale

Na niskiej orbicie okołoziemskiej ma powstać w najbliższych latach co najmniej pięć prywatnych stacji orbitalnych, co jest na rękę NASA. Dzięki temu może się ona skupić na bardziej ambitnych celach, jak choćby na programie Artemis – realizowanym także z firmami prywatnymi i ESA – którego celem jest powrót na Księżyc i założenie tam bazy. Milowym krokiem będzie zainstalowanie na orbicie Księżyca stacji załogowej Gateway – znacznie mniejszej od ISS, obliczonej na czteroosobową załogę. Przyda się nie tylko podczas kursów na trasie Ziemia – Księżyc – Ziemia, lecz także przy dalszych wyprawach, przede wszystkim na Marsa.

To nowy wyścig kosmiczny, w którym tym razem USA rywalizują głównie z Chinami, również planującymi lądowanie na Księżycu i eksploatację jego bogactw. Stawka jest podobna – status supermocarstwa – ale Chiny motywuje także urażony honor. W 2011 r. na mocy decyzji politycznej zostały wykluczone z grona państw mogących współpracować z USA w ramach ISS. Analogicznie jak w przypadku amerykańskiej reakcji na Sputnika 1 ta potwarz zadziałała na Pekin mobilizująco. Od 2022 r. okrąża Ziemię po orbicie stacja Tiangong (chiń. niebiański pałac), umożliwiająca pobyt czworgu taikonautom. Chińczycy się spieszą, by w drugim wyścigu na Księżyc wyprzedzić Amerykanów, i mają na to szansę. Ich plany może pokrzyżować Rosja, z którą Chiny miały budować księżycową bazę. Rosyjski przemysł kosmiczny jest bowiem w głębokim kryzysie.

Do gry włączyły się też Indie, ogłaszając plan jednoosobowej stacji badawczej na orbicie Ziemi i wysyłając sondy w kierunku Księżyca. No i nie należy zapominać o Japonii, która co prawda współpracuje z USA w ramach Artemis, ale równocześnie podejmuje własne inicjatywy, zarówno państwowe (agencja kosmiczna JAXA), jak i prywatne. To przecież piąty kraj, którego sondzie udało się miękko wylądować na Srebrnym Globie.

Dziś trudno wskazać faworyta. Program Artemis zalicza opóźnienie za opóźnieniem, co nie jest niczym niezwykłym w podboju kosmosu. Nie inaczej jest z komercyjnymi stacjami orbitalnymi. NASA liczy jednak, że przynajmniej jedna z nich będzie gotowa, zanim ISS uderzy w atmosferę, by ciągłość obecności na orbicie została zachowana.

OLAF SZEWCZYK

eprasa.pl 1a5536f9e2

Niewidzialne imperium

Jak patogeny wpływały na bieg historii i kształtowały cywilizacje, opowiada Jonathan Kennedy, socjolog z Queen Mary University of London, autor książki „Patogeneza”.

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

KASPER KALINOWSKI: **– Jesteśmy jedynym żyjącym przedstawicielem linii *Homo*. Jaką rolę odegrały w tym patogeny?**

JONATHAN KENNEDY: – To fascynujący wątek w ewolucji *Homo sapiens*. Kiedy zaczynałem zbierać materiały do książki, planowałem, że opowieść o tym, jak patogeny wpływały na bieg historii i kształtowały cywilizacje, zacznę od starożytnej Grecji i słynnej zarazy z wojny peloponeskiej opisanej przez Tukidydesa. Potem jednak pomyślałem, że trzeba rozpocząć od prehistorii.

Bo jeszcze ciekawiej się robi, kiedy pomyślimy o patogenach przenoszonych przez *Homo sapiens* w kontekście pierwszych kontaktów z neandertalczykami. Wciąż pokutuje przekonanie, że nasz gatunek był o wiele bardziej inteligentny niż inne hominidy. Jednak coraz więcej badań wykazuje, że neandertalczycy żeglowali, grzebali zmarłych. Rozwinęli coś na kształt medycyny ludowej. W ich zwapnionej płytce nazębnej znaleziono ślady DNA topoli, które zawierają kwas salicylowy – naturalny składnik służący do produkcji aspiryny.

Nawet współcześni mieszkańcy Polski czy Wielkiej Brytanii mają ok. 2 proc. genów po neandertalczykach. Większość z nich odpowiada za funkcjonowanie układu odpornościowego, co może oznaczać, że ułatwiły one *Homo sapiens* przystosowanie się do patogenów, z którymi się zetknęli, migrując do wschodniej Eurazji. Ewoluowaliśmy przecież w tropikalnym środowisku, gdzie było znacznie więcej patogenów niż w Europie, którą zamieszkiwali neandertalczycy. Wiele wskazuje na to, że pierwsi *Homo sapiens* nieświadomie nieśli ze sobą swego rodzaju tajną broń biologiczną.

Po zniknięciu neandertalczyków zaczęły powstawać pierwsze miasta. Jared Diamond uznał to za największą katastrofę w historii. Zgadza się pan?

Trudno o jednoznaczną odpowiedź. Nie ulega jednak wątpliwości, że takie ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ zgęszczenie populacji, wcześniej nieznane, stanowiło idealne warunki dla epidemii chorób zakaźnych. Dlatego amerykański politolog i antropolog James C. Scott określa pierwsze neolityczne osady mianem „wielogatunkowych obozów przesiedleńczych". Po raz pierwszy w historii ludzie żyli też w wielkiej bliskości z różnymi gatunkami zwierząt. Nie tylko tych udomowionych, lecz również szczurów i komarów. Warto pamiętać, że rolnictwo to także początki handlu na dłuższe dystanse, a więc częste kontakty między populacjami. To nie tylko idealne warunki dla transmisji chorób, ale też nowe choroby odzwierzęce, których wcześniej nie znano. Gdyby nie rolnictwo, nie byłoby polio, odry, grypy czy ospy.

Wystarczy przeanalizować cmentarze. Archeolodzy zauważyli, że mieszkańcy pierwszych miast stali się mniejsi tuż po przejściu na rolnictwo. Przyczyna jest prosta – odżywiali się gorzej. Szkielety z początków neolitu noszą wiele niepokojących zmian związanych z chorobami zakaźnymi czy konsekwencjami niedożywienia. Tak wielki krok w rozwoju ludzkości był więc błogosławieństwem dla patogenów i chorób zakaźnych. To trochę jak z rewolucją przemysłową. Długofalowe konsekwencje są wspaniałe, ale początki to olbrzymi wzrost chorób i niedożywienia. Problemem jest jednak brak dowodów naukowych. Ubolewał nad tym wspomniany już Scott. Pisał: „Osobiście uważam, że choroby zakaźne są »najgłośniejszą« ciszą w neolitycznym zapisie archeologicznym".

Pierwsze neolityczne epidemie zaginęły więc w mroku dziejów? Nie poznamy ich rozmiarów?

Nowoczesna archeologia cały czas doskonali metody badawcze. Jednym ze sposobów ustalenia, czy zaszły już przemiany neolityczne, jest analiza próbek mułu z dna jezior. Umożliwia określenie stosunku roślin dzikich do tych uprawianych przez ludzi. Można też uśrednić liczbę znalezisk archeologicznych z poszczególnych dziesięcioleci. Stosując obie metody, archeolodzy stwierdzili, że ok. 5 tys. lat temu w Europie nastąpił gwałtowny spadek populacji. I to o dwie trzecie. Skala epidemii była więc olbrzymia, zwłaszcza że wcześniej obserwowaliśmy naprawdę szybką ekspansję naszego gatunku.

A pierwsze udokumentowane epidemie? Z czasem było ich mniej?

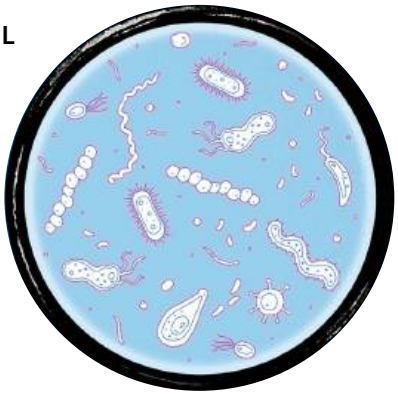

Sami stworzyliśmy warunki, w których koronawirus mógł zakwitnąć. Pewne grupy były bardziej narażone na śmierć niż pozostałe.

Rzymianie słynęli przecież z wysokiego poziomu higieny.

Gdy myślimy o nich, oczyma wyobraźni widzimy czyste łaźnie. To jednak wielki mit. Starożytne miasta były wręcz idealnym miejscem do rozwoju patogenów. Przecież w owych łaźniach kąpały się jednocześnie tysiące ludzi. Nie wiemy do końca, jak często wymieniano wodę. Do tego była ciepła. Kolejne z rzymskich nowinek technologicznych – toalety – niewiele pomagały. Nawet jeśli zamożniejsi Rzymianie mieli je w domach, to często w tym samym pokoju co kuchnia. Poza tym nie znano przecież spłuczek. Nieczystości składowano w dołach kloacznych. A miasto Rzym osiągnęło przecież ok. 1 mln mieszkańców.

W książce twierdzi pan, że patogeny tłumaczą nawet częściowo sukces chrześcijaństwa.

To szczególnie interesujące. Przez pierwsze 200 lat po śmierci Jezusa chrześcijaństwo pozostawało niewielką sektą w obrębie judaizmu. Jednak pod koniec III w. nastąpił nagły wzrost liczby wyznawców. Widać to w pochówkach w rzymskich katakumbach, w Egipcie w zachowanych papirusach – i w rosnącej popularności chrześcijańskich imion. Zanim Konstantyn w IV w. ustanowił chrześcijaństwo oficjalną religią, odnotowano co najmniej dwie duże epidemie. Nie wiemy, jak potoczyłaby się jej historia, gdyby nie zaraza Antoninów (druga połowa II w.) i zaraza Cypriana (w latach 250–270).

Dawna religia nie nagradzała za altruizm. Kiedy wybuchały epidemie, osoby zamożne uciekały z miasta, a pozostali unikali kontaktu z chorymi. Starzy grecko-rzymscy bogowie nie grzeszyli empatią i nie byli zainteresowani losem śmiertelników. Łatwo wpadali w gniew i mogli wtedy uśmiercać całe populacje, np. Apollo w „Iliadzie" raził strzałami zarazy. Według starożytnych wierzeń to on spuścił na świat zarazę Antoninów, która zabiła 7 mln ludzi – tylko po to, by ukarać grzech kilku legionistów. Wystarczyło, że ukradli jego posąg ze świątyni w Seleucji (hellenistycznym bastionie nad rzeką Tygrys i dawnej stolicy państwa Seleucydów) i w 165 r. przywieźli go do Rzymu.

Chrześcijańskie przesłanie w czasach epidemii dawało o wiele więcej nadziei. Wierni rzadziej porzucali chorych krewnych, a chrześcijańska wizja zaświatów była o wiele bardziej pociągająca. Nie tylko barbarzyńcy, ale także patogeny zniszczyły imperium rzymskie. Zarazy bardzo osłabiły potężną armię.

Trudno rozmawiać o patogenach, nie wspominając o czarnej śmierci. Czy to ta epidemia ukształtowała współczesny Zachód?

Należy pamiętać, że ówczesny ustrój feudalny był naprawdę statyczny. Nie zachęcał ludzi do krytycznego myślenia czy poprawiania technik rolniczych. To była epoka wojen, więc pieniądze bardziej opłacało się przeznaczyć na budowę zamków i armii. Na dole drabiny społecznej nie było motywacji do produkcji nadwyżek, bo mogły zostać zrabowane czy skonfiskowane, a skala handlu była wciąż ograniczona. W ciągu tysiąca lat od upadku zachodniego Cesarstwa Rzymskiego dobrobyt i poziom życia przeciętnej osoby w ogóle się nie poprawił.

To wszystko w połowie XIV w. zmieniła czarna śmierć, która zabiła nawet dwie trzecie ludności w ciągu pięciu lat (w Anglii demografia wróciła do czasów sprzed epidemii dopiero w XVII w.). Przerażenie ogarnęło wszystkich. Podobno papież Klemens VI za radą swojego lekarza Guya de Chauliaca miał zamknąć się w komnacie, z nikim nie widywać, a całe dnie i noce spędzać między dwoma dużymi ogniskami. Latem w Prowansji to naprawdę duże wyzwanie. Ogień odstraszał jednak szczury, więc papież przeżył.

A dżuma powracała i zabijała często ludzi młodych, pozbawionych jeszcze odporności. Nagle ziemi było więcej niż

eprasa.pl 1a5536f9e2

tych, którzy mogli ją uprawiać. To był początek końca systemu feudalnego w wielu krajach, ponieważ siła robocza stała się cenna. Pojawił się prywatny sektor najmu ziemi rolnej, a ceny rosły. Zaczęto więc inwestować w zwierzęta pociągowe, doskonalić pługi, aby zwiększyć produktywność. Z czasem żywności było więcej, więc jej ceny zaczęły spadać. Po raz pierwszy można było myśleć o produktach innych niż tylko te zaspokajające podstawowe potrzeby – jak tekstylia czy cukier. W Anglii napędziło to industrializację. To wtedy, w XIII w., krzyżowcy założyli na Cyprze pierwszą plantację trzciny cukrowej – mimo że kojarzymy ją z Karaibami i epoką kolonializmu.

Kolonializm z kolei pochłonąłby zdecydowanie mniej ofiar bez europejskich patogenów.

Pierwsze kontakty Europejczyków z plemionami amerykańskimi poskutkowały kompletną katastrofą. Zaczęło się od ospy. Potem na autochtoniczną ludność Mezoameryki spadały kolejne śmiertelne epidemie. Na początku lat 30. XVI w. pojawiła się odra, którą Aztekowie nazywali cocoliztli. W 1545 r. zabiła nawet 80 proc. mieszkańców regionu, co czyni ją najbardziej śmiertelną epidemią w znanych nam dziejach. Między rokiem 1576 a 1578 nastąpił nawrót, który zabił połowę ocalałych.

Lista jest długa. Pierwsza odnotowana epidemia grypy w Mezoameryce wybuchła w 1558 r. i pochłonęła jedną trzecią ówczesnej ludności tubylczej. W chwili lądowania Hernána Cortésa żyło tam ok. 20 mln ludzi. Wiek później – zaledwie 1,5 mln. O skali zapaści demograficznej świadczy to, że ograniczenie gospodarki żarowej i ponowne zalesienie dziesiątków milionów hektarów ziem doprowadziło do ochłodzenia atmosfery Ziemi o 0,15 st. C. Liczba ludności obu Ameryk spada z 60 mln do 6 mln w ciągu 100 lat od lądowania Kolumba.

Patogeny przyczyniły się do zagłady obu Ameryk, ale długo chroniły przed Europejczykami Afrykę.

Europejczycy, a zwłaszcza Hiszpanie i Portugalczycy, bardzo chcieli skolonizować Afrykę Zachodnią. Dziś myślimy o biednym kontynencie, ale w tamtych czasach – wystarczy spojrzeć na średniowieczne mapy – Afrykę postrzegano jako krainę wielkiego bogactwa, ponieważ stamtąd pochodziło złoto. Jednak okazała się grobem białego człowieka. Przyczyną były właśnie choroby. Za każdym razem, gdy kolonizatorzy próbowali udać się do Afryki Zachodniej, byli pokonywani przez żółtą febrę lub malarię.

Na mapach Afryki, nawet tych późnych, z 1875 r., widać, że w zasadzie nic nie zostało skolonizowane. Wszystko zmieniła chinina, która okazała się skutecznym lekiem na malarię. Mimo to ryzyko śmierci pozostawało duże, więc kolonizatorzy nie zakładali osad i nie zabierali rodzin. Rabowali jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Widać to wyraźnie, gdy spojrzymy na kolej w ówczesnej Afryce. Prowadzi od terenów bogatych w zasoby do wybrzeża. Niestety, przypomina to sposób, w jaki dziś wiele dużych firm z Europy, Ameryki czy Chin próbuje prowadzić interesy na tym kontynencie.

Afryka to jedyne miejsce na świecie, gdzie średnia długość życia nie wzrasta, a ludzie nie stają się zdrowsi.

Szokujące, prawda? Dobrym przykładem jest covid, który dotknął również bogate kraje zachodnie. Szybko opracowano szczepionkę, która zmieniła zagrożenie egzystencjalne w coś, czemu można zapobiegać lub łagodzić przebieg. Na choroby, które każdego roku zabijają w Afryce setki tysięcy ludzi, jak malaria czy gruźlica, również istnieją leki. Jednak firmom farmaceutycznym nie opłaca się ich dostarczać na tak biedne rynki. To prawdziwa moralna porażka, wyraźny znak braku solidarności. Jakbyśmy wciąż postrzegali niektórych ludzi jako bardziej godnych leczenia, a ich życie jako wartościowsze.

Podziały klasowe obserwowaliśmy również w bogatych krajach. Zamożni rzadziej umierali na covid.

W dziedzinie zdrowia publicznego mówi się o epidemiach: „Małe wybuchy są nieuniknione, ale globalne pandemie to nasz wybór lub porażka dotychczasowej polityki". Sami stworzyliśmy warunki, w których koronawirus mógł zakwitnąć. Nie wiem dokładnie, jak to wyglądało w Polsce, ale w Wielkiej Brytanii z pewnością pewne grupy były o wiele bardziej narażone na zachorowanie na covid i śmierć niż pozostałe. Przedstawiciele klasy średniej mogli pracować z domu, dotrzeć wszędzie samochodem i zamawiać jedzenie z dostawą. A kwarantannę łatwiej wytrzymać w dużym domu z ogrodem. Biedniejsi musieli jeździć do pracy autobusem i mieszkać z trzy-, czteropokoleniową rodziną.

W którymś z wywiadów wspomniał pan, że żyjemy w złotej erze mikrobów. Kolejne pandemie to kwestia czasu?

Mamy skłonność myśleć o covidzie jako o zjawisku, które zdarza się raz na 100 lat. Zapominamy, że żyjemy w świecie, w którym co roku wzrasta ryzyko kolejnej pandemii, więc nie ma co zwlekać z inwestowaniem w polityki społeczne, które mogą pomóc w pohamowaniu globalnej ekspansji epidemii.

W książce zastanawia się pan, kto ma rację – słynący z optymizmu i wiary w postęp Steven Pinker czy Gustav Klimt, którego w 1894 r. poproszono o ozdobienie auli Uniwersytetu Wiedeńskiego. Na obrazie „Medycyna" umieścił wyniszczonych fizycznie, cierpiących ludzi. Żyjemy w najzdrowszym świecie w historii?

To zależy. Jeśli jesteś profesorem na Yale, który zarabia miliony na książkach i wystąpieniach publicznych, to tak. Życie Pinkera pewnie też poprawiło się w ostatnich dekadach. Jednak taka narracja pomija wielu ludzi. Nawet w Anglii ciężko już o optymizm. Wydaje się, że wiele rzeczy się pogarsza. W Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii oczekiwana długość życia zatrzymała się, a w niektórych przypadkach spada. Zapytajmy o to mieszkańców Burundi, gdzie leczenie chorób biegunkowych kosztuje ponad 500 mln dol. rocznie, co stanowi 6,4 proc. tamtejszego PKB. Dla zbyt wielu ludzi życie to tragedia, a nie epopeja. Ważne, żebyśmy o tym nie zapominali.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

Jonathan Kennedy jest wykładowcą i dyrektorem programów z zakresu globalnego zdrowia publicznego w Queen Mary University of London. Publikuje felietony na łamach „Guardiana", prowadzi blog na stronie „London Review of Books", jego teksty ukazywały się także w „El País". Doktoryzował się z socjologii na Uniwersytecie Cambridge.

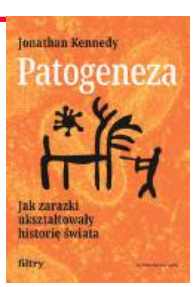

© JONATHAN-COLE,FILTRY

eprasa.pl 1a5536f9e2

© materiały prasowe

Przepustka do przyszłości: jak Agencja Badań Medycznych zmienia polską medycynę

Rozmowa z **prof. Wojciechem Fendlerem**, prezesem Agencji Badań Medycznych, o tym, dlaczego badania kliniczne dają pacjentom dostęp do przełomowych terapii.

Tomasz Kwieciński: Polska ma ambicje, by stać się liderem badań klinicznych w Europie. Jak blisko jesteśmy tego celu?
Prof. Wojciech Fendler: Marzymy o pierwszej piątce, może nawet o podium, ale na razie to bardziej aspiracja. Trochę przespaliśmy moment, gdy Europa w 2014 r. ujednolicała przepisy o badaniach klinicznych – ustawa o badaniach klinicznych weszła w życie dopiero dwa lata temu. Mamy jednak atuty: świetną bazę naukową, szeroką populację pacjentów i głód innowacji. Pytanie, czy zdołamy to wykorzystać, zanim inni nas wyprzedzą.

Dlaczego pacjentom powinno zależeć na tym, by Polska była w tej grze?
Badania kliniczne to przepustka do najnowszych terapii. Spójrzmy na onkologię: nowe leki, zanim trafią do refundacji, mogą być testowane przez dekadę. Badania kliniczne pozwalają zatem pacjentom przeskoczyć tę kolejkę – dostają dostęp do leków, które są co najmniej tak dobre jak obecne standardy, a często lepsze. Ponadto, uczestnicy badań są pod ścisłą opieką zespołu badawczego.

Ale badania kliniczne to nie tylko leczenie raka?
Kardiologia, pediatria, diabetologia, choroby rzadkie... Wszędzie są szanse na przełomowe wyniki lub przynajmniej solidny postęp terapeutyczny.

Czy są dziedziny, które w ramach Planu Rozwoju Badań Klinicznych chciałby pan wyróżnić?
Na pewno choroby rzadkie, których różnorodność kliniczna obejmuje wiele specjalności – od neurologii, dermatologii czy pediatrii po okulistykę i endokrynologię. Największym wyzwaniem jest to, że na świecie żyje ponad 300 mln osób z tymi zróżnicowanymi, trudnymi do diagnostyki i leczenia chorobami. Drugi obszar to choroby układu nerwowego – finansujemy badania i eksperymenty mające na celu poprawę organizacji opieki neurologicznej, przyspieszenie diagnostyki i usprawnienie leczenia. Dla pacjentów to szansa na zdrowie, dla gospodarki – nowe miejsca pracy, dla systemu – oszczędności. Wygrywają wszyscy, choć wciąż musimy przekonywać, że „eksperyment" to nie skok w nieznane, ale rygorystycznie zaplanowany i ściśle kontrolowany, bezpieczny proces naukowy.

No właśnie, te mity. Co najbardziej szkodzi badaniom klinicznym w Polsce?
Słowo „eksperyment" jest jak kula u nogi. W Polsce kojarzy się z szaleństwem doktora Frankensteina, a nie z nauką. Tymczasem w Anglii i USA mówi się *study* – badanie, nie eksperyment. Wiemy, czego się spodziewać: lek przeszedł testy przedkliniczne, nie jest gorszy od standardu, a my tylko weryfikujemy, czy działa lepiej. Pacjent w badaniu klinicznym jest bezpieczny – na bieżąco monitorowany, z dostępem do wiedzy. Drugi mit to przekonanie, że badania to biznes dla cwaniaków i firm, które chcą „zarabiać na pacjentach". A my chcemy, by innowacje trafiały do Polski, a pacjenci nie czekali 15 lat na przełomowe terapie.

Pacjenci często pytają: komercyjne czy niekomercyjne badania – które są dla nich lepsze?
To fałszywa dychotomia. Komercyjne, finansowane przez firmy farmaceutyczne, zwykle prowadzą do

eprasa.pl 1a5536f9e2

rejestracji nowych leków lub poszerzenia wskazań dla istniejących. Niekomercyjne, akademickie, szukają nowej wiedzy – np. jak użyć starego leku w nowym kontekście albo znaleźć grupę pacjentów, która najlepiej reaguje na terapię. Jedne napędzają innowacje, drugie pogłębiają wiedzę. Pacjent zyskuje w obu przypadkach, o ile badanie jest dobrze zaprojektowane. Agencja Badań Medycznych (ABM) istnieje po to, by badania niekomercyjne, które kiedyś były w Polsce rzadkością, mogły rozkwitnąć.

I rozkwitły? ABM, po sześciu latach, spełniła pokładane w niej nadzieje?
W sześć lat podpisaliśmy umowy na 4,6 mld złotych dla 334 projektów krajowych, plus blisko 900 mln z KPO na 132 kolejne. Połowa z tych projektów to niekomercyjne badania kliniczne. Dla uczelni medycznych ABM to teraz główny mecenas – dostarczamy połowę pozyskiwanych przez nie konkursowo środków na naukę. Podobnie wygląda to w przypadku instytutów badawczych, dla których 85 proc. środków pozyskanych na badania pochodzi z ABM. Zanim utworzono ABM finansowanie klejono z łatek: trochę z NFZ, trochę z grantów NCN/NCBR, trochę od sponsorów. Teraz mamy system, który działa spójnie, przewidywalnie i daje wyniki.

Jak ta zmiana wpłynęła na środowisko medyczne?
Odblokowaliśmy potencjał, który tkwił w uśpieniu. Dzięki ABM, kilkadziesiąt tysięcy pacjentów weźmie udział w badaniach niekomercyjnych. To rewolucja: naukowcy mają środki, instytuty – możliwość działania i realizacji celów ustawowych, a pacjenci – dostęp do diagnostyki i terapii, które inaczej byłyby poza ich zasięgiem.

Które projekty ABM uważa pan za najbardziej obiecujące?
Mamy perełki w hematologii, np. nowe metody leczenia białaczek u dzieci. W kardiologii testujemy przełomowe terapie, w neurologii dziecięcej i onkologii pediatrycznej – też. Choroby rzadkie to nasz priorytet, bo dla firm farmaceutycznych to często umiarkowanie opłacalny rynek, a dla nas – misja. Mamy świetnych badaczy, którzy chcą zmieniać świat, a my dajemy im narzędzia. Wspieramy też innowacyjne wyroby medyczne – na przykład finansujemy badania nad polskim materiałem kościozastępczym, który w ortopedii i stomatologii dorównuje zachodnim technologiom. To pokazuje, że Polska może grać w pierwszej lidze.

Ale narzędzia to nie wszystko. Jak wygląda otoczenie prawne dla badań klinicznych w Polsce?
Unijne rozporządzenie z 2014 r. znacząco poprawiło spójność rynku badań klinicznych w UE, ale pozostał do uregulowania obszar związany z działalnością komisji bioetycznych. W ich przypadku, oceny prowadzone przez poszczególne państwa członkowskie są zróżnicowane i często nadmiarowo skomplikowane, co może zniechęcać sponsorów. Druga bolączka to badania oparte na testach diagnostycznych, tzw. companion diagnostics. W UE rejestracja takich testów odstrasza badaczy – kwalifikacja pacjentów do leczenia w oparciu o testy diagnostyczne in vitro wymaga rejestracji oddzielnie w każdym państwie członkowskim. Trzeci problem to wyroby medyczne. Polska ma potencjał, by produkować opatrunki, nici czy wstrzykiwacze, ale nie mamy definicji niekomercyjnego badania wyrobu medycznego. Finansujemy więc wczesne etapy innowacji, ale na fazę testów klinicznych brakuje z powodu tej luki wsparcia poza nielicznymi mechanizmami finansowymi.

A co z danymi medycznymi? Bez nich badania kliniczne to jak jazda z zawiązanymi oczami.
Tu mamy anachronizm. Ustawa o prawach pacjenta i wymianie danych między szpitalami a uczelniami jest jak relikt z lat 90. Szpitale, zasłaniając się anonimizacją, blokują dostęp do danych, które dla naukowców są kluczowe. Biznes sobie radzi, bo może kupić dane. Niestety badacze akademiccy, którzy mogliby z tych danych wyciągnąć rzetelną wiedzę, toną w biurokracji lub nie mają środków pozwalających na komercyjne pozyskanie danych. Staramy się lobbować za zmianami i współpracować z Prezesem UODO oraz Ministerstwem Cyfryzacji w tym obszarze.

Czy sądzi pan, że polska biotechnologia też coś na tym zyska i ma szansę na międzynarodowy sukces?
Mamy championów, jak firmy pracujące nad nowymi terapiami czy wyrobami medycznymi, i ich w tym wspieramy. NCN daje środki na nową wiedzę, NCBR na wczesne innowacje, ABM na późniejsze etapy i badania rejestracyjne. Ten system się wreszcie domyka, choć przez lata brakowało wsparcia na finiszu.

Pacjenci też potrzebują przekonania. Jak ABM edukuje ich o badaniach klinicznych?
To nasz priorytet. Mamy ambasadorów wśród pacjentów, grupę „Aktywni w badaniach klinicznych", która promuje tę wiedzę. Zachęcamy stowarzyszenia pacjenckie do partycypacji w finansowanych projektach. Tłumaczymy: badania kliniczne to szansa na zdrowie, nie ryzyko. To bezpieczny mechanizm, który daje dostęp do terapii przyszłości. Chcemy, by pacjenci widzieli w tym nadzieję, a nie strach.

Co jest zatem największym marzeniem ABM?
By Polska stała się miejscem, gdzie innowacje medyczne rodzą się i rosną, a pacjenci mają dostęp do najlepszych terapii – nie za 10 lat, ale dziś. Chcemy, by badania kliniczne były synonimem nadziei, a nasz system – wzorem dla innych. To nie utopia, to plan. I jesteśmy coraz bliżej jego realizacji.

Rozmawiał: Tomasz Kwieciński

eprasa.pl 1a5536f9e2

Przepis na katastrofę

Wojna rozpoczęta przez USA w Iraku w 2003 r. miała obalić zbrodniczy reżim i zniszczyć broń masowego rażenia. Dała wszystkim lekcję, której Amerykanie, jak widać, nie odrobili.

Amerykańscy żołnierze razem z Irakijczykami obalają pomnik Saddama Husajna w Bagdadzie, 9 kwietnia 2003 r.

eprasa.pl 1a5536f9e2

TOMASZ TARGAŃSKI

„Istnieją znane wiadome, czyli rzeczy, które wiemy, że wiemy. Dalej istnieją znane niewiadome: rzeczy, o których teraz wiemy, że ich nie znamy. Ale istnieją również nieznane niewiadome, czyli rzeczy, o których nawet nie wiemy, że ich nie znamy. I to właśnie te ostatnie są największym zagrożeniem". Donald Rumsfeld, sekretarz obrony w administracji George'a W. Busha, wypowiedział te słowa w lutym 2002 r., ponad rok przed inwazją na Irak, przekonując dziennikarzy, że brak dowodów na posiadanie broni masowego rażenia przez Saddama Husajna nie oznacza, że iracki dyktator takim arsenałem nie dysponuje.

Był za te słowa wyśmiewany, ale celnie scharakteryzował świat pełen dwuznaczności i znaków zapytania, gdzie uzyskanie pełnego, obiektywnego oglądu sytuacji jest niemożliwe. W obliczu niedawnego amerykańskiego ataku na Iran – tak jak było to w przypadku inwazji na Irak w 2003 r. – Waszyngton stanął w obliczu wielu „nieznanych niewiadomych".

Trudny sojusznik

Odkąd Husajn objął pełnię władzy w Iraku w 1979 r., przez kolejne ćwierć wieku Stany Zjednoczone prowadziły z nim dyplomatyczną grę, w której oparte na domysłach założenia, niepełne informacje wywiadowcze oraz zwykłe ludzkie błędy odgrywały główną rolę. Po obaleniu w Iranie szacha w 1979 r. władzę objął ajatollah Chomeini, więc Husajn był dla Waszyngtonu ważnym sojusznikiem: świeckim przywódcą, który może powstrzymać rozszerzenie się rewolucji islamskiej na inne państwa Bliskiego Wschodu. Niesprowokowany atak Husajna na Iran we wrześniu 1980 r. sprawił, że USA – choć oficjalnie nie wspierały żadnej ze stron – z czasem coraz mocniej angażowały się po stronie dyktatora. Amerykańskie służby dostarczały mu kluczowych informacji wywiadowczych. Regionalne interesy Bagdadu i Waszyngtonu stały się chwilowo zbieżne, a Husajn – zwłaszcza w okresie administracji Ronalda Reagana – przestał być pariasem na arenie międzynarodowej (w 1983 r. oficjalną wizytę w Bagdadzie złożył Donald Rumsfeld, oba państwa nawiązały stosunki dyplomatyczne).

Ale Saddam Husajn okazał się kimś więcej niż stereotypowym bliskowschodnim dyktatorem w ciemnych okularach, z karabinem w dłoni. Amerykanie źle go ocenili. Jak każdy autokrata był nieprzewidywalny i podejrzliwy. Poza tym jednak okazał się dogmatycznym rewolucjonistą owładniętym panarabskimi ideami. Postrzegał siebie jako przywódcę świata arabskiego w walce przeciwko zachodniemu imperializmowi reprezentowanemu przez Izrael i Stany Zjednoczone. Spędzał godziny, rozprawiając o postkolonialnej rewolucji.

Miał też ambicje literackie. W wolnych chwilach pisał osadzone w historycznych realiach Iraku powieści, których bohater – zbawca kraju (np. Hammurabi ulepiony na jego modłę) – stawia czoła zagranicznym potęgom. Hołdował przekonaniu, że syjoniści rządzą światem, sterują polityką amerykańskich prezydentów, a on sam jest celem wielkiego spisku. Na dowód swoich tez cytował skompromitowane „Protokoły mędrców Syjonu". W tym schizofrenicznym świecie nic nie działo się przypadkiem, amerykańscy i izraelscy szpiedzy byli wszędzie, Mossad i CIA były wszechwiedzące i nie ustawały w wysiłkach, by go obalić (nie był w całkowitym błędzie, ponieważ CIA wielokrotnie, ale bezskutecznie, szukała sposobu, by zorganizować w Bagdadzie zamach stanu).

Dopiero wiedząc to wszystko o Husajnie, łatwiej wyjaśnić, dlaczego tak desperacko uchwycił się idei rozbudowy własnego programu jądrowego. Posiadanie broni atomowej – lub choćby groźba, że może ją uzyskać – miało odstraszyć regionalnych wrogów, uczynić Irak mocarstwem, a samego Husajna wywindować na pozycję lidera świata arabskiego. Ciągłe pogróżki pod adresem Izraela w połączeniu z nuklearnymi ambicjami na tyle zaniepokoiły Izraelczyków, że Tel Awiw przekonał Amerykanów, iż irackie cywilne reaktory mogą posłużyć do wzbogacenia plutonu. W efekcie w czerwcu 1981 r. Izrael – za pomocą amerykańskich myśliwców F-16 – zbombardował iracki ośrodek Osirak.

Nalot wywołał niedające się przewidzieć konsekwencje, które mogą służyć jako przestroga. Wbrew oczekiwaniom Izraela i Stanów Zjednoczonych zbombardowanie reaktora nie położyło kresu marzeniom Husajna o bombie. Przeciwnie. Iracki przywódca jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że musi wejść w posiadanie broni jądrowej, bo tylko ona odstraszy Izrael przed kolejnym atakiem. Amerykański dziennikarz śledczy Steve Coll w swojej książce „The Achilles Trap" relacjonuje jedną z narad w pałacu prezydenckim kilka dni po ataku, podczas której Husajn z pełnym przekonaniem twierdził, że atak na Osirak był najlepszym dowodem na strach Izraela przed potęgą Iraku. Coll uzyskał dostęp do utajnionych materiałów archiwalnych, w tym stenogramów z narad Husajna z najbliższymi współpracownikami. Jego książka wykorzystuje niepublikowane wcześniej materiały, które rzucają nowe światło na politykę irackiego reżimu.

Kiedy w wyniku pierwszej wojny w Zatoce Perskiej (1990–91) Husajn został zmuszony do wpuszczenia na swoje terytorium inspektorów ONZ, ujawnili oni, że iracki program nuklearny działał nieprzerwanie i był stosunkowo zaawansowany. Opublikowany w 1998 r. na łamach „Arms Control Association" artykuł Khidhira Hamzy, irackiego fizyka, który przez cały okres lat 80. pracował nad rozbudową programu nuklearnego, potwierdził, że mimo ograniczeń finansowych i materiałowych kierownictwo państwa było zdeterminowane, aby uzyskać materiał rozszczepialny wystarczający do zbudowania przynajmniej jednej bomby.

Innym precedensem, który w niedalekiej przyszłości może znaleźć zastosowanie w stosunku do Iranu, jest kierunek, w jakim ewoluował iracki reżim po przegranej wojnie. Upokorzony, izolowany na arenie międzynarodowej i przyduszany sankcjami Husajn wziął odwet na swoich obywatelach. Kurdowie i szyici zostali zaatakowani bronią chemiczną, zbombardowani i masowo przesiedleni. Więzienia zapełniły się ludźmi krytycznymi wobec rządu. Charakterystyczne dla wewnętrznego kręgu Saddama szpiegomania i schizofreniczna atmosfera rozlały się na cały kraj.

Podwójna gra

Po sromotnej porażce podczas wojny w zatoce iracki reżim znalazł się w punkcie zwrotnym. Steve Coll pisze, że w obliczu militarnej klęski w lipcu i sierpniu 1991 r. iracki prezydent podjął jedną z najbardziej zagadkowych oraz brzemiennych w skutki decyzji. W tajemnicy rozkazał swojemu zięciowi Husseinowi Kamelowi zniszczyć wszystkie zapasy broni chemicznej i biologicznej ▶

© GILLES BASSIGNAC/GAMMA/BE&W

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ znajdujące się na terenie Iraku. O misji Kamela nie wiedzieli nawet ludzie odpowiedzialni wcześniej za rozwój tych programów. Nie pozostał po niej żaden dowód na piśmie.

Wszystko to spowodowało, że gdy później międzynarodowi inspektorzy bezskutecznie szukali broni masowego rażenia w irackich magazynach, przedstawiciele reżimu nie mogli w sposób wiarygodny wytłumaczyć, dlaczego nic w nich nie ma. Amerykanie nabierali przekonania, że Saddam wodzi ich za nos. Zachowując dwuznaczne milczenie na ten temat, iracki przywódca sądził, że będzie trzymać swoich wrogów w szachu. Ale niszcząc broń, o którą tak zabiegał, i nigdy nie przyznając się do tego publicznie, ściągnął na siebie podejrzenie całego świata oraz dał Amerykanom pretekst do wojny, która zaprowadziła go na szafot.

Skąd tak nieracjonalne postępowanie? Aby odpowiedzieć – twierdzi Coll – trzeba spojrzeć na świat oczami Husajna. Przyznając się, że broń została zniszczona, osłabiłby swoją pozycję zarówno wobec wrogów zewnętrznych, jak i opozycji w kraju. Wszyscy dyktatorzy są próżni i czuli na punkcie swojego wizerunku. Opinia publiczna – szczególnie w sąsiednich państwach arabskich – uznałaby go za słabeusza, który sam się rozbraja. Poddać się publicznemu spektaklowi upokorzenia, pozwolić zagranicznym inspektorom odebrać sobie broń, jawiło się jako przekreślenie wszystkiego, co zbudował. Tymczasem Husajn chciał być fetowany jako ten, który nie zgiął grzbietu przed Waszyngtonem.

Poza tym jego zdaniem amerykański wywiad doskonale wiedział, że pozbył się on broni masowego rażenia. Późniejsze oskarżenia USA i ONZ o jej ukrywanie Husajn uważał za cyniczną grę obliczoną na utrzymanie sankcji gospodarczych oraz odsunięcie go od władzy. „Prawda się nie opłaci" – pouczał swoich współpracowników – bo wszystko jest ukartowane, Ameryka (oczywiście sterowana przez Izrael) chce go zniszczyć i obnażając swoją słabość, tylko by w tym pomógł. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że prawdopodobnie Amerykanie i tak najechaliby Irak w 2003 r., nawet gdyby Husajn publicznie przyznał się do zniszczenia arsenałów.

Wywiad w malinach

Irracjonalne postępowanie Husajna to jedna z „nieznanych niewiadomych" wspomnianych przez Rumsfelda. Amerykanie popełnili błąd w ocenie wroga, bo nie zrozumieli jego motywacji. Husajn z kolei nie mógł przypuszczać, że CIA uwierzy w stworzoną przez siebie narrację o ukrytych arsenałach. Amerykański wywiad – wbrew temu, co wyobrażał sobie iracki prezydent – nie był nieomylny. W swojej książce Coll pokazuje, jak przed inwazją w 2003 r. Amerykanie ugrzęźli w domysłach, błędnych założeniach i półprawdach. Grupowe myślenie i przekonanie, że Saddam na pewno „coś ukrywa", wzięło górę, a brak dowodów na istnienie broni masowego rażenia tylko utwierdzał ich w tym zdaniu. Do tego doszły plotki o bliskich kontaktach współpracowników Husajna z kierownictwem Al-Kaidy. Doniesienia na ten temat pochodziły z niepewnych źródeł, ale Amerykanie wzięli je za dobrą monetę. Później okazało się, że nie było żadnych kontaktów, a członkowie Al-Kaidy uważali iracki reżim za swojego wroga.

Już po inwazji, kiedy stało się jasne, że w Iraku nie ma śmiercionośnych arsenałów, amerykańska specjalna komisja śledcza ds. wywiadu (Iraq Intelligence Commission) w raporcie podsumowującym swoje prace nazwała działania agencji wywiadowczych „jedną z największych porażek wywiadowczych" w najnowszych dziejach Ameryki.

17 marca 2003 r. w telewizyjnym orędziu prezydent George W. Bush ogłosił, że „bezpieczeństwo świata wymaga, by Saddam został natychmiast usunięty". Trzy dni później amerykańskie wojska uderzyły na Irak. Rada Bezpieczeństwa ONZ nie poparła inwazji. W ciągu miesiąca reżim Husajna upadł, a on sam ukrył się w okolicy rodzinnego Tikritu. Odnaleziony w podziemnej kryjówce stanął przed sądem i w grudniu 2006 r. został stracony za zbrodnie popełnione na obywatelach Iraku.

Niezamierzone konsekwencje

Amerykańska okupacja trwała w sumie osiem lat. W tym czasie Irak pogrążył się w wojnie domowej oraz etnicznej przemocy, której skala wkrótce przyćmiła zbrodnie reżimu Husajna. Brak przygotowania, a miejscami czysta ignorancja Amerykanów oraz nieudolność i korupcja cywilnej administracji, jaką próbowali ustanowić, stały się pożywką dla radykałów: najpierw irackiego oddziału Al-Kaidy, później Państwa Islamskiego (ISIS). Obalając świecki reżim Husajna pod hasłami walki z terroryzmem, Stany Zjednoczone stworzyły próżnię, którą wypełnili islamscy radykałowie.

Ogłoszenie zakończenia okupacji Iraku w 2011 r. przez prezydenta Baracka Obamę było tylko przejściem do nowej wojny – tym razem przeciwko ISIS. Państwo Islamskie stało się czynnikiem, który na tyle zdestabilizował sytuację w regionie, że amerykańskie jednostki bojowe musiały wrócić do Iraku w 2014 r. i przebywały tam do 2021 r. Obecnie w kraju nadal stacjonuje ok. 2,5 tys. Amerykanów (ich rola ma charakter doradczy), a ich bazy wielokrotnie były celem ataków ze strony różnych ugrupowań zbrojnych oraz Iranu.

Według różnych źródeł wojna i okupacja Iraku pochłonęły życia nawet 300 tys. cywilów. Czasopismo naukowe „PLOS Medicine" obliczyło, że biorąc pod uwagę efekt „upadłego państwa", czyli ofiary głodu, niedożywienia i chorób, zmarło ponad 460 tys. Irakijczyków. Stany Zjednoczone straciły 4,5 tys. żołnierzy, siły międzynarodowej koalicji 300 żołnierzy, w tym 22 Polaków. Amerykański budżet wydał na wojnę i próbę odbudowy irackiego państwa w sumie ok. 2 bln dol. Donald Trump wystartował w wyborach prezydenckich w 2016 r., ostro krytykując amerykańską interwencję w Iraku.

Stany Zjednoczone zaatakowały Irak, bazując na założeniu, że dokonują „ataku wyprzedzającego", zapobiegając większej katastrofie, jaką miał być terrorystyczny atak z użyciem irackiej broni chemicznej lub biologicznej. Kiedy informacje, na których podstawie zbudowano to założenie, okazały się fałszywe, uzasadnienie dla całej wojny wraz z prestiżem mocarstwa chcącego „czynić dobro" legło w gruzach.

Gdy podejmuje się decyzję o ataku na inne państwo, trzeba liczyć się z niezamierzonymi konsekwencjami. Obalenie reżimu to jedno – ustanowienie w jego miejsce nowego porządku to co innego. Autorom wojny wydawało się, że wystarczy pozbyć się Saddama Husajna, aby w Iraku zakwitły wolność i demokracja. Podobnie było w Libii w 2011 r., kiedy amerykańska interwencja pomogła obalić Muammara Kaddafiego, a kraj pogrążył się w chaosie, konfliktach wewnętrznych i wojnie domowej.

Koniec końców lekcja z Iraku mówi, że wojna powinna być ostatecznym rozwiązaniem. A wojna rozpoczęta na podstawie błędnych założeń, niepewnych informacji wywiadowczych i wbrew prawu międzynarodowemu, to przepis na katastrofę.

TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Wojownik na dnie

Uszkodzony statek „Rainbow Warrior" w nowozelandzkim porcie w Auckland, 1985 r.

Fernando Pereira, jedyna ofiara śmiertelna ataku

© PATRICK RIVIERE/AFP/EAST NEWS, GREENPEACE

40 lat temu francuski wywiad zniszczył statek organizacji ekologicznej Greenpeace. Sukces był wątpliwy – atak naraził reputację Francji, jej program zbrojeń jądrowych i przyszłość europejskich hodowców owiec.

JĘDRZEJ WINIECKI

W ostatnich dekadach XX w. aktywiści działający na rzecz środowiska naturalnego nie bili się jeszcze o klimat. Jego zmiany nie były powszechnie odczuwalne, także nauka dopiero uczyła się objaśniać rolę emisji gazów cieplarnianych.

Sporo wiedziano za to o poziomie zanieczyszczeń i jeszcze więcej o załamaniu różnorodności biologicznej. Głośne opowieści Jane Goodall o naczelnych czy filmy przyrodnicze Davida Attenborough i Jacques'a Cousteau zwracały uwagę na piękno ginącej dzikiej przyrody oraz los zwierząt lądowych i morskich. Jeśli na Zachodzie osoby o ekologicznej wrażliwości chciały działać, mogły przeciwstawiać się prowadzonemu na przemysłową skalę wielorybnictwu trzebiącemu dogorywające populacje waleni.

Protestowano przeciw polowaniom na foki. W popkulturze utrwalił się obraz uderzania pałką bezbronnych focząt, mordowanych dla ich bielutkich futer. Ostry sprzeciw – zwłaszcza generacji wychowywanej w epoce wojny w Wietnamie, zmęczonej widmem zimnowojennej konfrontacji z użyciem broni masowego rażenia i perspektywą nieuchronnej apokalipsy – budziły też testy ładunków jądrowych.

W latach 70. i 80. detonowano je przeciętnie raz w tygodniu. Najwięcej prób przeprowadzały Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Goniła je Francja. W porównaniu z nimi Wielka Brytania i Chiny testowały raczej symbolicznie. Wybierano miejsca możliwie ustronne. ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ Blok komunistyczny zdany był przede wszystkim na przestrzenie Azji Środkowej. Państwa kapitalistyczne wykorzystywały w tym celu pustynie w Nevadzie i Algierii, australijski Outback oraz wyspy oceaniczne. Brytyjczycy próbowali na Wyspie Bożego Narodzenia, Amerykanie na pacyficznych Wyspach Marshalla i Aleutach. Francji po stracie Algierii zostały m.in. atole na Oceanie Spokojnym, w tym leżący na jego środku Mururoa.

Z wielorybnictwem, polowaniami na foki i próbami jądrowymi od lat 70. walczył założony w Kanadzie Greenpeace. Jego aktywiści malowali młode foki farbą, bezpiecznym dla zwierząt zielonym barwnikiem, by ich futra straciły komercyjną wartość. Myśliwym wyrywano zdobyte skóry. Do kanadyjskiej Arktyki ściągnięto aktorkę Brigitte Bardot, by fotografowała się z trzymanymi w objęciach foczętami. Wchodzono na kurs kolizyjny statków wielorybniczych. Greenpeace stosował ekologiczne korsarstwo sprowadzające się do nośnych medialnie prowokacji. Już wtedy organizację oskarżano o nadmierne szukanie kontrowersji i uderzanie w najsłabszych członków społeczeństwa, w tym tradycyjne wspólnoty utrzymujące się z polowań.

Do operacji na morzu potrzebowano czegoś pływającego. W 1977 r. padło na rdzewiejący 40-metrowy brytyjski trawler wycofany z użytku. Zaprojektowano go do połowów na Morzu Północnym. Zbudowano go 20 lat wcześniej w stoczni w szkockim Aberdeen. Został kupiony ze składek, odnowili go wolontariusze. Na dziobie wymalowali mu gołąbka pokoju niosącego gałązkę oliwną. Statek przeszedł wiele modyfikacji. W 1984 r., podczas półrocznego postoju na Florydzie, dodano mu m.in. żagle, co znacząco zwiększyło jego zasięg – mógł dłużej pozostawać na wodzie bez konieczności zawijania do portu. Podnoszenie żagli dodawało romantycznego sznytu i przekładało się na oszczędzanie paliwa do silnika spalinowego, co poprawiało wizerunek jednostki. Nazwa „Rainbow Warrior" (tęczowy wojownik) nawiązywała do – jak wówczas wierzono – proroctwa rdzennych ludów Ameryki Północnej o wojownikach tęczy, którzy uratują Ziemię. Choć przepowiednia okazała się fikcyjna, nazwa pozostała.

Statek pływał głównie po Atlantyku. Był taranowany przez okręt marynarki francuskiej, zatrzymali go także Hiszpanie, którym po pięciu miesiącach zbiegł pod osłoną nocy.

Z czasem ciężar protestów przenosił się na Pacyfik. W 1985 r. „Rainbow Warrior" wysłano w czteromiesięczny rejs do Nowej Zelandii. Z przystankiem na Wyspach Marshalla, gdzie załoga pomagała 300 mieszkańcom opuścić napromieniowany amerykańskimi próbami jądrowymi atol Rongelap. Statek wchodził do Auckland w chłodną zimową niedzielę 7 lipca, skąd już niebawem miał na czele flotylli wolności – w sumie garstki mniejszych łodzi – skierować się na Mururoa, by skonfrontować się tam z Francuzami.

Greenpeace miał z nimi na pieńku. W okolice atolu pływał własnym jachtem jeden z liderów organizacji David McTaggart, w poprzednim życiu przedsiębiorca budowalny. Któregoś razu francuscy żołnierze wdarli się na pokład przebywającej na wodach międzynarodowych jednostki, McTaggarta i towarzyszące mu osoby dotkliwie pobili.

Mururoa stało się poligonem w 1962 r. Najpierw ładunki jądrowe odpalane na atolu podwieszano pod balonami. Później umieszczano je pod morskim dnem, co jednak nie zapobiegło, twierdził Greenpeace, przedostawaniu się materiału promieniotwórczego do oceanu. Podwyższało to ryzyko zachorowania na nowotwory ludności Polinezji Francuskiej. W sumie Francja na Mururoa przeprowadziła ponad 175 prób. Oburzało to m.in. Nową Zelandię, która była jednym z najbliższych sąsiadów. Co prawda leżącym w odległości kilku tysięcy kilometrów, ale zdecydowanie przeciwnym testom. Nowozelandzkie stanowisko zawierało się w apelu, by Europejczycy się „zabierali". Jeśli próby są bezpieczne – a tak je przedstawiano – to dlaczego nie przeprowadzać ich np. na Morzu Śródziemnym?

Auckland wydawało się więc dobrym miejscem na rozpoczęcie interwencyjnej podróży „Rainbow Warrior". Rząd francuski przyglądał się jej z rosnącym niepokojem, traktując ją nie tyle jak zagrożenie, ile kłopotliwą uciążliwość. Paryż chciał kontynuować program zbrojeń jądrowych i doszedł do wniosku, że eskapadę nagłaśniającą negatywne konsekwencje prób – i szerzej, żądania rozbrojenia atomowego – trzeba przerwać. Port na północy Nowej Zelandii był ostatnim dostępnym punktem, gdzie sabotaż udałoby się przeprowadzić w miarę łatwo i dyskretnie.

Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego, DGSE, czyli wywiad zagraniczny, przygotowała się bardzo starannie. W ramach „Opération Satanique" (fr. operacja szatańska) w nowozelandzkim biurze Greenpeace zaczęła pracować francuska wolontariuszka występująca jako geofizyczka Frédérique Bonlieu. Była to kpt. Christine Cabon, doświadczona w pracy wywiadowczej m.in. na Bliskim Wschodzie. Nową Zelandię jako cel podróży poślubnej wybrała szwajcarska para, Sophie i Alain Turenge (w rzeczywistości agenci Dominique Prieur i Alain Mafart). Poruszali się kamperem – na tyle przestronnym, by pomieścić ponton, sprzęt do nurkowania i materiały wybuchowe wykorzystane w ataku. Ten ładunek przywiozła im czteroosobowa grupa łodzią żaglową „Ouvéa", która do Wyspy Północnej przybiła bez żadnej kontroli granicznej. W tym gronie znajdował się dr Xavier Maniguet, specjalista od medycyny nurkowej. W Auckland pojawili się także turyści Jacques Camurier i Alain Tonel, faktycznie Jean Cammas i Jean-Luc Kister, wojskowi nurkowie, którzy zamontują na kadłubie podwodne miny dostarczone przez nowożeńców. Był jeszcze biznesmen, który zatrzymał się w porządnym hotelu w centrum z widokiem na nabrzeże przystani Marsden Wharf – to Louis-Pierre Dillais, najprawdopodobniej dowódca akcji.

Bomby wybuchły 10 lipca 1985 r. tuż przed północą. Na zacumowanym przy brzegu „Rainbow Warrior" świętowano urodziny jednej z załogantek. Po pierwszym wybuchu schodzono pod pokład, by sprawdzić, co się stało. Portugalski fotograf Fernando Pereira poszedł do kabiny, by uratować aparaty. Druga eksplozja odcięła mu drogę ucieczki, został jedyną ofiarą śmiertelną ataku.

Śledczy najpierw założyli, że przeprowadziła go któraś z grup terrorystycznych. Następnie podejrzenia padły na ZSRR, Chińczyków albo japońskich wielorybników. Nowozelandzka policja sprawdzała też, czy nie doszło do awarii albo czy sami aktywiści nie zaaranżowali zamachu. Dość szybko podjęła jednak trop francuski. „Agenci DGSE zostawili tak wiele śladów – wspominał po latach jeden z liderów antyatomowych protestów Greenpeace – że na miejscu zdarzenia

eprasa.pl 1a5536f9e2

Francuska próba jądrowa na atolu Mururoa

brakowało jedynie „beretu, bagietki i butelki beaujolais".

Nie udało się zatrzymać jachtu „Ouvéa", zresztą jak się okazało skradzionego. Został zatopiony zaraz po tym, jak przebywających na nim ludzi podjęła przebywająca w pobliżu francuska łódź podwodna „Rubis". Wyjechali nurkowie i zespół wsparcia. Zostało domniemane szwajcarskie małżeństwo. Udało się je aresztować, postawić przed sądem i skazać. Mjr Alain Mafart i kpt. Dominique Prieur dostali kary po 10 lat pozbawienia wolności.

Paryż zarzekał się, że nie ma nic wspólnego z pierwszym zamachem bombowym w historii Nowej Zelandii. Upierał się nawet wtedy, gdy ujawniono tożsamość pary z kampera i członków załogi jachtu. Ujawnionych faktów było zbyt wiele. Posady stracili szef wywiadu i minister obrony. Wybuchł największy skandal V Republiki złapanej na terroryzmie państwowym, co na długo zapamiętano i co stało się synonimem hipokryzji rządów Zachodu. To było prawie francuskie Watergate. Prawie, bo z Pałacu Elizejskiego nie musiał się wyprowadzić prezydent François Mitterrand, który miał nie znać kulisów operacji. Oberwało mu się jednak za to, że jako polityk lewicowy odstąpił od ideałów. To w jego epoce Republika zdetonowała najwięcej ładunków jądrowych.

Francja nie zamierzała pozostawiać swoich ludzi na antypodach. Mitterrand zagroził bojkotem nowozelandzkich produktów i pod tym naciskiem wytargowano porozumienie. Przewidywało milionowe odszkodowania dla rodziny ofiary, Greenpeace i Nowej Zelandii. Wydano skazaną dwójkę oficerów. Mieli odbywać karę na jednej z polinezyjskich wysp, ale po roku ich wypuszczono. Pojawił się niezrealizowany pomysł, by Fernando Pereira został patronem którejś z paryskich ulic. Rząd francuski zgodził się też na rozluźnione zasady importu nowozelandzkiej baraniny na wspólny europejski rynek, co stanowiło poważną konkurencję dla hodowców na Starym Kontynencie. I pośrednio wpłynęło na sytuację wilków. Powróciły do Francji w 1992 r., zdarzało się, że znajdowały ofiary na pastwiskach i to im, a nie wciąż urzędującemu Mitterandowi, przypisano odpowiedzialność za gorsze wyniki właścicieli owiec.

Zamach miał zatrzymać protest, a rozsławił organizację i sprawy, o które walczyła. Pomógł wciąż niewielkiej grupie zyskać rozgłos i zbudować sieć o globalnym zasięgu. „Rainbow Warrior" nie zatonął, przewrócił się na prawą burtę i oparł o nabrzeże. Nie dało się go naprawić. Został podniesiony i odholowany do nieodległej zatoki, gdzie go zatopiono. Stał się podstawą rafy koralowej i celem wypraw nurkowych.

Jego następca „Rainbow Warrior II" powracał na Mururoa. Ten żaglowiec został później przearanżowany na statek szpital w Bangladeszu. W latach 90. Francja dołączyła do grupy państw, które przystały na moratorium na próby jądrowe, wcześniej zrobiły to Związek Radziecki, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. W 1995 r. Jacques Chirac powrócił na chwilę do testów. Jak się okazało – ostatnich. Francuski licznik zatrzymał się na 210 eksplozjach jądrowych.

JĘDRZEJ WINIECKI

© BILDERWELT/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1a5536f9e2

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

scena

Potwór-kontratenor 4/6

Alek Nowak, **Głos potwora**,
reż. Agnieszka Smoczyńska, Opera Bałtycka w Gdańsku

Kompozytor Alek Nowak współpracował z autorem libretta Robertem Bolestą i reżyserką Agnieszką Smoczyńską, choć nie ingerował już w kształtowanie ostatecznej formy spektaklu. I może trochę szkoda, bo bez przeczytania komentarzy tłumaczących, o co tu chodzi, trudno jest się w tym połapać. Dlaczego właściwie, skoro podstawą są tu wspomnienia Solomona Perela, na których kanwie powstał film Agnieszki Holland „Europa, Europa", znajdujemy się w muzeum, a kustosz ekspozycji wciela się w jej bohatera? Bolesto twierdzi, że chciał historię Perela zobiektywizować. A także zuniwersalizować, więc została przeniesiona w świat zniekształconej mitologii greckiej: Żydzi są tu Meduzami, Niemcy – „plemieniem hadesowym", a Hitlerjugend jest szkołą dla Erynii. Stąd niezwykłe użycie wizerunku Meduzy – jej portret umieszczony na wystawie zmienia mimikę, zarazem przerażając i obrazując przerażenie.

Wizerunek i głos Meduzy zarazem przerażają i obrazują przerażenie

Za te efekty odpowiedzialny jest autor projekcji Natan Berkowicz, który stworzył również upiorny filmik pokazujący obóz letni szkoły Erynii.

Można się czepiać libretta, które jednak treściowo trzyma się z grubsza scenariusza filmu „Europa, Europa", ale muzyka tego dzieła wstrząsa. Jest to właściwie monodram, w którym głównemu bohaterowi towarzyszy zza sceny chór, wcielający się w pozostałe postacie, oraz orkiestra kameralna. Solistą jest kontratenor Jan Jakub Monowid, przejmujący także aktorsko. Ów tytułowy „głos potwora" to właśnie wysoki rejestr kontratenorowy, który ma być jednym z wyróżników Meduzy. Całość znakomicie prowadzi muzycznie Yaroslav Shemet. Dzieło zostało zamówione w ramach projektu poznańskiego festiwalu Malta, którym honorowano Holland. Tam właśnie, przygotowane siłami Opery Bałtyckiej, miało prapremierę w ostatnim dniu imprezy. Powtórzone zostanie 12 lipca w siedzibie wykonawców w Gdańsku w ramach Baltic Opera Festival, a jesienią w Warszawie podczas festiwalu Eufonie.

DOROTA SZWARCMAN

scena

Jak zrobić tłok 4/6

Skowyt według poematu Allena Ginsberga, scen. i reż. Kamil Białaszek, Teatr Żydowski w Warszawie

Kamil Białaszek, w przedteatralnym życiu raper Koza, to obecnie jeden z najbardziej rozchwytywanych reżyserów w kraju. Jego „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" z Teatru Polskiego w Poznaniu zrobił dużo szumu, był pokazywany na prestiżowych Warszawskich Spotkaniach Teatralnych oraz na gdyńskim Open'erze, a w stołecznym Teatrze Powszechnym za nowej dyrekcji Mai Kleczewskiej ma przygotować „Hamleta". Dlatego pewnym zaskoczeniem może być informacja, że jego nowa premiera, zrealizowana w Teatrze Żydowskim, z muzyką Dominika Strycharskiego i projekcjami Mikołaja Mitoraja, to spektakl dyplomowy, koprodukowany przez Akademię Teatralną. Na finał studiów wybrał rzecz może równie zaskakującą: „Skowyt", kontrkulturowy poemat Allena Ginsberga z 1956 r., ze słynną otwierającą frazą: „Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia zniszczone szaleństwem, głodne histeryczne nagie…". Tamten obraz Ameryki trawionej przez konsumpcjonizm i autorytaryzm, w pędzie ku samozagładzie, i outsiderów poszukujących duchowości i metafizyki w religiach i narkotykach okazuje się znów bardzo aktualny. Białaszek zestawia „wykłady" Ginsberga (Jerzy Walczak) z występami Donalda Trumpa (ucharakteryzowany Rafał Rutowicz), teoriami spiskowymi szerzonymi przez dziennikarkę telewizyjną (Joanna Rzączyńska), narkotykowymi tripami i sesjami mantrowymi czy internetowymi poradami na temat dawania w żyłę. Tworzy punkowy, chałupniczy kabaret, czasem zabawny, częściej bardzo smutny.

W tym punkowym kabarecie nie mogło zabraknąć Donalda Trumpa (Rafał Rutowicz)

ANETA KYZIOŁ

© MAGDALENA HUECKEL/MALTA FESTIVAL., MICHAŁ MITORAJ/TEATR ŻYDOWSKI W WRSZAWIE, KINO ŚWIAT, DISNEY+, KUBA CELE/ZACHĘTA

eprasa.pl 1a5536f9e2

Barwy czasu 4/6

Pewnego razu w Paryżu, (La venue de l'avenir), reż. Cédric Klapisch, prod. Francja, Belgia, 124 min

film

Pełna ciepłego humoru nowa komedia autora popularnej trylogii „Smak życia" to sentymentalna podróż w przeszłość w poszukiwaniu rodzinnych korzeni. Jej celem jest przyjrzenie się różnym podejściom do sztuki, emancypacji kobiet, do wyborów partnerów czy do wartości. Swoje ambitne zamierzenie Cédric Klapisch osiąga poprzez szalenie prostą konstrukcję, zderzającą bliski nam chaotyczny styl życia w wielkim mieście z dobiegającym końca wiekiem XIX, w którym rewolucja impresjonistów nie znalazła uznania w oczach konserwatywnej opinii publicznej. Skojarzenie z „O północy w Paryżu" Woody'ego Allena wydaje się nieprzypadkowe. „Pewnego razu w Paryżu" też zanurza się w legendę, bawi się nagłą obecnością Victora Hugo czy Claude'a Moneta i porównuje warianty życiorysów z akcentem na młode, pragnące poczuć smak wolności panie. Bohaterkami są urodzona na wsi matka nieznajdująca spełnienia w miłości i porzucona przez nią córka, opuszczająca Normandię w wieku 21 lat, również poddana podobnym pokusom uczuciowym. Obserwacja ich lustrzanych perypetii na tle naszej wspaniałej, wypranej z romantyzmu nowoczesności nie prowadzi do zaskakujących wniosków. Zamiast wstrząsać sumieniami, film stara się przypomnieć, że podążanie za głosem serca nie zawsze kończy się klęską.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Okruchy dania 3/6

The Bear 4, twórca serii: Christopher Storer, 10 odc., Disney+

serial

Ciąg dalszy historii rodzinnego baru z kanapkami, a później ambitnej restauracji w Chicago, ogląda się jak stopniowe dogasanie emocji. Po dwóch dziarskich, choć nierównych sezonach – z pojedynczymi wybitnymi odcinkami – trzeci był raczej listem miłosnym do sztuki kulinarnej, momentami nieco nużącym. Czwarty domyka różne osobiste wątki bohaterów związane z przepracowywaniem traum lub samorozwojem, ale nie podnosi się już ani na moment na najwyższy poziom serii. Choć siódmy odcinek, rodzinne spotkanie familii Berzatto, wydaje się rewersem emocjonalnym eksplozji, którą przynosiła pamiętna świąteczna kolacja z drugiego sezonu („Fishes"). Wraca znakomita Jamie Lee Curtis w roli Donny, matka neurotycznego szefa kuchni Carmy'ego (**Jeremy Allen White**) i ich trudna relacja. Wracają też wątek miłosny (i Molly Gordon jako Claire) oraz problemy finansowe, choć ani sama fabuła nie przykuwa już do fotela, ani postać wujka Jimmy'ego (Oliver Platt), inwestora restauracji, nie podnosi ciśnienia. Christopher Storer postawił nie na wybuchowy finisz, lecz na stopniowe wygaszanie palników, na których odgrzewa jeszcze kilka (świetne aktorstwo, niezłe dialogi z naturalnie zabawnymi momentami) sprawdzonych składników. Miał to być finał, ale po emisji ogłoszono, że będzie ciąg dalszy.

BARTEK CHACIŃSKI

Dla zanurzonych 4/6

Przestrzenie, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa, do 21 września

galeria

Tematem wystawy jest environment, czyli anektujący przestrzeń kierunek sztuki uchodzący ponad pół wieku temu za niezwykle awangardowy. Z czasem ustąpił miejsca instalacjom, ale w historii sztuki zyskał trwałe miejsce. Kuratorzy przygotowali pięć rekonstrukcji słynnych realizacji tego typu: Wojciecha Fangora i Stanisława Zamecznika, Zdzisława Jurkiewicza, **Teresy Kelm i Zygmunta Krauzego**, Marii Pinińskiej-Bereś oraz Ewy Partum. Jest jeszcze pojedyncza „Lina" Magdaleny Abakanowicz, którą można uznać za takie „pół-environment". Teoretycznie te dzieła prezentują spore spektrum gatunku: od prac malarskich, przez rzeźbiarskie, a kończąc na konceptualnych. Skoncentrowanych na formie, na kolorze, ale też łączących plastykę z dźwiękiem czy poezją. Jednak wieńcząca ekspozycję sala z dokumentacją tego nurtu (m.in. zdjęcia z realizacji w słynących z progresywnego programu Galerii Foksal czy Galerii Współczesnej) uświadamia widzowi, jak wiele z tego dorobku… nie pokazano. Owszem, taka prezentacja generuje koszty i wymaga wielkiego wysiłku, ale gdy się mówi „a", trzeba też powiedzieć „b". Inaczej z historycznej panoramy gatunku robi się prezentacja przyczynkarska. Deficytem jest też brak, choćby powierzchownego, osadzenia fenomenu polskiego environmentu w szerszym kontekście światowej sztuki nowoczesnej. W sumie wyszła wystawa bardziej dla zanurzonych w temacie miłośników niż przypadkowych odbiorców.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Śmierć jest jak tramwaj 5/6

Serhij Żadan, **Arabeski**, przeł. Michał Petryk, wyd. Czarne, Wołowiec 2025, s. 114

Wielka jest siła w tych małych prozach, które rozgrywają się poza frontem. Kobieta i mężczyzna spotykają się w hotelu, ale nie mogą zostawić wojny, którą mają na co dzień, całkiem poza sobą. Przenoszą ją w przestrzeń intymną. W cerkwi, w czasie pogrzebu żołnierza, patrzą na siebie dwie kobiety: żona i ta druga, z którą był na froncie. Jak wyglądają spotkania bliskich ludzi po latach nieobecności? Czy można choć na chwilę wyrwać się wojnie? Serhij Żadan z psychologiczną wnikliwością portretuje życie w cieniu wojny. Pokazuje to, co rozpościera się między ludźmi, w niedopowiedzeniach i pustce. Ale też ból, który przynosi wiosna w opuszczonych i zniszczonych miastach. Wiosna zawsze wygląda, jakby nic się nie stało: „Czekamy, grzejemy się w słońcu, myślimy, że wracają ptaki, wraca wiosna, trwa dziwne życie, wlecze nas ze sobą, jak prąd wlecze buty topielców". Jest też opowieść o tym, jak mężczyźni jadą zabrać trupa babci, która nie wychodzi z mieszkania od wielu dni, w innym opowiadaniu ruszają z pomocą, paczkami na tereny zniszczone. Nic nie jest takie, jak się można spodziewać. Żadan czujnie potrafi zamknąć czyjeś życie w krótkim obrazku. W „Internacie", swojej wielkiej powieści, pokazał świat cywilów zagarnianych przez wojnę, tutaj ludzie z wojny na chwilę wracają do swojego poprzedniego życia, którego już nie ma, jest wszystko inaczej. Z wielką uważnością i maestrią języka tworzy te portrety. Co ich wszystkich łączy? „Śmierć jest jak tramwaj – nie takie znowu ważne, jak się w nim znalazłeś, najważniejsze, gdzie wysiądziesz".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Kroniki z praktyki 5/6

Joyce Carol Oates, **Rzeźnik**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2025, s. 512

Dziś rzadko się tak pisze i jeśli ktoś jeszcze udanie nawiązuje do XIX-wiecznych gotyckich horrorów i powieści, to właśnie Joyce Carol Oates. A czy jest coś straszniejszego niż kobieca anatomia i poród? Silas Weir to aspirujący lekarz, pozbawiony talentu ojca i braci. Kończy podrzędną uczelnię, jąka się z nerwów, mdleje. Ma w sobie zarazem sporo samozaparcia, poczucia dziejowej misji i wiary, że prowadzi go Opatrzność. Staje się specjalistą od upuszczania krwi, chętnie też eksperymentuje. Jako drugoligowy doktor i wieczny banita Weir może praktykować pośród nizin społecznych, aż trafia do ośrodka dla „obłąkanych kobiet", gdzie doskonali autorską sztukę „ginekopsychiatrii". Powieść ma formę fabularyzowanej biografii specjalisty, który leczył kobiety, rzec można, po freudowsku, łącząc psychiczne zaburzenia z defektami w ciele. „Kobieta nieuchronnie bowiem nawet w swej najwznioślejszej duchowej roli Matki Życia, Umiłowanej pod względem cielesnym, wciąż pozostaje kobietą. Cielesna wstrętność kobiecego ciała nie jest kwestią rasy, tożsamości etnicznej czy odcienia skóry; to raczej dziedzictwo Ewy". Cóż począć? 87-letniej Joyce Carol Oates trudno odmówić literackiej werwy i fantazji. Komizm potęguje grozę, a spod historycznej szaty wyziera bardzo aktualna refleksja o statusie kobiet dawniej i dziś. Porażające. Jak „Opowieść podręcznej", tylko ze skalpelem.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

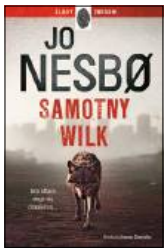

To samo od nowa 3/6

Jo Nesbø, **Samotny wilk**, przeł. Iwona Zimnicka, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2025, s. 400

W swoich powieściach Jo Nesbø wyprawiał się już czasami poza Norwegię, teraz zdecydował się napisać thriller amerykański. Podobno zresztą przysporzyło mu to kłopotów ze strony policji, zainteresowanej intensywnym researchem prowadzonym przez autora. Norweg wykorzystał kwerendę z pożytkiem – umiejętnie odwzorował realia podupadającego Minneapolis kilka miesięcy przed pierwszą prezydenturą Donalda Trumpa, zdołał uchwycić falę narastającego napięcia i rozczarowania, która zmieniła Amerykę na dobre. Szkoda, że podobnej jakości nie ma fabuła skupiająca się na prowadzonym przez detektywa Boba Oza śledztwie w sprawie zamachu na narkotykowego dilera. Oz to kolejny w katalogu stworzonych przez Nesbø postaci policjant bliski upadku na dno. Niedawno rozpadło się jego małżeństwo, więc zatraca się w alkoholu i przygodnym seksie, co zresztą sprawi, że zostanie odsunięty od dochodzenia. Tymczasem domniemany sprawca okazuje się seryjnym mordercą, na dodatek planującym swoje największe „finałowe dzieło". Autor „Samotnego wilka" jest twórcą niezwykle sprawnym, więc na poziomie poszczególnych scen czy konkretnych obserwacji wciąż bywa błyskotliwy i zaskakujący, akcję zaś prowadzi w szybkim tempie. Niestety po raz kolejny korzysta z tych samych co zawsze gatunkowych schematów, wpada w fabularne mielizny, niepotrzebnie dopisuje rozgrywającą się parę lat później klamrę, a fabularny zwrot akcji wydaje się za bardzo przekombinowany. Najwierniejszym wielbicielom prozy Norwega może to wystarczy, reszta powinna raczej sięgnąć po starsze kryminały z Harrym Hole.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, MP (6), INDIGO FILM, APPLE TV+, PAP/EPA/TAMAS VASVARI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Wymazywanie 5/6

Clair Obscur: Expedition 33,
Sandfall Interactive, Kepler Interactive,
PlayStation 5, Windows, Xbox Series X

Mieszkańcy miasta na skałach, rzuconego siłą kataklizmu na środek oceanu, codziennie widzą na horyzoncie gorejące cyfry. Zawsze po upłynięciu roku liczba znika, zastępowana o jeden niższą. Wtedy ci, którzy byli w wieku wskazywanym przez wymazane kwantum, również są wymazywani ze świata. Tym razem przeminie pokolenie 34-latków, żegnanych tradycyjnie kwietnymi girlandami. W dniu zmiany Gustave, 33 lata, spotyka się po rozłące ze starszą o rok Sophie, której nigdy nie przestał kochać. Rankiem wyruszy z ekspedycją mającą za cel przerwanie śmiertelnego cyklu. Jako opowieść o miłości z dramatem w tle, zniuansowane francuskie „Clair Obscur: Expedition 33" wyróżnia się jak „Kobieta i mężczyzna" Leloucha w porównaniu z „Pretty Woman". A mechaniką rozgrywki przypomina najlepsze japońskie turowe gry RPG. Oszałamiający debiut małego studia Sandfall Interactive.

Ofiary sukcesu 3/6

Elden Ring Nightreign,
From Software, Bandai Namco, Cenega,
Windows, PlayStation 4 i 5, Xbox One, Series X/S

Czym wytłumaczyć fakt, że cenione za własny styl i wysoką jakość japońskie studio FromSoftware („Dark Souls", „Elden Ring") zrobiło grę zaprzeczającą wartościom swoich produkcji? Może tym, że po gigantycznym sukcesie „Elden Ring" (2022 r.) część udziałów we FromSoftware wykupiły Sony Interactive Entertainment i chiński Tencent? Hej, zaróbmy jeszcze więcej na grze kompletnie innej, choć z tym samym szyldem! „Elden Ring Nightreign" jest zatem grą nastawioną na kooperację (!) trojga uczestników, z wymuszającym szalony pośpiech limitem czasu (!) i z tworzonym dla każdej rozgrywki losowo terytorium, kurczącym się jak w popularnym „Fortnite" (!), którym zapewne, według nowych udziałowców, opłaca się inspirować. Powstała gra przeciętna, a miłośnicy „Elden Ring", przemierzanego niespiesznie, by odkryć wszystkie tajemnice rozległego świata, nie mają tu czego szukać.

Rosną wyzwania 3/6

Nightmare Frontier,
Ice Code Games, Windows

Przełom XIX i XX w., Dziki Zachód opanowany przez makabryczne istoty niczym z koszmaru. W niegdyś pełnym życia, dziś wymarłym mieście wyrusza na poszukiwanie łupów drużyna szabrowników, nie bacząc, kto – czy raczej co – na nich czyha. Początkowe potyczki są proste, kolejne stanowić będą coraz większe wyzwania, w zamian oferując nagrody: potężniejsze bronie czy materiały, dzięki którym można swój ekwipunek ulepszyć. Wiąże się to jednak z hazardem – jeśli drużyna przegra, zebrane łupy przepadną. Walka toczona jest w turach, co nie dziwi, bo przecież polskie studio Ice Code Games to specjaliści od tego typu rozgrywki. Ich turowe gry bitewne „Hard West 2" (2022 r.) i „Rogue Waters" (2024 r.) zasłużenie zebrały dobre opinie. W „Nightmare Frontier" czerpią z doświadczeń i wprowadzają nowe atrakcje. Gra została wydana w trybie wczesnego dostępu, co oznacza, że studio będzie ją dalej ulepszać i rozwijać. Jest zatem dobrze, a będzie pewnie jeszcze lepiej.

OLAF SZEWCZYK

nie przegap

Wielkie piękno, reż. Paolo Sorrentino, (znów) w kinach od 11 lipca

Czy „Wielkie piękno" to współczesna wersja „Słodkiego życia" Felliniego? Do dziś trwają o to spory. Sorrentino, największy obecnie włoski reżyser, tym właśnie filmem, nagrodzonym Oscarem, osiągnął status klasyka, dając niezbity dowód, że można opowiadać o frustracjach i tęsknocie za utraconym czasem w sposób wywołujący niemal ekstazę. Wielkie dzieło przekraczające granice jawy, magii i snu, kolejny raz czyniące przy tym z Rzymu miejsce mitologiczne. JW

Fundacja, sezon 3, Apple TV+, premiera: 11 lipca

Adaptacja cyklu SF Isaaca Asimova wydawała się przedsięwzięciem karkołomnym, a jednak się powiodła, nawet jeśli fabuła serialu odbiega od książek. Opowieść o dziejach konfliktu despotycznego Imperium z Fundacją, organizacją chroniącą wszelką wiedzę, imponuje rozmachem i wizualną kreatywnością. A w nowym sezonie pojawia się – w charakterze kosmicznej dekoracji – warszawska Świątynia Opatrzności Bożej, co polskim widzom pozwoli dopisać do fabuły dodatkowe (choć pewnie niezamierzone przez twórców) konteksty. JD

Globaltica – 20. Festiwal Kultur Świata, Park Kolibki, Gdynia, 17–20 lipca

A jeśli ktoś zagapi się po Open'erze i zostanie w Gdyni na dłużej? Z pewnością świetnie odnajdzie się na jubileuszowej edycji Globaltiki. Scena muzyczna układa się w prawdziwy zjazd osobowości muzyki świata: Hiszpanka Mercedes Peón, Asmâa Hamzaoui (Marokanka, której koncert odwołano w 2020 r.), a do tego najważniejsza bodaj bałkańska orkiestra, zespół **Bobana Markovicia**. Polskę reprezentować będą m.in. Kapela Ze Wsi Warszawa i Bassałyki. Niezależnie od temperatury powietrza będzie gorąco. BCH

eprasa.pl 1a5536f9e2

Wszystkie moje filmy mają jeden cel: zapełnić puste krzesła w kinach – mówi Juliusz Machulski, reżyser filmowy, scenarzysta, pisarz i producent, autor komedii kryminalnej „Vinci 2".

Nie tylko skok

Juliusz Machulski – (ur. 1955 r.) reżyser filmowy, scenarzysta i producent znany z charakterystycznego stylu, łączącego komedię z elementami kryminału i satyry. Ukończył wydział reżyserii Szkoły Filmowej w Łodzi. Debiutował w 1981 r. „Vabankiem", który odniósł ogromny sukces kasowy. Jest też autorem m.in. „Seksmisji", „Kingsajzu" oraz obu części „Kilera". Szef rozwiązanego niedawno zespołu filmowego Zebra. Autor wielu książek, w tym kilku powieści kryminalnych.

eprasa.pl 1a5536f9e2

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– To prawda, że porzuca pan reżyserię?**

JULIUSZ MACHULSKI: – Nie, nie tak powiedziałem, tylko że po przeszło 45 latach pracy czuję się filmem nasycony. To najwłaściwsze określenie. A przy okazji coraz trudniej mi znaleźć finansowanie dla moich projektów. Nawet takiego jak „Vinci 2". Eksperci z komisji PISF przyznającej filmom dofinansowania, de facto często moi młodsi koledzy, egzaminowali mnie niemal jak debiutanta. Mieli dziwne zastrzeżenia do scenariusza i generalnie uważali, że dotacje należy przyznawać produkcjom arthouse'owym, a reżyserzy filmów gatunkowych sami powinni dawać sobie radę, szukając prywatnych pieniędzy na rynku. Doprowadziliśmy wreszcie do końca tę produkcję, ale tylko dzięki mojemu i Zbyszka Domagalskiego charakterowi. PISF, widząc naszą determinację i to, że zdjęcia do filmu zostały ukończone, przy drugim podejściu wolał być częścią tego projektu i finansowanie – wprawdzie niższe niż się staraliśmy – w końcu przyznał. Kosztowało mnie to dużo energii, a nie staję się przecież młodszy. Dlatego na jakiś czas zawieszam działalność. Co nie znaczy, że gdyby znalazł się producent z finansowaniem, a ja miałbym jakiś projekt, odmówiłbym.

Czyli plotki o pana filmowej emeryturze nie są częścią kampanii promocyjnej „Vinci 2"?

Nie, to nie zabieg piarowy. Reżyseria jest wycieńczającym fizycznie zawodem. Proces realizacji trwa średnio dwa lata. Kiedyś rzeczywiście przechodziłem z projektu w projekt, ale w pewnym momencie zadałem sobie pytanie: „A kiedy żyć?". Mam rodzinę, która się ostatnio powiększyła, rosną wnuki, miło jest móc dzielić z bliskimi większość wolnych chwil. A przede wszystkim robić to, co sprawia przyjemność. Mam, w co mnie samemu trudno uwierzyć, już 70 lat i chcę nadal opowiadać historie, ale wolę pisać powieści, co jest zajęciem równie przyjemnym, a na pewno mniej stresującym.

Marek Kondrat też w pewnym momencie zaczął sobie cenić spokój, aż niedawno ogłosił, że wraca na plan. Skusiła go propozycja roli Rzeckiego w nowej ekranizacji „Lalki".

Nie dziwię się, bo to musiała być dlań ciekawa propozycja. I cieszę się, bo jako widz lubię oglądać Marka na ekranie. Nie wiem tylko, czy w sumie początkujący reżyser Maciej Kawalski udźwignie ciężar ekranizacji największej polskiej powieści? Maciek reżyserował trzy odcinki serialu „Mały zgon", więc trochę go poznałem. Występujący także w „Vinci 2" Marcin Dorociński, wybrany do roli Wokulskiego, jest atrakcyjnym mężczyzną, z wiekiem coraz przystojniejszym, więc może się zdarzyć, że wbrew Prusowi to Izabela Łęcka, którą ma grać Kamila Urzędowska, będzie się za nim uganiać, a nie na odwrót. (*śmiech*) Trzymam jednak kciuki, żeby się udało.

Jeśli mimo wszystko „Vinci 2" miałby się okazać pana testamentem, to z jakim przesłaniem ten film zostawia widza?

Uważam, że lepiej wybrać sobie film, którym chce się zakończyć zawodową karierę, niż zakończyć ją, bo już nikt nie chce oglądać twoich filmów. Co nie znaczy automatycznie, że będzie nim „Vinci 2". Wszystkie moje filmy mają jeden cel: zapełnić puste krzesła w kinach. Po dwóch godzinach seansu publiczność powinna wyjść z kina poruszona albo rozbawiona, albo przerażona. Najgorsze, co może się zdarzyć, to gdy wyjdzie obojętna. Bo to znaczy, że te dwie godziny to była strata czasu. Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że większość filmów jest taka właśnie. Co do idei, często jest nią w mojej twórczości wieloletnia, poddawana próbom przyjaźń. W „Vinci 2" też tak jest. Liczy się nie tylko sam skok. Między pierwszą częścią a drugą minęło 20 lat. Wiele się zmieniło w Polsce oraz w życiu bohaterów. Julian, czyli Borys Szyc, i Kamilla Baar, czyli Magda, mają synka, lecz żyją osobno. Cuma, czyli Robert Więckiewicz, stara się im pomóc. Jest tam kilka splatających się wątków. Jeżeli coś musi z tego wynikać, niech będzie to, że ludzi dobrej woli jest więcej i – jak śpiewał Czesław Niemen – mocno wierzę w to, że ten świat nie zginie nigdy dzięki nim.

Jak w dobrej bajce. Kierując się względem merkantylnym, nie powinien pan raczej pomyśleć o sequelu „Seksmisji" albo trzecim „Kilerze"?

„Vinci 2"

Ciągle słyszę o takich pomysłach. Kiedyś, wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, napisaliśmy z Ryszardem Zatorskim scenariusz „Seksmisji 3". Z rozmachem, po mickiewiczowsku bezczelnie przeskakując drugi etap. Bohaterami było dwóch młodych astronautów wracających z misji na Ziemię, gdzie władzy nie sprawuje już Liga, tylko anarchistki traktujące chłopców jak seksualne zabawki. Nazwaliśmy ich bimboyami. Albert i Maks, żeby się szybko nie zestarzeć, zamieszkują na powierzchni w piramidach, ale są pokłóceni. Chodziło o obśmianie à rebours męskości i patriarchatu. No, ale jakoś nikt się nie palił do sfinansowania tej historii, mimo że Jurek Stuhr i Olo Łukaszewicz byli chętni. Ostatecznie opublikowaliśmy to w formie książki w 2002 r. Co do kontynuacji „Kilera", dawno przestało mnie to interesować, może dlatego, że oryginalny film nie zrodził się w głowie mojej, tylko Piotra Wereśniaka – w przeciwieństwie do „Vabanku", nad którego trzecią częścią intensywnie chciało mi się pracować. Akcja miała się toczyć w czasie okupacji. Kończyć wybuchem powstania. Kramer jest folksdojczem, dyrektorem Banku Rzeszy w Generalnej Guberni. Niemcy przechowują w sejfie jego banku nie tyle kasę, ile listę ▶

© LESZEK ZYCH, ADAM GOLEC

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶ swoich agentów w polskim ruchu oporu. Duńczyk organizuje oddział, planuje skok na ten bank Kramera i namawia Kwintę, który został w Szwajcarii, żeby wrócił do kraju. Klimaty trochę jak w „Parszywej dwunastce". Nic z tego nie wyszło, minęły lata, aktorzy, czyli Kwinto, Duńczyk i Kramer, się postarzeli, pomyślałem, że przeniosę fabułę w lata 50. Nowa wersja kończyła się tym, że zostaje obrabowany stalinowski bank. Dowiedziawszy się o tym, Stalin umiera na zawał.

„Vinci 2" też powstał na zamówienie?

Tak. Studenci Zbigniewa Domagalskiego, który wykłada w łódzkiej szkole filmowej, domagali się dalszego ciągu „Vinciego", a przecież z racji wieku nie mogli filmu „Vinci" z 2004 r. obejrzeć w kinie. Dałem się więc namówić, a ciężar bycia producentem zdjął ze mnie właśnie Zbyszek Domagalski, szef warszawskiej Wytwórni Filmowej. Sequele, które dotychczas robiłem, powstawały szybko: rok albo dwa po pierwszym filmie, więc przypominało to kręcenie serialu. Ale żeby po dwóch dekadach..., z czymś takim nie miałem jeszcze do czynienia. Zaprosiłem do współpracy scenariuszowej Roberta Więckiewicza. Dał się wciągnąć do zabawy w obmyślanie dalszych losów bohaterów i w roli współscenarzysty sprawdził się doskonale. W pierwszym „Vincim" wszystko kręciło się wokół skoku. W porównaniu z „Vinci 2" był takim, powiedzmy, koncertem fortepianowym. W dwójce jest więcej wątków i instrumentów, mamy do czynienia z orkiestrą symfoniczną. Zdradzę tylko, że będzie jak w hiszpańskim przysłowiu: „Złodziej, który okrada złodzieja, ma 100 lat przebaczenia". Tym tropem szliśmy, chcąc unikać powtórzeń.

„Seksmisja"

Szeroka publiczność kojarzy pana jako speca od komedii. Tymczasem całe życie próbował pan udowodnić, że to niekoniecznie jest prawda. Za swój najważniejszy film uznaje pan „Szwadron".

Bo to mój film nakręcony z największym epickim rozmachem. Wziął się z niezgody na mesjanizm i kult martyrologii, wpajany nam już od szkoły podstawowej. Wedle pisanej pod włos prozy Stanisława Rembeka nakręciłem „Szwadron". Pozytywnym bohaterem był dobrze urodzony młody Rosjanin, jadący tłumić powstanie styczniowe z myślą, że to będą manewry, tylko z ostrą amunicją. Powoli zaczyna rozumieć, że znalazł się po niesprawiedliwej stronie. Bohaterem negatywnym jest Polak renegat, rotmistrz dragonów, okrutnie rozprawiający się z powstańcami. Bo w naszej historii, czy nam się to podoba, czy nie, bywało i tak. Zacząłem się interesować historią, żeby wreszcie się dowiedzieć, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Niedawno wyszła broszurka Andrzeja Romanowskiego „Odwieczny PiS". Polecam! Jej autor stawia tezę, że korzenie narodowych podziałów sięgają końca epoki Jagiellonów. Wtedy wyklarowały się postawy patriotów zapeklowanych w ich zdaniem bezpiecznych, konserwatywnych wartościach oraz innych patriotów, bardziej otwartych na Europę, przywożących stamtąd nowe trendy, style, myśli. Symbolem tragizmu tego sporu jest np. bitwa pod Mątwami, zręcznie pominięta przez Sienkiewicza w Trylogii, bo przeskoczył prosto z wojny ze Szwedami do wojny z Turkami, omijając lata 60. XVII w. Rokoszanie hetmana Lubomirskiego otoczyli i wzięli do niewoli 3 tys. żołnierzy królewskich wojsk Jana Kazimierza, kwiat rycerstwa polskiego zaprawiony w europejskich wojnach. I mimo że uczono nas, że Polak nigdy nie podniósł ręki na Polaka, żołnierze Lubomirskiego z zimną krwią wymordowali poddających się królewskich jeńców z okrzykiem: „Bić Francuza!". Skąd my to znamy? Magnatów w XVI w. nie obchodziło dobro Rzeczpospolitej, tylko ich własne rozbuchane ego i obrona majątków. Jak przyglądam się obecnej wojnie PO–PiS, zawsze wraca do mnie ten krwawy obrazek.

W środowisku filmowym te podziały przebiegają według innego wzoru. Weźmy aferę z Jackiem Bromskim, odsuniętym od władzy prezesem SFP, któremu grożą prokuratorskie zarzuty. W wywiadzie rzece, przeprowadzonym przez Krzysztofa Vargę, wymienia pan trzy grzechy główne swoich kolegów reżyserów: kabotynizm, egoizm, narcyzm. Bromskiego, pańskiego wieloletniego przyjaciela, ta choroba dotknęła mocniej?

Z Jackiem poznaliśmy się w Szkole Filmowej w Łodzi w 1974 r. Był jedynym na moim roku studentem, który tak jak ja uważał, że trzeba robić filmy dla widzów. To nie był wtedy, i teraz też nie jest, popularny pogląd. Pod koniec lat 80. namówił mnie do założenia Zespołu Zebra. Został w nim kierownikiem literackim. Znalazł m.in. Władka Pasikowskiego, który u nas zadebiutował, ale jego największą zasługą było zbudowanie ZAPA – Związku Autorów i Producentów Audiowizualnych, instytucji zajmującej się ochroną praw autorskich, wynikających z eksploatacji tych utworów. Filmowcom wreszcie zaczęto wypłacać tantiemy, o jakich nikomu się wcześniej nie śniło, i to zaowocowało bezgranicznym do niego zaufaniem. Nikt się nie spodziewał, że ze strony Jacka pojawią się jakieś nadużycia. Gdy zostały ujawnione, uznałem, że muszę spotkać się bezpośrednio z sygnalistami, bo na szali była nasza przyjaźń. Gdy potwierdzili zarzuty, poczułem się jak zdradzona osoba, która o wszystkim dowiaduje się na samym końcu.

Część środowiska z wdzięczności wolała przymykać oczy na widoczne symptomy nagłego bogacenia się Bromskiego. Pan stał najbliżej.

Raczej z braku dostępu do informacji. W 2004 r. jako wyraziciel woli zarządu SFP wystąpiłem z wnioskiem, by Jacek otrzymywał honorarium – do tej pory pracował społecznie. To mu się należało za to, jak się angażował, załatwiał różne sprawy, jeździł po świecie na negocjacje z innymi organizacjami zbiorowego zarządzania tantiemami. To praca wymagająca wysokich biznesowych umiejętności i zarząd uznał, że powinien coś za to mieć – także jako rekompensatę, że ma mniej czasu na własne filmowe projekty. Kolegialnie ustaliliśmy, że to będzie ok. 200 tys. zł rocznie. Aż do ubiegłorocznego zjazdu SFP nie miałem pojęcia, że ta suma zrobiła się kilkakrotnie wyższa. Przez długi czas

eprasa.pl 1a5536f9e2

zarząd nie miał dostępu do sprawozdań, rachunków. Nikt się nie spodziewał, że coś jest nie tak. A już na pewno, że dyrektorka biura SFP zarabiała krocie. Obecny zarząd SFP, którego jestem członkiem – a tym bardziej większość tych, którzy popierali byłego prezesa – nie znał rozmiarów tych przekrętów. Pierwszy dostęp do papierów uzyskaliśmy, jak Bromski przestał być prezesem. I dopiero wtedy okazało się, że Jacek samowolnie podnosił sobie ustalone z zarządem honorarium.

Wcześniej niczego się pan nie domyślał?

Odkąd Jacek zbliżył się w 2015 r. do PiS, na jakiś czas nasze stosunki się rozluźniły. Mimo to starałem się go tłumaczyć, że jako prezes musi być jak Konrad Wallenrod, a raczej jak hrabia Wielopolski dogadywać się z rządzącymi. Potem były następne wybory i on zaczął się z tego wycofywać. Przyjąłem to za dobrą monetę, sądząc, że może przejrzał na oczy.

Nie dziwiło pana, iloma luksusowymi mieszkaniami obraca Bromski, jakiej klasy samochodami jeździ?

Jeździł samochodem służbowym, który z racji pełnionej funkcji mu się należał, tyle że może nie musiał to być Lexus. Ale skoro stowarzyszenie było bogate, nikt nie miał mu tego za złe. Miał bardzo dobre relacje np. w Chinach, gdzie nakręcił film, kupił tam sobie mieszkanie. Gdy spytałem, jak mu się udaje tak świetnie inwestować w nieruchomości, mówił, że sprzedał mieszkanie w Pekinie z wielkim zyskiem i wziął kredyt, no i ma wysokie tantiemy. Miał odpowiedź na każde pytanie. Kilka razy proponował wyjazdy do Chin, do Wietnamu, oczywiście na koszt SFP. Z Ewą nigdy z tego nie korzystaliśmy.

„Vabank"

Kiedy zaczął pan podejrzewać, że jest oszukiwany?

Dwa lata temu, kiedy Grzegorz Łoszewski, członek nowo wybranego zarządu SFP, powiedział, że miał za mało czasu na zapoznanie się z kilkudziesięciostronicowym sprawozdaniem finansowym. Dostawaliśmy je dziwnym trafem zawsze wieczorem poprzedzającym posiedzenia zarządu, a większość z nas – zajętych swoimi projektami i mających olbrzymie zaufanie do prezesa – nie zagłębiała się w te papiery, bo wszystko na zewnątrz wspaniale działało. Stowarzyszenie kupowało kolejne domy pracy twórczej, Studio Munka produkowało filmy debiutantów, tantiemy rosły, a seniorzy byli zaopiekowani. Grzegorz był pierwszą osobą, która się upomniała o dłuższy czas potrzebny do sprawdzenia, czy wszystko się zgadza. Wtedy Jacek nazwał go mendą, oskarżył o brak zaufania. Gdy pracownicy biura SFP, obecni na takich zebraniach, usłyszeli, że ktoś przeciwstawił się prezesowi, zaczęli się zgłaszać do Grzegorza i do wiceprezeski Karoliny Bielawskiej. I pojawili się sygnaliści. A gdy dowiedzieliśmy się, że dyrektorka biura jeździła Porsche i miała gigantyczne, niewspółmierne ze swoimi obowiązkami i umiejętnościami zarobki, spytałem go, dlaczego zarząd nie miał na te apanaże wpływu i ich nie zatwierdzał. Odpowiedział, że zarząd nie ma nic do tego. Namawiany przez zarząd w pewnym momencie w dobrym odruchu zrezygnował z prezesury i obiecał, że nie będzie kandydował na prezesa następnej kadencji. Tuż przed zjazdem pod wpływem złych doradców zmienił zdanie. Gdy pytaliśmy dlaczego, odpowiadał: „Czy chcecie, żeby rozwiązali SFP?". To był stały szantażujący argument.

Jak się pan z tym wszystkim teraz czuje?

Czuję się po ludzku oszukany. Bo okazało się, że choć znamy się ponad 50 lat, tak naprawdę go nie znałem. Ale nie żałuję, że się z nim tyle lat przyjaźniłem, nic nie jest przecież czarno-białe. Kilka razy w życiu bardzo mi pomógł. W Studiu „Zebra" i nie tylko. Potrafił być lojalny. Wszystko się jednak skończyło, gdy kilka lat temu pojawiły się w SFP wielkie pieniądze. Sądzę, że on do dzisiaj żyje w swojej bańce. Niedawno widziałem z nim wywiad w telewizji, gdzie nie czuł grama skruchy i wydawał się obrażony, że ktoś ma do niego pretensje.

A co pan myśli o wyborze Kamili Dorbach na szefową PISF?

SFP, jak wiadomo, popierało Magdalenę Srokę. Nie wiem, dlaczego nie dopuszczono do komisji wybierającej dyrektora Agnieszki Holland. Sam dwukrotnie brałem udział w takich komisjach. Za pierwszym razem wybraliśmy Agnieszkę Odorowicz, za drugim Magdalenę Srokę, ale obok mnie siedzieli wtedy Andrzej Wajda, Wojciech Marczewski i uznani ludzie z branży. Jeśli Kamila Dorbach zajmie się tylko realizacją wytycznych Ministerstwa Kultury, środowisko nie przyjmie tego dobrze. Na tym stanowisku potrzebny jest ktoś bardziej niezależny, z wizją i większym zaufaniem do twórców. Przeciwko niej przemawia też niewyjaśniona do końca jej rola przy odwołaniu poprzedniczki, Karoliny Rozwód. Oraz to, że podobno nie pozbyła się urzędników PISF, zatrudnionych przez Radosława Śmigulskiego. Młodzi filmowcy będą musieli się nauczyć z tym żyć. A co bym zrobił w pierwszej kolejności na jej miejscu? Otworzyłbym ścieżkę dla filmów gatunkowych, które dotąd były traktowane po macoszemu. I polegałbym bardziej na ekspertach związanych zawodowo z produkcją filmową, a nie tylko na filmoznawcach. Niestety, czas autorytetów minął. Gdy ja startowałem do zawodu, oceniali mnie Kawalerowicz, Wajda, Majewski, Kieślowski. Otrzymywałem od nich uwagi, które rozumiałem. A teraz każda opinia znaczy tyle samo.

Na polskim kinie nie spoczywa już inteligencki obowiązek tłumaczenia rzeczywistości, szarpania ran i budzenia świadomości?

Tak jak było w PRL? Nie sądzę. Sztuka – czy to film, teatr, czy literatura – wróciła do swojej właściwej pozycji, jest bardziej lub mniej masową rozrywką. Ma rozbawić, przestraszyć, zmusić do refleksji. Do kina się idzie, jak się ma dobry nastrój, a nie jak się jest chorym, głodnym i niewyspanym. Film świata nie zmieni. Co nie znaczy, że obok mainstreamu nie ma miejsca na Sorrentino, Almodóvara, Mike'a Leigh, „Manchester by the Sea" Kennetha Lonergana czy „Tajemnicę Brokeback Mountain" Anga Lee – najpiękniejszy film o miłości, jaki widziałem. Ale nawet Sorrentino czy Leigh to też tylko – lub aż – rozrywka!

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© POLFILM/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 1a5536f9e2

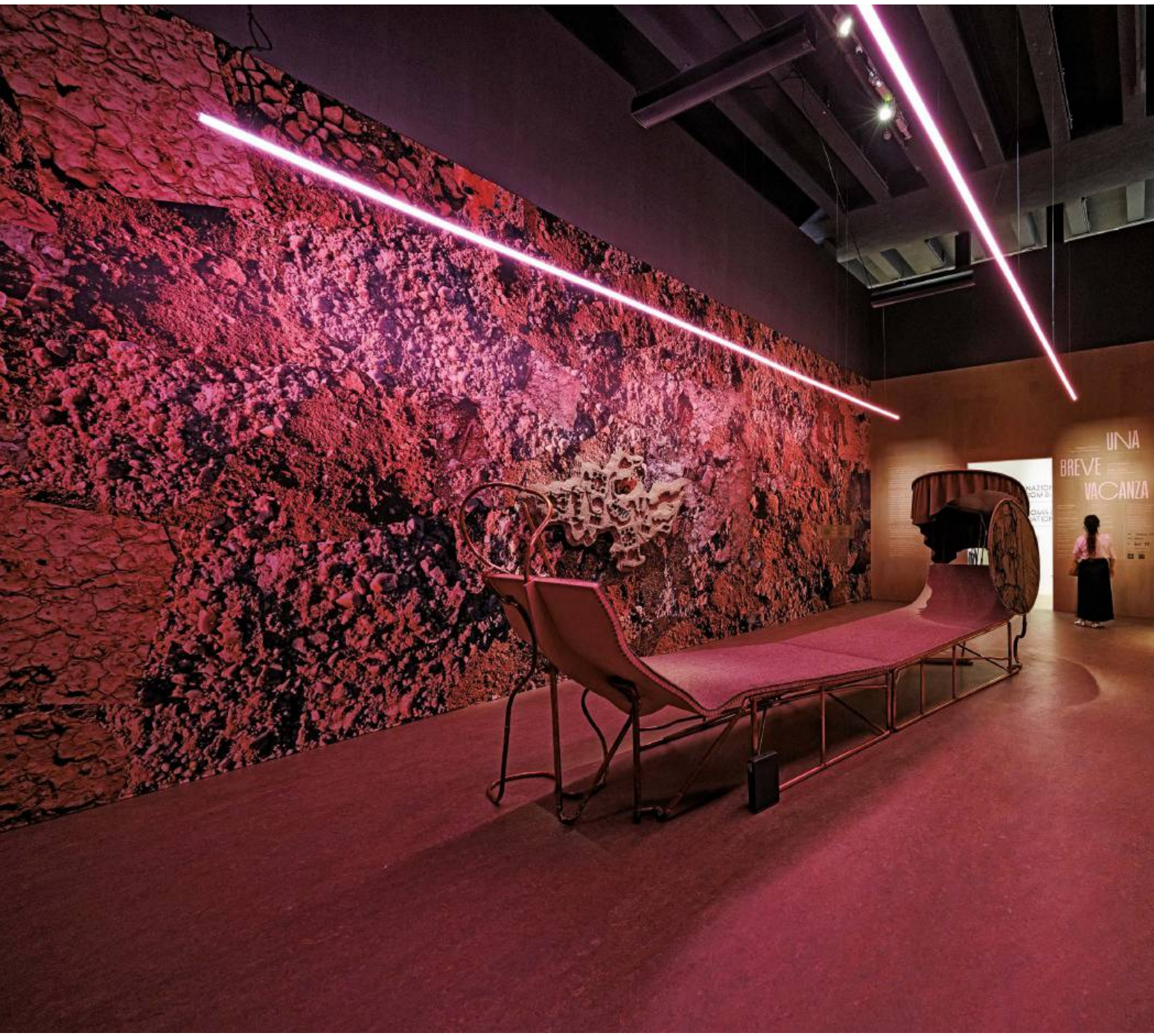

Wystawy na koniec świata

PIOTR SARZYŃSKI

Kiedy będzie dobrze? Już było! Taki przekaz zdominował tegoroczne wielkie wystawy w Wenecji, Mediolanie, Londynie. Okazały się wielką stypą antropocenu – z odrobiną nadziei.

eprasa.pl 1a5536f9e2

Interdyscyplinarne Triennale w Mediolanie, wystawa „Krótkie wakacje" w pawilonie polskim: idea Transsanatorium Aleksandry Wasilkowskiej, w centrum łoże projektu Olafa Brzeskiego

Biennale Architektury w Wenecji, wystawa „Lary i Penaty. O budowaniu poczucia bezpieczeństwa w architekturze" w pawilonie polskim

© JACOPO SALVI, MILENA LIEBE

Jak wygląda modernistyczny wzorzec wielkich światowych imprez poświęconych architekturze, projektowaniu i sztuce? Oniemiałej skalą rozmachu publiczności pokazuje się możliwości, zadziwia perspektywami, umacnia wiarę w moc postępu, chwali się osiągnięciami. Tymczasem na otwartych w tym roku Biennale Architektury w Wenecji, Biennale Designu w Londynie oraz interdyscyplinarnym Triennale w Mediolanie – a nawet, jeśli wierzyć medialnym relacjom, na EXPO w Osace – pobrzmiewały złowróżbne tony.

Ów tradycyjny paradygmat najsilniej trzyma się właśnie podczas wydarzeń typu EXPO, które dla większości uczestniczących w nich państw są okazją do zaprezentowania się światu z najlepszej strony (czasem to będzie nowoczesność, czasem tradycja, a czasem natura), a nie do udziału w trudnych rozmowach o problemach cywilizacji. Ale i tu ponad narodową fanfaronadą zaczynają górować troska i powściągliwość. Jak raportował z tegorocznego EXPO w Osace Kuba Snopek, daje się zauważyć kilka narracji dominujących w przekazach narodowych prezentacji: krajobraz zamiast urbanistyki, recykling, architektura a zdrowie. Zresztą do zadumy skłaniało hasło przewodnie całej imprezy: „Projektowanie przyszłego społeczeństwa dla naszego życia".

Ziemia w slumsach

Nie mniej poważnie brzmi hasło tegorocznego mediolańskiego Triennale: „Nierówności". Impreza ma mozaikową konstrukcję. Jej osią są wystawy kuratorskie, obszerne, ze ściśle sprecyzowanym tematem. Umieszczone są w otoczeniu mniejszych prezentacji przygotowanych przez poszczególne kraje, ale też organizacje społeczne, fundacje. W tym roku własne ekspozycje przygotowali choćby Romowie i Sinti oraz – ktokolwiek za tym stoi – biegun północny.

Zwiedzający otrzymuje więc obraz wszelkich możliwych nierówności, jakie targają cywilizacją: ekonomicznych, społecznych, kulturowych, między krajami, narodami, miastem a wsią, grupami społecznymi, płciami itd. Niby znane, a jednak zawsze poruszające dokumentacje niesprawiedliwości w dostępie do edukacji, ochrony zdrowia, bezpieczeństwa, kultury, ale też choćby wody czy prądu. Obraz zbudowany jest tylko w niewielkim stopniu z dzieł sztuki czy projektów, głównie z tabel, wykresów, grafów, makiet, fotografii, twardych danych ze wszelkich możliwych naukowych badań.

Wydaje się, że wątkiem dominującym w tej zbiorowej wizji niesprawiedliwości przedstawionej w Mediolanie pozostaje zamieszkanie. Wszak – jak można wyczytać z prezentowanych tu statystycznych tablic – dziś 25 proc. ludności świata żyje w slumsach. Obszerna wystawa „Miasta" wnikliwie tropi więc nierówności, jakie generują miasta, i zbiera różne, często alternatywne i nowatorskie, koncepcje poprawy życia w mieście. Z kolei ekspozycja przygotowana przez fundację słynnego architekta Normana Forstera poddaje ▶

eprasa.pl 1a5536f9e2

EXPO w Osace, na pierwszym planie pawilon polski. Poniżej: **Biennale Designu w Londynie, wystawa „Zapis czekania" w pawilonie polskim.**

▶ głębokiej analizie etiologię różnych kryzysów mieszkaniowych, związanych z wojnami, biedą, migracjami, ze zmianami klimatu itd. Problemom nierówności w dostępie do mieszkań i związanym z gospodarką budowlaną swoje narodowe pawilony poświęcili też Czesi czy Australijczycy.

Mocny i oryginalny głos w opowieści o nierównościach stanowi wystawa „Republika długowieczności". Składa się z pięciu modułów-ministerstw (Celu, Równości Snu, Demokracji Żywnościowej, Wolności Fizycznej oraz Wspólnoty) i opowiada o barierach w dostępie do zdrowego i godnego starzenia się, ale też o tym, jak owe bariery w przeszłości pokonywano i jak sobie z nimi radzić we współczesnym świecie. Ważna i budująca wystawa, szczególnie dla widzów z mojej generacji.

Wiele do myślenia dawała także ekspozycja Instytutu Globalnego Dobrobytu. Jeszcze do niedawna ta nazwa kojarzyłaby się z wymyślaniem, jak mieć więcej rzeczy, żyć wygodniej, równać do bogatszych. A dziś? Tematy, które Instytut proponuje jako ważne we współczesnych czasach, to choćby bezpieczeństwo środowiska, demokratyczne uczestnictwo w podziale materialnych i niematerialnych dóbr, wzmacnianie odporności na zmiany klimatu, namysł nad kwestią zdrowia w miastach.

My, bakterie

Kilka tygodni temu, pisząc o Biennale Architektury w Wenecji (POLITYKA 22), wspominałem o wzmożonym zainteresowaniu tematem wykorzystywania w przyszłości do budownictwa bakterii, alg, grzybów itp. Symbolem tego trendu stał się pawilon Kanady, w którym zaprezentowano drukowane w technologii 3D biostruktury mieszkalne, wychwytujące z powietrza dwutlenek węgla. Z kolei w Mediolanie przygotowano imponującą wystawę „My, bakterie: notatki na temat architektury biotycznej". To obejmująca 10 tys. lat historia o tym, jak bakterie wpływały na architekturę. I jak zmieniała się ludzka percepcja tego zjawiska – od nieświadomości i strachu po odważne plany tworzenia probiotycznej architektury w przyszłości.

Z kolei na Biennale w Londynie naukowcy z Northumbria University zadali pytanie: a gdyby tak, zamiast budować domy, można je było hodować? I pokazali kilka nowatorskich rozwiązań: probiotyczne okładziny ścian, które w procesie rozkładu uwalniają do powietrza pożyteczne mikroby; lateks zmieniający kształt w reakcji na wilgoć; cement produkowany przez bakterie; produkowana przez mikroby samobarwiąca się skóra.

Zasadniczo jednak w Londynie zdawał się dominować ton – rzec by można – zwrotu przyszłości ku przeszłości. I przekonanie, że korzystanie z doświadczeń głęboko zakorzenionych w tradycji jest jakimś panaceum na bolączki dzisiejszego świata. To, co cenne w tradycji, pokazano m.in. w pawilonach narodowych Japonii, Abu Zabi, Uzbekistanu, Argentyny czy Nigerii. Korzystając z naturalnych zasobów skał i minerałów wyspy oraz z tradycji kamieniarskich, pawilon maltański przedstawił śmiałe projekty redefiniujące tradycje pochówku i proponujące ogromne zbiorowe urny. „To także prowokacja do pozbycia się ego, do tego, by nie mieć tego małego zdjęcia i gównianego

eprasa.pl 1a5536f9e2

małego nagrobka, ale być częścią czegoś o wiele większego" – przekonywał kurator wystawy Anthony Bonnici. Jury przekonał, czego efektem był złoty medal dla najlepszej narodowej ekspozycji.

Polski głos w tym chórze brzmi ciekawie i... aktywnie. Jako jedyny europejski kraj wzięliśmy udział we wszystkich trzech imprezach, a prezentacje przygotował i finansował Instytut Adama Mickiewicza. Ekspozycję wenecką poświęcono bezpieczeństwu domowego miru (znów zamieszkanie), kwestii w dzisiejszych czasach niezwykle ważnej, szczególnie w kontekście ciągłych informacji o rakietach spadających na domy w Ukrainie, Gazie, Iranie, Izraelu. U nas jednak opowiadano o problemie w wymiarze bardziej kameralnym, antropologicznym, niekiedy z lekkim dystansem i poczuciem humoru.

Z kolei ekspozycję londyńską poświęciliśmy czekaniu. Zebrano w niej różne sytuacje, w których człowiek czeka. Od codziennych, prozaicznych, jak stanie w ulicznym korku, oczekiwanie na taksówkę, wizytę u lekarza specjalisty lub na ambulans, a nawet na deszcz, który uratuje uprawy. Po poważniejsze – jak czas oczekiwania na dokumenty legalizujące pobyt imigranta spoza Unii czy na zakończenie spłaty kredytu mieszkaniowego. Tych 12 wybranych sytuacji zaskakująco i intrygująco zestawiono z... ornamentami tradycyjnej góralskiej snycerki, których wykonanie także wymaga czasu i cierpliwości, oraz z badaniami naukowymi ukazującymi, jak czekanie powiązane jest z pozycją i statusem społecznym. Wystawa jak najbardziej zasłużenie otrzymała jedną z trzech regulaminowych nagród – za najbardziej inspirującą interpretację tegorocznego tematu biennale, który brzmiał „Odbicia powierzchni".

Obie te ekspozycje wiele łączy: wyjątkowa elegancja, klarowność i precyzja przekazu, antropologiczno-socjologiczne zacięcie, a przede wszystkim świetne połączenie uniwersalnych wątków (gdzież się nie czeka i gdzież się nie dba o bezpieczeństwo domu?) z czysto polskimi wątkami. W Wenecji były to nasze ludowe gusła dotyczące symbolicznego zabezpieczania się (podkowa nad drzwiami, zakopane skorupki jaj), w Londynie zaś wspomniana już sztuka rzeźbienia w drewnie. Obie też koncentrują się nie tyle na prognozach i receptach na poprawianie świata, ile na jego uważnej obserwacji i wysupływaniu z codzienności uwierających nas przypadłości. W końcu życie, nawet w erze zmierzchu antropocenu, składa się często z takich właśnie drobiazgów. Obie wystawy miały także tego samego współkuratora Macieja Siudę.

Światełko w tunelu

Polski pawilon w Mediolanie idzie krok dalej, proponując – poza diagnozą sytuacji – także pomysł na jej poprawę. Wystawa nosi tytuł „Krótkie wakacje" i w ten sposób sugeruje, że inspiracją był słynny film z 1973 r. Vittoria De Siki pod tym samym tytułem. A diagnoza dotyczy kwestii ograniczonego i nierównego dostępu poszczególnych grup społecznych do wypoczynku oraz różnych form fizycznej i psychicznej regeneracji. Remedium na to może być, sformułowana przez Aleksandrę Wasilkowską, laureatkę Grand Prix Nagrody Architektonicznej POLITYKI, idea Transsanatorium, czyli formy miejskiego dziennego, inkluzywnego miejsca odbudowywania zdrowia.

Ciekawe, że twórcy polskiej prezentacji, z kuratorką Katarzyną Roj, odeszli od koncepcji biernej ekspozycji w stronę interaktywnej instalacji, która wciąga widzów w rodzaj wypoczynkowej zabawy. Pośrodku sali ustawiono więc ogromne łoże projektu artysty Olafa Brzeskiego, na którym można się wygodnie, nawet w kilka osób, wyciągnąć, przymknąć oczy i słuchać łagodnej muzyki skomponowanej przez Antoninę Nowacką, wąchać zapachy przygotowane przez Monikę Opiekę oraz kontemplować fotografie Łukasza Rusznicy. I zwiedzający z tej możliwości skwapliwie korzystają.

Czy to w Wenecji, Mediolanie, czy Londynie widz ma wyjść z wystawy z przekonaniem, że wprawdzie nie jest dobrze, ale jakieś światełko w tunelu się świeci. Zbudowano liczne opowieści sugerujące, że to reflektor pociągu, w którym zgodnie podróżują naukowcy, architekci i badacze, sprzymierzeni z AI, bakteriami i grzybami, a dodatkowo korzystający obficie z doświadczeń ludów pierwotnych. To oni mogą uratować świat, a przynajmniej na jakiś czas odsunąć jego koniec. Piękna wizja. Trzeba by tylko po drodze zneutralizować wszystkie wielkie korporacje, wymienić większość polityków i zbiorowo zahipnotyzować ludzkość, wygaszając jej pęd do samozagłady. A to już dużo trudniejsze zadanie.

Nie wszyscy ulegają temu mirażowi. Fabrizio Gallanti, dyrektor Centrum Architektury w Bordeaux, na łamach portalu „Dezeen" tak pisał o imprezie w Wenecji, choć tę obserwację z pewnością rozciągnąć można poza to środowisko: „Biennale Architektury jest pełne nieprawd, które mają nas przekonać, że architekci rozwiążą więcej problemów, niż są w stanie rozwiązać w rzeczywistości". To światełko może być więc po prostu odległą jeszcze kulą ognia, niszczącą wszystko na swej drodze.

PIOTR SARZYŃSKI

© MATERIAŁY PRASOWE, KUBA CELEJ

REKLAMA

PARTNERZY: AGENCJA PERSPEKTYWY, Lokoah, ITAKA, WORLD TRAVELLING COMPANY, POLSKIE RADIO RDC, DCU UBEZPIECZENIA, LOF Point

www.africanbeats.pl

eprasa.pl 1a5536f9e2

Mala Emde jako nastoletnia menedżerka Vera Brandes

Jazz i dziewczyna

Keith Jarrett najchętniej kazałby zniszczyć wszystkie istniejące egzemplarze tej płyty – mówi reżyser Ido Fluk, autor filmu „Dziewczyna z Kolonii", o najpopularniejszym solowym albumie jazzowym wszech czasów.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Kulisy najsłynniejszego solowego koncertu w historii jazzu są niezwykłe. Miał pan dylemat, kogo wybrać na bohatera swojego filmu?**

IDO FLUK: – Od początku wiedziałem, że centralną postacią będzie nie Keith Jarrett, ale Vera Brandes, nastoletnia menedżerka. To jej upór doprowadził do tego, że 24 stycznia 1975 r. koncert w ogóle się odbył. Jej biografia jest niezwykła, choć mało kto ją zna. Spotkaliśmy się na greckiej plaży, gdzie przegadaliśmy wiele godzin. Mała Vera codziennie słyszała dochodzące z rodzinnego domu krzyki i dźwięki borowania. Jej ojcem był wzięty stomatolog o mocno patriarchalnym usposobieniu. W pokoju gościnnym zorganizował klinikę dentystyczną. Jego córkę nazywano w klasie Jazz Rabbit – w nawiązaniu do „White Rabbit", hippisowskiego hymnu z albumu „Surrealistic Pillow" zespołu Jefferson Airplane. Bo tamta piosenka była hołdem złożonym Milesowi Davisowi oraz pisarzowi Lewisowi Carrollowi, idolom Very. Zamiast się uczyć, spędzała czas na festiwalu Berlin Jazz Days. Zbuntowana, już w wieku 15 lat podjęła się organizacji trasy koncertowej brytyjskiego saksofonisty tenorowego Ronniego Scotta z jego triem. W konserwatywnych Niemczech nie postrzegano tego jako szczególnego osiągnięcia, a w szkole zrujnowało jej to reputację. Słuchając jej opowieści, zrozumiałem, że scenariusz powinien oddawać spontaniczność jej charakteru i nie trzymać się twardo utartych zasad.

Film sprawia wrażenie improwizacji, czegoś w rodzaju jam session.

Pisałem w pandemii. Mój syn siedział zamknięty w swoim pokoju, bez przerwy z kimś gadał na Zoomie. Włączyłem ulubioną płytę Johna Coltrane'a. Potrzebowałem bodźca, by się skupić. Założenie było takie, by nie przejmować się błędami, w ogóle nie używać przycisku

© ALAMODE FILM, DESIREE NAVARRO

eprasa.pl 1a5536f9e2

„delete". Miało być tak jak podczas luźnej sesji nagraniowej, na której się tworzy niesionym intuicją. Wielu muzyków postępuje podobnie. Thelonious Monk np. traktował wpadkę jako coś zamierzonego. Zły dźwięk stawał się najlepszym dźwiękiem, bo inspirował i zmuszał do zmian. Chciałem zachować ducha improwizacji, nie zważając na niedoskonałości. Było to zgodne z logiką historii, jaką miałem do opowiedzenia: gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, „The Köln Concert", najlepiej sprzedający się solowy album jazzowy na świecie, nigdy by nie powstał.

Gdyby Keith Jarrett zagrał na perfekcyjnie dostrojonym ośmiooktawowym fortepianie Bösendorfer 290 Imperial, nie byłoby koncertu w tym brzmieniu, jakie znamy.

Zgadza się. Sprzedano na ten koncert 1432 bilety. Artysta miał wystąpić w Operze Kolońskiej po wieczornym spektaklu, koło północy. Zamiast wspomnianego fortepianu miał do dyspozycji znacznie mniejszy, typu baby grand, przeznaczony wyłącznie do prób, na dodatek w złym stanie technicznym. Górne i dolne rejestry fałszowały, pedały nie działały prawidłowo. Niestosujący amplifikacji (wzmacniania dźwięku przy użyciu mikrofonów i wzmacniaczy) Jarrett był więc zmuszony grać w szczelnie wypełnionej sali głośniej niż zazwyczaj, co uniemożliwiało mu podejmowanie trudniejszych wyzwań. Otrzymawszy niesprawny instrument, musiał zmienić wszystko: dotychczasowy styl gry, siłę, z jaką uderza w klawisze, rytm. Jego muzyka stawała się dzięki temu bardziej przystępna dla słuchaczy, przekraczała granice jazzu, wędrując pomiędzy gatunkami, nabierając mistycznego, magicznego wymiaru. Stąd gigantyczny sukces i niewyobrażalna popularność.

Siadając naprzeciwko 1,4 tys. osób, wiedział już, na co się decyduje?

Testował wcześniej ten instrument, słyszał, jak brzmi. Gdyby nie nadludzka praca stroicieli, pewnie by zrezygnował. Prawda jest taka, że technicy praktycznie rozebrali fortepian, złożyli go ponownie, lecz nie byli w stanie naprawić wszystkich usterek. Niskie i wysokie tony wciąż brzmiały źle. Pedał forte, służący do przedłużania i wzmocnienia dźwięku, nadal się zacinał. Znany ze swego perfekcjonizmu Jarrett do ostatniej chwili nie wiedział, jak ma się zachować. Był wyraźnie zmęczony po nocnych koncertach w Zurychu. Żeby zaoszczędzić, osiem godzin jechali do Kolonii z Manfredem Eicherem, szefem wytwórni ECM, starym, rozklekotanym samochodem Renault 4, sprzedawszy uprzednio za 375 marek niemieckich bilet lotniczy, który wysłała im Vera Brandes. Następnego dnia mieli ruszać do Baden Baden. Jarrett narzekał na bóle pleców. Naprędce zorganizowana kolacja na jego cześć okazała się nieporozumieniem. Praktycznie nie zdążył nawet zjeść, by wzmocnić siły. Oczywiście na próby też nie starczyło czasu. Każdy na jego miejscu odwołałby koncert. Jarrett nie zdecydował się na to, gdyż – jak głosi jedna z wersji tej historii – soczyście przeklinając, przekonała go do tego spanikowana promotorka. Przestraszony obiecał, że zrobi to wyłącznie dla Very, wyglądającej na młodszą siostrę Brigitte Bardot.

Ostatecznie zamiast koncertu na ścieżce dźwiękowej filmu podłożony jest zupełnie inny utwór.

Wzięło się to stąd, że Keith Jarrett nie zaakceptował sposobu, w jaki opowiadamy o tym wydarzeniu. Wytwórnia ECM, lecz także on sam, nie uznawali roli, jaką odgrywała 18-letnia wtedy Vera. A to dzięki jej energii i jasności, która z niej promieniowała, nie skończyło się zerwaniem imprezy. Nikt jej za to nie podziękował, dziewczyna nie zarobiła na tym szaleństwie ani grosza, choć na to w pełni zasługiwała. Ponadto częściowo sparaliżowany po przejściu dwóch udarów 80-letni Jarrett kolejny raz kwestionuje artystyczną jakość „The Köln Concert". Stwierdził, że nagranie jest banalne, powtarzalne i gdyby mógł, kazałby zniszczyć wszystkie istniejące egzemplarze tej płyty.

Czytałem, że odmówił także współpracy przy realizacji pełnometrażowego dokumentu „Lost in Köln" Vincenta Duceau o kulisach i narosłym micie wokół tego występu. ▶

Ido Fluk (ur. 1980 r.) – amerykańsko-izraelski reżyser i scenarzysta. Debiutował na dużym ekranie w 2011 r. dramatem psychologicznym „Nigdy nie jest za późno", nagrodzonym we Fryburgu. „Jak los na loterii", historia niewidomego mężczyzny odzyskującego wzrok, brał udział w konkursie MFF Tribeca. Premiera „Dziewczyny z Kolonii" odbyła się na tegorocznym Berlinale. Film częściowo kręcono w Polsce, współprodukowała go Ewa Puszczyńska.

REKLAMA

Prezydent Miasta Świdnica
Beata Moskal-Słaniewska
zaprasza

Miasto Świdnica
ŚWIDNICA rynek z tradycjami

XXVI

festiwal bachowski świdnica

w ścisłych formach
kryje się tajemnicze piękno

24.07–3.08.2025

villazón orliński
mariño rondeau
langlois de swarte
taylor masecki
l'arpeggiata
graindelavoix
nevermind
le consort
capella cracoviensis

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Dofinansowano Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Świdnicki Ośrodek Kultury
capella cracoviensis
Kościół Pokoju w Świdnicy

eprasa.pl 1a5536f9e2

▶Doskonale rozumiem, dlaczego Jarrett nie chce mieć z kolońskim koncertem nic wspólnego. Szukając analogii, można to porównać do odrzucenia przez Radiohead ich wielkiego, pierwszego hitu „Creep". Wszyscy chcieliby, żeby na koncertach grali tylko tę piosenkę, a im zależało na poszerzaniu repertuaru, by nie stali się zespołem jednego przeboju. Jarrett miał wówczas 29 lat. Dał w swoim życiu setki lepszych koncertów (moim ulubionym albumem jest ten z występami z Bremy i Lozanny z 1973 r.). Ale i tak pamięta się tylko to jedno wykonanie sprzed pół wieku na popsutym fortepianie. Więc otrzymawszy zgodę na użycie nie więcej niż 60 sekund oryginalnego nagrania na ekranie, musieliśmy znaleźć jakieś alternatywne rozwiązanie.

Jarrett wykonał ten program jeden jedyny raz w życiu?

Tak. Zresztą wszystko, co grał, było oparte na improwizacji. Nigdy się nie powtarzał. Tworzył pod wpływem chwili. To, że koloński koncert został utrwalony na przenośnym magnetofonie taśmowym Telefunken M-5, należy również do kategorii cudu. Jarrett miał złe przeczucia i nie chciał, by później to odsłuchiwano. Sądził, że przytrafia mu się coś najgorszego w życiu. Ostatecznie zgodził się na zapis, pod warunkiem że posłuży jako materiał edukacyjny ilustrujący błędy, których można się było ustrzec. Jednak gdy zaczął grać, stało się coś dziwnego. Niektórzy uważają, że koloński koncert rozpoczyna się od wariacji wokół czteronutowego dżingla puszczanego w operze, poprzedzającego prośbę, by widzowie zajmowali miejsca. Publiczność zareagowała na to lekkim śmiechem, co pomogło rozładować napięcie. Wrażenie totalnego chaosu i olbrzymi stres w jednej chwili go opuściły. Długo powtarzane proste akordy wprawiły muzyka i publiczność w trans. Godzinny koncert okazał się triumfem, a nagranie na żywo, wydane na płycie przez ECM, stało się najlepiej sprzedającym się solowym albumem jazzowym i najlepiej sprzedającym się solowym albumem fortepianowym wszech czasów. Ludzie kupili ponad 4 mln egzemplarzy „The Köln Concert". Jarrett potrafił dostosować swoją grę do tandetnego instrumentu, dając spektakularny dowód, że dzięki kreatywności i wyobraźni można pokonać każdą przeszkodę.

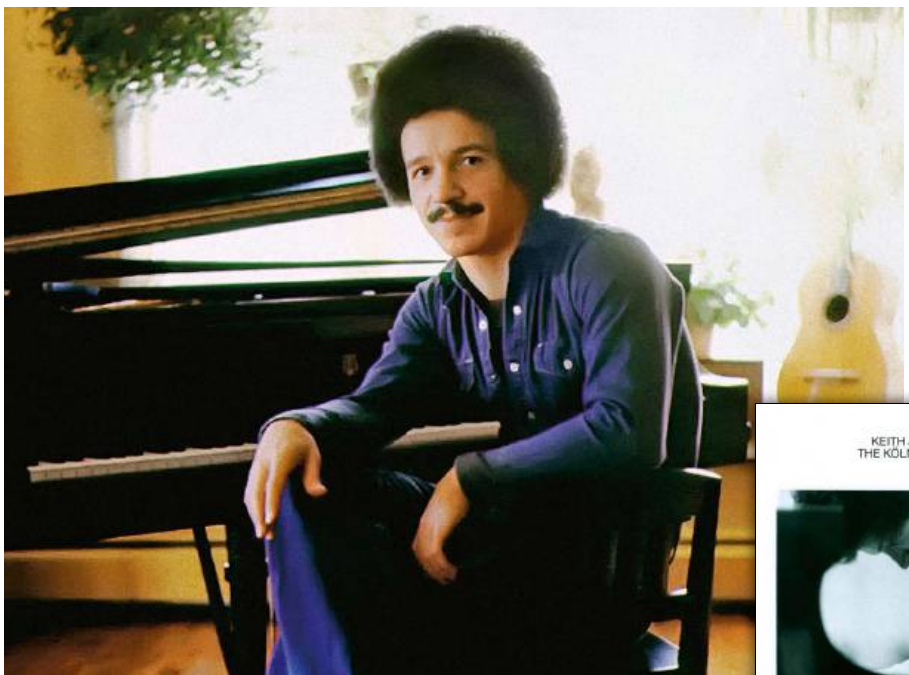

Keith Jarrett w 1975 r. Obok: **okładka słynnej płyty.**

Żeby stworzyć wyjątkowe dzieło, wykonanie nie musi być bezbłędne.

Na to wychodzi. Nie należy się bać łamania zasad i ta myśl, jak wspomniałem, przyświecała mi podczas pisania scenariusza oraz w trakcie realizacji. Czasami najbardziej inspirujące rozwiązania przychodzą do głowy, gdy zaczynasz widzieć, jak beznadziejne są twoje próby. Pod obrazami malarzy kryją się nierzadko warstwy różnych szkiców. Niespecjalistom ciężko zrozumieć, co zadecydowało o wyborze tej albo innej wersji. Dlatego moim zdaniem kino i sztuka najciekawsze bywają wtedy, gdy są niedoskonałe. Perfekcja jest nudna.

Vera w pana filmie to nie tylko początkująca menedżerka. Angażuje się też w obronę praw kobiet. Rzeczywiście można ją uznać za pionierkę niemieckiego feminizmu?

„Dziewczyna z Kolonii" mówi o miłości do jazzu, ale wyrasta z punkowego ducha lat 70. Ruch wyzwolenia kobiet, walka o legalizację aborcji – Vera bardzo aktywnie działała na wszystkich tych polach. Nie mogłem opowiedzieć jej historii bez uwzględnienia kontekstu feministycznej rewolucji. Z dzisiejszej perspektywy łatwo ją potrafimy zdefiniować, patrząc jednak od środka, na czym mi najbardziej zależało, wyglądało to niezbyt przejrzyście. Większość społeczeństwa trzymała się mocno twardych, mieszczańskich reguł. Wybory kobiet cenzurowano, ograniczano ich wolność. Tymczasem Vera od początku kontestowała te zasady.

Udało się panu skontaktować osobiście z Keithem Jarrettem?

Nawet w moim filmie widać, że nie jest on najłatwiejszą osobą do współpracy. Ale oczywiście, skontaktowaliśmy się z jego biurem na bardzo wczesnym etapie powstawania projektu. Natychmiast zasygnalizowano, że Keith nie chce brać w tym udziału. Natomiast pomocy nie odmówił nam jego brat Chris, który również jest pianistą i kompozytorem. Czytał scenariusz, podrzucił kilka uwag. Największym komplementem było od niego usłyszeć, że kwestie Keitha brzmią autentycznie, jak gdyby muzyk sam je napisał. Chris Jarrett był na premierze filmu, gratulował, dziwiąc się trochę, że tyle w nim wątków, różnych odniesień, m.in. do „Śniadania u Tiffany'ego" i „Do utraty tchu". Odpowiedziałem, że mając do wyboru klasyczną linearną narrację, postawiliśmy na chaos.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1a5536f9e2

FELIETON

Chutnik Plebanek

Dwa plecaki

Do jednego wrzucamy kostium kąpielowy, do drugiego akt własności mieszkania. Do pierwszego klapki, szorty i okulary przeciwsłoneczne, do drugiego suchary, suszoną wołowinę, łom i kombinerki. Pakując pierwszy, cieszymy się na egzotyczne dania, szykując ten drugi, zabieramy sztućce i chińskie zupki, bo puszki za dużo ważą, a miejsca musi starczyć na apteczkę, zapas wody i busolę.

Jadąc na urlop, polegamy na mapach w telefonie. Uciekając, musimy mieć zestaw, którego nie powstydziłyby się babcie: papierowe mapy, notes, ołówek, latarkę i zapas baterii. Do tego sznurki, gumy i opaski uciskowe. Jedyne, co łączy te pakunki, to repelent. Tak na wyprawie, o której marzymy cały rok, jak i w czasie ucieczki, może przyjść nam ostrzeliwać się przed komarami. I oby tylko przed insektami.

Dwa plecaki, dwie drogi. Plecak na wakacje i plecak ewakuacyjny. Na co nam przyszło? W Polsce nie myślało się o tym od dawna. Przyzwyczailiśmy się do „destynacji", *all inclusive*. Antropolodzy kultury prześledzili mody i snobizmy dotyczące wyjazdów w czasach po transformacji. W pismach lajfstajlowych odnotowano zmianę – niektórym tak się przejadły wypady na Bali, że zaczęli piać nad rodzimymi Mazurami. Dziś skojarzenie z krainą jezior nie jest zbyt wesołe, natrętnie powraca widmo przesmyku suwalskiego. Domorosłe przewidywania „którędy wejdą" stały się tematem rozmów, jak dawniej nazwy modnych miejscowości.

> Plecak na wakacje i plecak ewakuacyjny. Na co nam przyszło? W Polsce nie myślało się o tym od dawna.

Jest coś poruszająco bezradnego w akcie pakowania tego drugiego plecaka. Zestaw ucieczkowy przypomina schrony budowane przez Amerykanów w czasach zimnej wojny. Miały zapewnić przetrwanie na jakiś czas. Na jak długo? Tego nikt nie wiedział. Ale dawały złudzenie kontroli. Podobnie z plecakiem ewakuacyjnym. Sprzedaje się różne jego warianty, jedne bardziej khaki od drugich, z potworną liczbą kieszonek, a każda po coś. Ale co z tego, że mamy zapałki, skoro nie umiemy rozpalić ogniska nawet całą paczką? Tłuste z nas koty, przez dekady kapitalizmu dorobiliśmy się masy rzeczy, ale straciliśmy proste umiejętności przetrwania. Rozpieszczenie dobrobytem zwiększa niepewność. Jeszcze nie tak dawno patrzyliśmy na wschodnich sąsiadów, jak koczowali na dworcach z reklamówkami. W nich mieściło się to, co zostało im z poprzedniego życia.

W konfrontacji z falą wstecznictwa, tępej siły, prawa pięści wszystko, do czego człowiek aspirował, okazuje się bezużyteczne. Plastikowa karta, elektroniczne płatności? Żadne takie, uciekając, utykamy po kieszonkach gotówkę, i to nieduże nominały. Tylko tyle, ile udźwigniemy. Zupełnie jak żona szejka, której przyszło nawiać od męża.

I jeszcze dokumenty. Jadąc na wypoczynek, zabieramy paszport i bilety, tam i z powrotem, bo nawet po najdłuższych wakacjach czeka nas powrót, na horyzoncie majaczy dom. W przypadku ucieczki to nie jest oczywiste. Pakujemy zatem akty notarialne, żeby wiadomo było, co nasze, choć zagadką jest, co zastanie się po powrocie. Czy ktoś wie, co się stało z aktami własności dworów, lasów, rozległych włości tych mieszkańców Polski przedwojennej, którzy uszli z życiem? Uparte prezentowanie tych dokumentów nowej władzy mogło zaprowadzić wyłącznie za kratki.

I wreszcie klucze. Napisała o nich opowiadanie Maria Kuncewiczowa, o tych najsmutniejszych z przedmiotów, których istnienie traci sens, gdy nie ma już zamków, do których pasowały. Nie ma drzwi, domów ani nawet miast. Czasem wręcz krajów. Klucze to symbol uchodźców i migrantów na całym świecie, zdają się mówić „I'll be back", jeszcze wrócę do siebie. Mury ośrodków uchodźczych pokryte są graffiti z kluczem jako przepustką do oswojonego świata. Do przeszłości.

Dobra wiadomość jest taka, że schrony zapobiegliwych, spanikowanych Amerykanów wciąż stoją, dziś bezużyteczne. Zimna wojna rozlazła się po kościach, a groźne pohukiwania okazały się pustym prężeniem muskułów. Kilka miesięcy temu w Polsce rozpoczęto inwentaryzację schronów i piwnic w kamienicach i blokach. Sylwia na wszelki wypadek opróżniła swoją z niepotrzebnych gratów. Sąsiad był sceptyczny: „E tam, ma pani okienko, schowanie się nic nie da". Widmo wojny, panika podsycane są przez media. W czasie bombardowania Iranu przez Izrael (i odwrotnie) media społecznościowe niemal zalały posty, że to już, trzecia wojna światowa. Nie pierwsze to takie nawoływania.

Czy to oznacza, że misternie przygotowane plecaki „na wszelki wypadek" można schować na pawlacz i czekać, aż przeterminuje się w nich apteczka? Oby zostały jedynie przypomnieniem tego, co naprawdę należy wziąć ze sobą w drogę: opanowanie, spokój, niepoddawanie się panice. Oprócz tego własne umiejętności, doświadczenia, marzenia i piękne wspomnienia. To jest nasza apteczka, pokarm i kompas, bez tych skarbów przestajemy być sobą. Oby wakacje posłużyły do tego, by je zdobywać, gromadzić, pielęgnować.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 1a5536f9e2

FELIETON

Orliński

Dzieci umarłych

Po 60 latach nareszcie ukazuje się wznowienie powieści „Wśród umarłych" Stanisława Lema – ciągu dalszego „Szpitala Przemienienia", drugiego tomu trylogii „Czas nieutracony". Lem później pozwalał tylko na wznawianie pierwszej części, a nawet jej ekranizację w reżyserii Edwarda Żebrowskiego. Moim skromnym zdaniem znakomitą, choć Lem pastwił się nad nią w wywiadzie ze Stanisławem Beresiem. W rozmowie tej przedstawia pozostałe dwa tomy jako coś, czego „napisać wcale nie miał zamiaru", ale to z niego „wyduszono". Czy mówi prawdę? W takiej sytuacji przecież wykonałby to zadanie po linii najmniejszego oporu, przede wszystkim unikając kłopotów z cenzurą.

Tymczasem Lem chciał opowiedzieć o zagładzie lwowskich Żydów i był w tym bardzo konsekwentny. Nazwa miasta nigdy tu nie pada, ale – jak to demonstruje w posłowiu Agnieszka Gajewska – jest to jednoznacznie zasugerowane. Na przykład charakterystyczny dla Lwowa „Wysoki Zamek" nazwany tu jest „ceglanymi ruinami kazimierzowskimi". To nawet nie jest szyfr, przecież to są dosłownie ruiny ceglanego zamku wzniesionego przez Kazimierza Wielkiego.

Do tego dochodziła autocenzura. O swoim żydowskim pochodzeniu Lem rozmawiał wyłącznie z garstką najbliższych krewnych i przyjaciół. Tymczasem w powieści jego alter ego Stefan Trzyniecki, główny bohater „Szpitala Przemienienia", musi codziennie odwiedzać fryzjera. Nie dlatego, że taki z niego dandys, tylko dlatego, że chwila zaniedbania powoduje, że zaczyna wyglądać jak ukrywający się Żyd. Za sprawą przykrego splotu wydarzeń ta chwila w końcu nadchodzi. W ciągu 24 godzin Stefan z osoby żyjącej w miarę normalnie jak na warunki okupacyjne niepostrzeżenie przekracza krąg piekieł.

> Wszyscy Polacy w 1945 r. wyszli z wojny nie wiadomo jakim cudem. Ich traumy i sekrety odcisnęły się na nas.

Wszystko zaczyna się od tego, że nie udało mu się porządnie najeść ani ogolić. Wychudzony i zaniedbany wyglądał coraz bardziej jak... wiadomo kto. W panice szukał fryzjera, lecz wszystkie zakłady były zamknięte. Poszukiwania doprowadziły go do złej części miasta, w której zaczęła się łapanka na ukrywających się Żydów. Ktoś życzliwie woła: „Człowieku, uciekaj!", Stefan bełkotliwie odpowiada „A... ależ ja nie jestem...", ale nieletni ulicznicy zaczynają krzyczeć: „Kłapciuch! Żyd! Juda ucieka!", przyciągając w końcu uwagę Niemców.

To się czyta jak zapis nocnego koszmaru – i być może Lemowi rzeczywiście taka scena się śniła. Do końca życia zmagał się z bezsennością. Jednak to jest równocześnie największa słabość tej książki: każdy rozdział z osobna czyta się świetnie, jakby był fragmentem jakiejś większej, znakomitej całości, ale razem w tę całość się nie składają. Nie pasują do siebie. Nie wiadomo nawet, kto tu jest głównym bohaterem. „Szpital przemienienia" miał strukturę klasyczną, wręcz staroświecką, bohaterem był oczywiście Trzyniecki, który pod koniec ewidentnie ginie, gdy Niemcy mordują pacjentów tytułowego szpitala wraz z personelem. Kiedy się pojawia w drugim tomie, chcielibyśmy przede wszystkim wiedzieć, jakim cudem się uratował.

Wszechwiedzący narrator jednak przechodzi nad tym do porządku dziennego – i w trzecim tomie zrobi to samo. Drugi kończy się przecież tym, że Stefan pochwycony w powyższej łapance trafia do obozu zagłady w Bełżcu. Zginęło tam kilkaset tysięcy ofiar (do dziś nie sposób policzyć dokładnie), wiadomo o dwóch, które przeżyły. Widocznie Trzyniecki był trzecią.

Dla współczesnego czytelnika kompozycja „Wśród umarłych" nie jest jednak niczym niezwykłym. Znamy przecież eksperymentalne powieści Itala Calvina, Julia Cortázara, Roberta Coovera. Na długo przed nimi Lem podjął podobną grę nie bez ważnego powodu. Będziemy mieć więc jeszcze więcej satysfakcji z dekodowania jego szyfrów. Posłowie Gajewskiej posłuży jako klucz. Czytane w ten sposób „Wśród umarłych" broni się znakomicie.

Mam nadzieję, że trzeci tom, ten najbardziej „socrealistyczny", w którym Trzyniecki włącza się w powojenną odbudowę, też w końcu zostanie wznowiony. Wziąłem to słowo w cudzysłów, bo przecież Lem tutaj kontynuuje swoją grę, opowiadając coś, czego moim zdaniem do dzisiaj nie opowiedziano wprost. Praktycznie wszyscy Polacy w 1945 r., niezależnie od pochodzenia, wyszli z tej wojny tak jak Trzyniecki – nie wiadomo jakim cudem. Wszyscy mieli też jakieś sekrety, o których lepiej było nie mówić, oraz traumy, z którymi musieli radzić sobie sami. Pojęcia „zespołu stresu pourazowego" nie znano, a przecież wówczas cierpieli nań wszyscy ocaleni.

Jesteśmy ich dziećmi albo wnukami. Ich traumy i sekrety odcisnęły się na nas – i nie da się bez tego zrozumieć dzisiejszej Polski. Modne są teraz książki o tym, jak to wszyscy jesteśmy potomkami chłopów pańszczyźnianych, ale przecież przede wszystkim wywodzimy się z tych, którzy przeszli przez tę „rzekę ognistą" (jak Lem początkowo chciał zatytułować swoją trylogię). Ktoś kiedyś napisze o tym wspaniały bestseller non fiction. Na razie musi nam wystarczyć fiction, ale za to lemowskie, a więc najlepsze!

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

Teflonowi ludzie

Patelnie zawsze wzbudzały mój zachwyt i za wyjątkowymi okazami obracam głowę jak za pięknymi długonogimi gazelami. Teflon to był szyk gastronomii najntisów. Wyróżniam dwa typy osób gotujących. Kucharz „cichobieżny modniś pedant" posiada zestaw patelni teflonowych i sam taki właśnie jest. I typ drugi – kucharz „tornado w rozsypce". Tłucze garami, porusza się między obierkami na ziemi a chochlami nad głową, włoszczyznę ma wiecznie rozwiązaną, fartuch poplamiony krwią dziewiczej botwiny, do klapek przykleiły się łupiny od cebuli, a deski nawet nie szuka, bo kroi chleb, opierając bochen o biodro. Wpada do kuchni niczym tornado do Puszczy Piskiej.

Po wielu dekadach doświadczeń, zarówno jako osoba karmiona, jak i kucharka, uznaję, że nie zawsze osoby poruszające się bezszelestnie pośród najnowszych termomiksów, patelni ratujących od nowotworów czy lśniących prowansalskich garnków serwują dania udane. Często z takich idealnych kuchni wychodzą dania *instafriendly*, lecz zachowawcze, sztampowe. Nie cierpię hałasu i uważam, że dostęp do ciszy to prawdziwy luksus, a mimo to ciągnie mnie w oko tornada kuchennego. Taki, zanim dojdzie do kuchni, jest spocony, sapie, oczy ma podkrążone, żylaki widać spod skarpet uciskowych, a czoło pomarszczone. Targają nim lęki: czy nie będzie zakalca, czy nie za ostre dla dzieci, czy truskawki dobrze wypłukane z toksyn. Nawet jeśli osoby karmione przez niego wyglądają na syte, on nie dowierza i składa samokrytykę: jagnięcina za mało różowa, fasolka zbyt rozgotowana. Sam podzióbie, nie je, nie pije, bo nic mu przez gardło po tym blamażu nie przechodzi.

> Nie uczą się na klęskach, zbywają wyborców mrzonką o rekonstrukcji. Rekonstrukcje to ja polecam na zamku w Malborku.

Zaletą teflonu jest to, że nic do tego nie przywrze. Teflonowe osobowości na pewno mają w życiu lepiej. Nie jestem psychiatrą, ale dam sobie natkę uciąć, że taki człowiek żyje dłużej, więcej się uśmiecha, łatwiej otrząsa z klęsk, szybciej wraca do pracy, nie potrzebuje recept, terapii, nigdy nie lądował na odwyku, nie wyleciał z pracy, bo stawiał się o czasie, nie zawalił sesji, wszędzie dostawał się za pierwszym podejściem, a jego CV wszyscy headhunterzy przy wtórze AI pokazują studentom jako idealne. Ten typ nie popełnia seppuku po klęsce, nie przebranżawia się, nie pali ze wstydu, nie wypina z nart przed slalomem. Po prostu stawia się bezszmerowo, świeży, w odprasowanym fartuchu, do wydania kolejnych nijakich dań z kuchni.

Kampania prezydencka Rafała Trzaskowskiego od samego początku była jak Titanic, ale cała załoga prezentuje się nam do dziś jak najdroższa patelnia teflonowa. Żadnej pokuty. Żadnej rysy. Nikt nie przyznał się do tego, że ponownie nie doceniono kontrkandydata ani sprytu i doświadczenia sztabowców PiS. Nic się nie przyczepiło, żaden swąd spalenizny, żadna krew, pot i łzy się nie rozlały. Takie typy się nie zmieniają, nie uczą na klęskach, nikt tu szat nie rozdziera, tylko co najwyżej zbywa wyborców mrzonką o rekonstrukcji. Rekonstrukcje to ja państwu polecam na zamku w Malborku.

Czerwcowe wybory to był ostatni moment, w którym koalicja mogła liczyć na zwycięstwo. Teraz, przy takiej skali depopulacji, braku rąk do pracy i braku sprawnej polityki migracyjnej – bo trudno za nią uznać zaporę przeciw Łukaszence i nieudolne kontrole w Zgorzelcu – państwo zaczyna się zwijać. W niedzielę handlową byłam w markecie kupić pralkę, bo starą po 21 latach zjadła rdza. Na całą halę był jeden pracownik oblepiony walczącymi klientami szukającymi porady. Tylko w czerwcu przeżyłam trzy awarie lokomotyw w pociągach PKP. Właśnie mamy trzecią awarię metra w stolicy.

Patrzę na bojówki Bąkiewicza. Serio, nikt tego nie przewidział? Widząc wielkie ruchy altprawicowe w sieci, rolników odgrażających się „ukrom" za ich tanią kukurydzę, sfrustrowanych czarnymi parasolkami chłopców w moro, którym populiści skutecznie sączyli miks dezinformacji i faktów o gwałtach w Niemczech, gangach w Szwecji i zabieraniu pracy? Koalicja to przecież ludzie wykształceni, nie żadni kibole czy „wieśniacy", czyż nie? A nie wyczuli, że sprawne populistyczne hasła i retoryka youtubowa przekonują młode pokolenia mężczyzn? Że to nie jest już tylko głosowanie na przekór boomerom z duopolu, ale trzecia siła?

Nikt żarliwie nie przeprasza milionów zawiedzionych obywateli liczących na reformy. My, tzw. demokratyczni dziennikarze, byliśmy potrzebni do „odbudowy" mediów publicznych, które teraz przejmie PiS, a konfederaci potem wyłączą. Polki były potrzebne na marszach parasolek i do podpisów pod ustawą dekryminalizującą aborcję, a po październiku może obywatelka już odejść, zrobić miejsce dla mecenasa Giertycha.

Felietonistom katastrofy gwarantują liczne tematy. Szukam autobusu, bo trwa pożar metra. W drodze na przystanek słyszę rozmowę: „Kolejny pożar? A mamy dwie linie. Pomyśl, gdyby tu było tyle linii, co w Berlinie. – Spokojnie, przyjdzie PiS i dopilnuje, żeby już żadna linia nie powstała".

AGATA PASSENT

eprasa.pl 1a5536f9e2

Idą z kijami na Polskę

„Niemcy wszczęły wojnę hybrydową z Polską, a państwowe służby nie podejmują reakcji" – poinformował Robert Bąkiewicz. Nadgraniczna ludność kolejną wojnę z Niemcami przyjęła ze spokojem, być może uznając, że Niemcy są niereformowalni i nigdy nie oduczą się napadania na Polskę. Z tego powodu, a także z powodu zdrady służb, przeciwko przeważającym siłom niemieckim wyposażonym w uchodźców z Azji i Afryki Bąkiewicz musiał rzucić patrole Ruchu Obrony Granic, złożone z patriotycznie pobudzonych mężczyzn, gotowych zrezygnować z letniego wypoczynku na rzecz przeciwstawienia się agresywnym zakusom Niemiec.

Dobra wiadomość jest taka, że tych mężczyzn jest już na granicy więcej niż uchodźców. Zła – że nie wiadomo, czy po zrobieniu porządku na granicy nie wezmą się do robienia porządku w głębi kraju, gdzie ich zdaniem polskie służby również sobie nie radzą. Patrolowiczom się zarzuca, że bezprawnie zatrzymują i legitymują ludzi, podszywając się pod policję i Straż Graniczną. No, może, ale pamiętajmy, czym skończyła się napaść Niemiec w 1939 r., gdy jeszcze nie było patroli ROG. Zresztą zdaniem wicemarszałka Krzysztofa Bosaka z Konfederacji każda grupka Polaków ma prawo kulturalnie zapytać napotkanego obcokrajowca, czy posiada jakieś dokumenty. Obcokrajowiec ma oczywiście prawo nie odpowiadać i pójść dalej, ale według mnie dla jego własnego dobra lepiej, żeby jednak nie szedł, bo wiadomo, że kultura i cierpliwość grupki Polaków ma swoje granice.

Opowieści patrolujących są najlepszym dowodem na to, jak doskonałą robotę robią. Czytam, że 1 lipca wieczorem patrol ROG zawrócił do Niemiec Hindusa niebezpiecznie zbliżającego się do Polski szosą przez stare przejście graniczne. „Podpierał się kijem, wyglądał jak nieszczęście. Mówię mu: chłopie, dokąd ty idziesz?" – opowiada członek patrolu. Łatwo sobie wyobrazić, jakim nieszczęściem byłby ten człowiek, gdyby wszedł do Polski. Na swoje szczęście nie wszedł, tylko zawrócił tam, skąd przyszedł, oddalając w ten sposób zagrożenie, jakim był dla siebie i innych.

Z tym że, znając Niemców, nigdy nie ma się pewności, że za tym podpierającym się kijem Hindusem nie czai się drugi Hindus, a za tamtym – kolejny. Wiadomo, że Hindusów jest ponad miliard i każdego dnia pojawiają się na świecie kolejni, więc jeśli nie będziemy czujni, niemieckie służby wepchną nam dowolną liczbę Hindusów z kijami w rękach, gotowych na wszystko, np. na bycie taksówkarzami w Uberze czy otwarcie indyjskiej restauracji w jakimś polskim mieście.

GALERIA POLITYKI

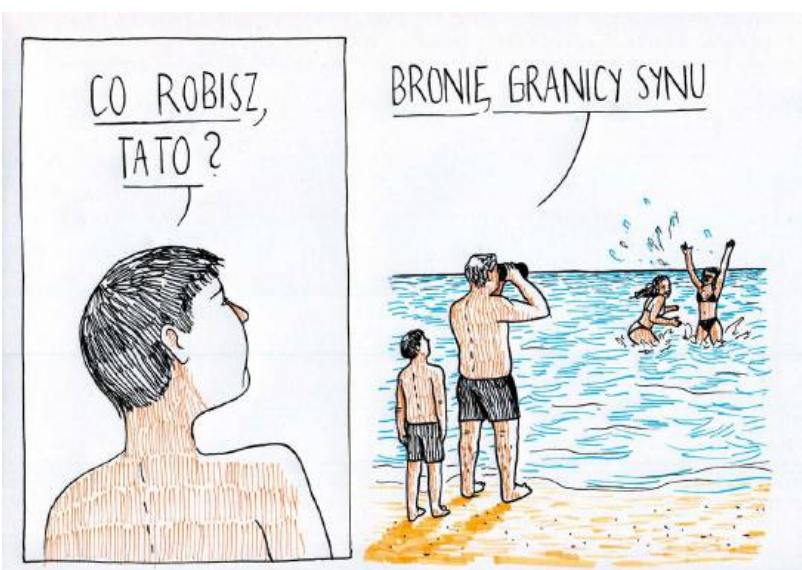

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl 1a5536f9e2

Dobry zwierzak szuka dobrego człowieka

KĄCIK ADOPCYJNY im. STANISŁAWA TYMA

Bielinek

Warszawa, pies, 1 rok, 15 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany.

Piesek w typie bardzo szczupłego labradora, skory do przytulania się i pieszczot. Mógłby nie schodzić z kolan. Ma dużo pozytywnej energii, ale potrafi też się wyciszyć. Lubi świat, ludzi i inne zwierzęta, jest otwarty i serdeczny.

Mundek

Łódź, pies, 2 lata, 15 kg, dość energiczny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany.

Pies w typie rottweilera, ale pod względem charakteru – przytulak. Wesoły i pozytywny. Pełen energii, chętny do zabawy, uwielbia spacery. Potrzebuje osoby, która zapewni mu uwagę, w zamian wniesie do nowego domu dużo pozytywnej energii.

Neruś

Warszawa, pies, 7 lat, 30 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany.

Duży szorstkowłosy pies o cechach charta. Ciepły, przyjazny i lojalny. Lubi leżeć na kanapie, potrzebuje bliskości. Wychowany w domu, obok człowieka i osierocony przez niego.

Rio

Warszawa, pies, 2 lata, 12 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany.

Jak na psa, którego pozostawiono w lesie na śmierć, wciąż jest bardzo ufny. Pod względem temperamentu i fizyczności – w typie psa myśliwskiego, z charakteru jednak znacznie bliżej mu do kanapowca. Bardzo zależy mu na przyjaźni i bliskości z człowiekiem. Miły, uroczy w obyciu.

Filemon (biały) i Nuka (czarna)

Opoczno, kotka i kot – rodzeństwo, 10 miesięcy, po 3 kg, średnio aktywne, wykastrowane, zaszczepione, odrobaczone.

Para kotów, które doskonale czują się, gdy są razem. W dzieciństwie podrzucone wraz z rodzeństwem na teren wielkiego magazynu, omal tam nie zamarzły. Pomoc przyszła w ostatniej chwili. Filemon jest spokojniejszy, z nieco większą rezerwą wobec świata, Nuka – odważniejsza i bardziej skora do zabawy. Jeśli znajdą bezpieczny, przyjazny dom, nie będą sprawiały kłopotu, wniosą za to do niego dużo spokoju i ciepła.

Akant

Łódź, pies, 2 lata, 10 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany.

Jego właścicielką była starsza pani, która z powodu poważnej choroby nie mogła się nim dłużej opiekować. Oddając psa do domu zastępczego, płakała, podobnie jak Akant, który jakby rozumiał, że czeka ich rozstanie. Od tego czasu psiak wciąż jest trochę osowiały, leczy złamane serce. Ale charakter ma otwarty i bezproblemowy. Jest pełen życia.

Mniszek

Końskie, pies, 9 lat, 9 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wykastrowany. Niewidomy.

Niewielki czarny piesek, który pomimo niepełnosprawności doskonale sobie radzi. Nieco ostrożny i delikatny w obyciu, po bliższym poznaniu okazuje się jednak radosnym zwierzakiem pełnym miłości do świata. Potrzebuje domu, w którym zostanie otoczony troską.

© OPOCZNO (7)

Za materiał do naszego kącika dziękujemy Adopciakom, grupie wolontariuszy działających w ramach Fundacji Viva!

Kontakt w sprawie adopcji (za pośrednictwem Adopciaków):
tel. **665 892 773** lub **574 186 683**.
Adres mailowy: **tpz.opoczno@gmail.com**
Na naszej stronie internetowej utworzyliśmy również specjalną zakładkę, gdzie publikujemy historie tych i innych zwierząt szukających dobrego domu: **www.polityka.pl/zwierzeta**

Markowi Penszce
i jego bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci Żony
składają przyjaciele z POLITYKI

eprasa.pl 1a5536f9e2

TREND

Mądry, bo nudny

Telefony komórkowe starego typu wracają do łask. Mają nam przywrócić poczucie kontroli nad czasem i uwagą.

Minimalistyczne aparaty z monochromatycznymi ekranami – z angielskiego „dumb phones" – są przedstawiane jako opcja dla zmęczonych cyfrowym przesytem. Według danych Counterpoint Research, globalna sprzedaż takich komórek wzrosła w 2024 r. o ponad 10 proc. Zdecydowali się na nie m.in. pracownicy branż kreatywnych i menedżerowie wyższego szczebla. I choć na pierwszy rzut oka wygląda to na kaprys lub chwilową modę, podążanie za tym trendem może okazać się pretekstem do zmiany stylu życia.

W psychologii dużo mówi się o *digital fatigue* – zmęczeniu technologią. Przeciążenie informacyjne, wszechobecne reklamy, powiadomienia i nieustanne porównywanie się do innych w mediach społecznościowych powodują narastający dyskomfort i przebodźcowanie. Zwiększa się także troska o prywatność i dane – coraz więcej użytkowników rezygnuje z aplikacji śledzących lokalizację, historię przeglądania stron czy zachowania zakupowe. – *Ograniczenie bodźców i dostępności cyfrowej może mieć korzystny wpływ nawet na zasady, którymi kierujemy się na co dzień. W praktyce możemy uznać, że nie każdy mail i SMS wymagają natychmiastowej reakcji* – wyjaśnia Monika Uchacz, psycholożka i psychoterapeutka, która od miesiąca używa telefonu polskiej marki Mudita (pisał o nim w 2019 r. na polityka.pl Łukasz Ostruszka).

W książce „Niewolnicy dopaminy" prof. Anna Lembke z Uniwersytetu Stanforda podkreśla, że żyjemy w świecie, w którym łatwiej niż kiedykolwiek o uzależnienie. Badaczka tłumaczy, że wygoda, wynikająca np. z szybkości internetu, otumaniła nas do tego stopnia, że wściekamy się, gdy na dotarcie do szukanych treści musimy poświęcić choćby nanosekundę więcej. To boli. Fizycznie.

Z kolei badania przeprowadzone przez Deloitte wskazują, że przeciętny Polak sięga po smartfon ok. 80 razy dziennie. Z raportu „Digital 2025: Poland" wynika, że spędzamy średnio 6 godzin i 26 minut online, z czego połowę – z nosem w telefonie.

W Berlinie działają już kawiarnie typu *no phone allowed*. W USA i Skandynawii pojawiają się imprezy taneczne, na które nie można wnieść smartfona. W Paryżu, jak donosi „Le Monde", rodzice coraz częściej kupują dzieciom klasyczne telefony bez dostępu do internetu – nie za karę, ale jako element wspierania „zdrowego rozwoju". Jak informował niedawno „The Atlantic", noszenie takiego telefonu stało się w niektórych środowiskach (np. na Brooklynie) komunikatem w stylu „mógłbym mieć iPhone'a, ale wybieram coś mniej oczywistego". Z kolei „The Wall Street Journal" pisał o nowym wymiarze luksusu i snobowaniu się na „powściągliwość". Czy to przypadek, że na targach dizajnu w Mediolanie w ubiegłym roku zaprezentowano efekt współpracy browaru Heineken i marki Bodega, czyli The Boring Phone (ang. nudny telefon)? – *Dla pewnych grup „dumb phone" z pewnością będzie symbolem statusu, kolejnym gadżetem. Ja podchodzę do tematu inaczej: im mniej scrollowania, tym lepiej dla układu nerwowego, bez względu na pobudki, dla których ktoś zdecydował się na taki wybór. Świat tak bardzo się zmienił, że używanie wyłącznie Nokii 3310 jest niemożliwe. Sama nadal używam smartfona przez część dnia, choćby do pracy. Dumb phone'y to kompromis między starym światem a nowym. W moim modelu są wgrane mapy, jest też zabawna funkcja: odliczania czasu do końca medytacji. Czy to niezbędne? Na pewno nie, ale cieszy* – tłumaczy Monika Uchacz. I rzeczywiście, większość „dumb userów" wcale nie rezygnuje z cyfrowych usług całkowicie. Traktują swój nowy stary telefon jak „telefon główny", ale gdzieś na dnie torby czai się tablet lub smartfon do użycia w razie potrzeby. – *To nie powrót do analogowej prehistorii, to selektywny minimalizm. Chodzi o to, żeby telefon nie był w centrum życia* – podkreśla nasza rozmówczyni. ■

Grażyna Morek
– dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

© GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, AI, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a5536f9e2

WIRAL

Wakacyjne koszmarki i ohydki

Jak co roku, rzeczy znane z internetu wylewają się na wakacyjne stragany. O ile jednak poprzednio dominowały pluszaki w kształcie bohaterów gier i animacji sieciowych (z „Poppy Playtime" czy „Obłędnego cyfrowego cyrku"), o tyle w tym sezonie rządzi *brainrot* wyprodukowany przez AI. Tak nazywa się treści, które powodują „gnicie mózgu" (POLITYKA 33/24) – przez swoją absurdalność i pokraczność. Symbolem brainrotu przez długi czas była seria „Skidibi Toilet", której bohaterem była ludzka głowa wystająca z toalety. Rzecz została stworzona w programie Source Filmmaker, pozwalającym na kręcenie filmików w stylu gier 3D.

2025 r. przyniósł nową generację lasujących mózg treści powstałych za pomocą generatorów AI. Koszmarki prosto z komputerowych halucynacji noszą miano „włoskiego brainrotu" (*italian brainrot*), ponieważ towarzyszy im nonsensowna narracja komputerowego lektora po włosku. Tralalero Tralala, czyli **rekin w sportowych butach**, balerina z głową w kształcie filiżanki cappuccino i inne cudaki. Trudno wyśledzić ich pochodzenie, ale podbiły TikToka i inne platformy wideo, a teraz wyłoniły się w prawdziwym świecie. Nie tylko jako pluszaki – polska firma Alexander produkująca gry planszowe i zabawki edukacyjne wypuściła na rynek całą linię brainrotu, w tym karty do Piotrusia i Memo. Stworzone przez AI ohydki zdobią też koszulki; sieciowe sklepy oferowały spersonalizowany *brainrot* np. na Dzień Ojca.

Włoski *brainrot* to przedziwny moment kulturowy, który każe zadumać się nad współczesnością. Czy oznacza pogodzenie z faktem, że media społecznościowe coraz bardziej zalewane są treściami AI, czy wręcz przeciwnie – stanowi to rodzaj buntu wobec końca rzeczywistości? Groteskowe twory składające się na włoski *brainrot* są przecież przeciwieństwem *deepfake'ów* (sztuczna inteligencja zostaje zaprzęgnięta do fałszowania faktów i produkcji dezinformacji). A może to po prostu kolejna efemeryda, popularna dlatego, że jest popularna? Dziecięca zabawa w konfundowanie starszych pokoleń.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Breja AI

Mówi się, że chatboty to jeszcze nie ten rodzaj sztucznej inteligencji, który miałby podbić ludzkość. Być może jednak źle definiujemy hasło „podbić ludzkość". AI świetnie sobie radzi z prostymi zadaniami językowymi i kreowaniem obrazków, a być może już to wystarczy, żeby nas podbić – w sensie zapanowania nad naszą uwagą. Cenniejszego zasobu w tych czasach nie mamy. W tę stronę skierował się **John Oliver** w niedawnym odcinku swojego „Last Week Tonight", popularyzując określenie „AI slop" na zalew (*slop* to w jęz. angielskim dosłownie: zalew, pomyje, breja) różnych generowanych z użyciem AI materiałów: memów, przyciągających uwagę obrazków typu brainrot (patrz tekst obok) i fake newsów w mediach społecznościowych.

„Weźmy Jezusa stworzonego z krewetek albo Barrona Trumpa występującego w »America's Got Talent« z Donaldem Trumpem przy fortepianie" – wyliczał prezenter. I cytował speca od IT mówiącego, że obecnie „nie każda treść wytworzona przez AI jest spamem, ale cały spam to treści AI". Miejski.pl definiuje „AI slop" jako „obrazek wygenerowany przez sztuczną inteligencję, zwykle niskiej jakości i przedstawiający nierealistyczną rzecz bądź wydarzenie". Jest to jednak definicja zbyt wąska – liczy się każda treść stworzona z wykorzystaniem AI, żeby przyciągnąć innych.

Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej" Michał Szułdrzyński zauważył, że „w języku polskim brakuje czasownika, który by opisywał czynność polegającą na optymalizowaniu procesów przy użyciu sztucznej inteligencji" – i zaproponował takie słowo: „ejajować". Przydatne, choć nieco kłopotliwe w odmianie, bo żeby wyrazić to, co kiedyś Neil Postman pisał o epoce telewizji, „Zabawić się na śmierć", trzeba by powiedzieć, że ludzie zaejajują się na śmierć. Oczywiście zgodnie z tematem można się zwrócić po propozycje do chatbota, który mi podsunął następujące wskazania: „ajmalizować", „aimizować", „ajtować" lub „ajusprawnić". I na koniec grzecznie zapytał: „Chcesz, bym wybrał z tego listę najlepszych do zgłoszenia np. do Młodzieżowego Słowa Roku 2025? Albo stworzył memy z tymi słowami?".

Nie, dziękuję, to byłby już AI slop.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Kabona jak spada to kafel na głowę,
Menedżer całymi dniami liczy utarg
White Widow, Cały squad, 2025 r.
kabona – pieniądze
kafel – 1000 zł

eprasa.pl 1a5536f9e2

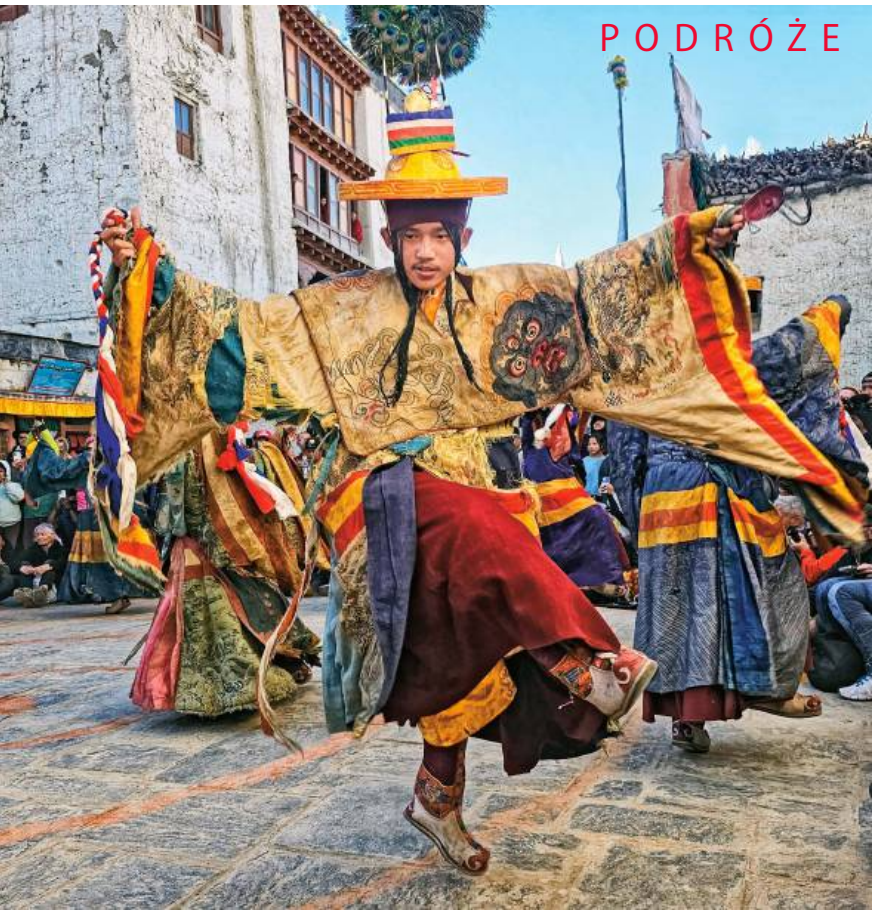

Himalajski Mustang

Jeszcze do niedawna mało kto kojarzył tę część Himalajów. Nic dziwnego. Na wjazd pierwszych turystów władze „Zakazanego Królestwa" zezwoliły dopiero 30 lat temu.

Warto na początku wyjaśnić, że nepalski Mustang z rasą dzikich koni nie ma nic wspólnego (choć konie, niskie i krępe, się tam hoduje). To nazwa oznaczająca „żyzne ziemie"; natomiast historycznie chodzi o terytorium istniejącego od 1380 r. Królestwa Lo. Kulturowo tutejszym mieszkańcom bliżej jest do Tybetu niż do Nepalu – świadczą o tym tradycje, religia (buddyzm), stroje, rysy twarzy, a nawet język – po tybetańsku mówią tu wszyscy, po nepalsku niekoniecznie.

Turyści wybierający się na himalajskie wędrówki obierają zwykle trasy w pobliżu ośmiotysięczników, najlepiej do bazy pod Everestem. W położonym sporo na zachód Mustangu trekkerów jest mało, chociaż rejon jest magiczny. Góry są tu zupełnie inne niż reszta Himalajów – bez lodowców; kojarzące się raczej z pofalowaną pustynią, zaskakujące imponującymi kanionami i zachwycające kolorami skał. Za owe kolory według legendy odpowiedzialny jest Guru Rinpocze, który wprowadzał w VIII w. buddyzm. Walcząc ze złym demonem, miał rozlać jego krew na okoliczne skały, zaś tam, gdzie spadło serce złego stwora, powstał urokliwy klasztor Ghar Gumba.

Region nigdy nie był specjalnie promowany. Skoro stanowił „państwo w państwie", a na dodatek w trwającej w XVIII w. wojnie nepalsko-chińskiej stanął po stronie Chin, trudno się dziwić, że władze Katmandu patrzyły na niego z rezerwą. Równocześnie sam Mustang nie zabiegał o kontakty ze światem zewnętrznym. Przez wieki wzdłuż przecinającej go doliny rzeki Kali Gandaki (najgłębsza dolina świata) przebiegał szlak handlowy, którym z Tybetu do Indii wędrowały karawany przewożące sól, a w drugą stronę – głównie ryż i przyprawy. Pośród handlarzy byli rzecz jasna cudzoziemcy, niemniej pierwszych turystów wpuszczono na te tereny dopiero w 1992 r., a nazwa „Zakazane Królestwo" funkcjonuje do tej pory.

Mimo że zezwolenia wjazdowe tanie nie są (500 dol. za 10 dni), z roku na rok chętnych do zobaczenia tego niezwykłego zakątka przybywa. Najwięcej jest ich w maju, na odbywającym się w stolicy Królestwa Lo, mieście Lo Manthang, trzydniowym **festiwalu buddyjskim Tiji**, w ramach którego można obejrzeć tańce poubieranych w barwne stroje i maski mnichów. Nie są to zwykłe pląsy, raczej kilkugodzinne inscenizacje odzwierciedlające walkę dobra ze złem.

Spory wpływ na życie miejscowych wywiera wybudowana w ostatnich latach droga, docierająca do granicy z Tybetem. To dzięki niej Mustang zalały dostawy chińskich towarów, chociaż wioski, w których nadal żyje się jak przed wiekami, pozostały. Na domach wybudowanych z kamieni pozlepianych gliną i łajnem nadal wiesza się mające przynosić szczęście rogi jaków. W wiosce Kagbeni do tej pory można zobaczyć figury „zjadaczy duchów" co rusz trafia się też na trójkolorowe czorteny (buddyjskie „kapliczki"), jakoby odpychające złe moce. Wszędzie powiewają kolorowe buddyjskie flagi, w każdym domu stoją ołtarzyki z wizerunkiem Dalajlamy lub innych buddyjskich guru, a gości częstuje się słoną herbatą z mlekiem. Tak jak dawniej hoduje się też czarne kozy („miastowi" w Katmandu cenią ich mięso), choć ze względu na lokalne uprawy jabłek (jabłonie rosną nawet na wysokości 3800 m!) główny produkt, z którego obecnie słynie Mustang, to jabłkowe brandy.

Pod znakiem zapytania jest przyszłość Mustangu. Młodzi ludzie raczej tu nie zostają. Dla większości marzeniem jest ułożenie sobie życia w Katmandu albo najlepiej za granicą (główny kierunek emigracji to USA). Jednak ze swoich tradycji są dumni. Kiedy przyjeżdżają w odwiedziny do rodziny, z dumą zakładają swoje dość osobliwe kapelusze, by witać turystów tybetańskim „tashi delek" zamiast nepalskiego „namaste". ■

Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

© MONIKA WITKOWSKA, LESZEK ZYCH, ROSSHELEN/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a5536f9e2

Winne orzeźwienie

Gdy z nieba leje się żar, nie ma sensu sięgać po poważniejsze butelki, niezależnie od koloru. Liczy się tylko lekkość, owocowość i dobry kwas – bo to właśnie ten składnik wina najbardziej odświeża.

WINO

Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

W taki gorąc bez szans są ciężkie beczkowe czerwienie, te wszystkie riojy, malbeki i amarone, którymi zachwycamy się w grudniu. Na kocyku, na trawniku, w kawiarnianym ogródku mocno schłodzone swoje pięć minut mają wszelkie lekkie biele, róże i bąbelki. Ale też różne tradycyjne i lokalne napoje na bazie wina. Ich podstawową przewagą jest to, że robi się je na bieżąco, z jakościowych składników; są bardzo odświeżające. Mimo że przecież wino i woda to od tysiąca lat śmiertelni wrogowie, którzy nie powinni mieć ze sobą nic wspólnego. W Europie winnic nie wolno podlewać (choć klimat coraz bardziej tego wymaga), w procesie produkcji dolanie wina do wody grozi karą śmierci (w ten sposób rozwiązalibyśmy problem niepijalnych win z 16 proc. alkoholu), a dolanie wody do wina w kieliszku uchodzi za totalny obciach. Jednak w upale nawet te święte zasady jesteśmy w stanie nagiąć.

Popularnym napojem tego typu jest hiszpańska ***sangría***, czyli koktajl z wina, owoców, cukru i mocniejszego alkoholu. Podawać ją należy koniecznie bardzo zimną, podobnie jak prostsza wersja – *tinto de verano* („czerwone letnie", bez owoców) – przeznaczona jest bowiem do picia w zasadzie tylko od czerwca do sierpnia. To jeden z niewielu napojów winopodobnych, które robi się na bazie wina czerwonego (w Hiszpanii jest go po prostu więcej), chociaż istnieją też wersje białe, a nawet *sangría de cava*, czyli wersja koktajlu na winie musującym, radosna i zaskakująca – polecam.

Jednak w najprostszej postaci wino z wodą to tzw. szprycer, czyli lekkie białe (ewentualnie różowe) z dodatkiem wody gazowanej. W letnim upale, gdy nie powinniśmy przesadzać z alkoholem, jest to świeży, przyjemny i łatwy w piciu kompromis.

Szprycer (nie mylić z Aperol Spritzem i jego różnymi wariantami, popularnymi od lat 50. XX w., którymi nie będę się tu zajmował) to tradycyjna specjalność środkowej Europy. Przepadają za nim Niemcy, Chorwaci, a także Austriacy – nazywa się tu G'spritzter i doskonale wychodzi z miejscowych win: welschrieslinga albo grüner veltlinera.

Niedoścignionymi mistrzami szprycera są jednak Węgrzy. Rozróżniają go aż... 50 rodzajów! Wino w proporcji 1:1 z wodą to „krótki krok", 1:2 – „długi krok", 1:9 – „długi skok". Większe proporcje wina do wody noszą już ambitniejsze nazwy: 3:2 to „dozorca", 6:4 – „burmistrz", 4:1 – „kamienicznik". No i drink mieszany w proporcjach o 6:3 o cudownej nazwie „Puskás" na pamiątkę zwycięstwa węgierskiego wunderteamu piłkarskiego nad Anglią – z takim właśnie wynikiem.

Tak, *fröccs* na Węgrzech doczekał się wręcz swojej cywilizacji. Oto, co pisał o nim Sándor Márai: „Zwyczajny człowiek nie potrafi przyrządzić szprycera. Na darmo będzie kupować duże szklanki o zawartości trzech decylitrów, na próżno pieczołowicie odmierzy dwie trzecie wina i zmiesza je z jedną trzecią wody sodowej. Doskonałość szprycera będzie zależeć od wprawy szynkarza, który jedną ręką odmierzy z wyczuciem wino, a drugą z takim samym wyczuciem doda właściwą dawkę sodowej. Wielu birbantów na Węgrzech spokojnie siedziałoby w domu, gdyby opanowało tę sztukę znaną jedynie prawdziwym szynkarzom, stojącym za szynkiem w byle winiarni. Naprawdę nie jest to proste i dlatego będę musiał nająć starego szynkarza".

I jeszcze to: „Każda, ale to każda woda mineralna żałośnie niszczy charakter wina, a od wody sodowej żadne z białych win, obojętnie czy to znad Balatonu, czy z Egeru, nie straci swego bukietu i smaku".

A zatem: karafki w dłoń! Nalewacie 100 ml dobrego białego węgrzyna z marketu – najlepiej sprawdzą się aromatyczne szczepy takie jak irsai olivér, cserszegi fűszeres albo sauvignon blanc – i w odpowiedniej proporcji dodajcie wodę gazowaną. Najlepiej – jak chciał Márai – z syfonu, ale z braku laku może być też butelkowana gazowana. Żadnego lodu! Jedno i drugie ma być zimne. Tak wyposażeni czekamy na kolejną falę upałów! ■

Holló Müller-Thurgau Bodzilla, 25,99 zł (winnicalidla.pl)
Maria Vinho Verde 2024, 32 zł (marekkondrat.pl)
Teleki Csányi Villányi Portugieser Shiraz Rosé 2023, 34,99 zł (rafa-wino.pl)
Feind Irsai Olivér 2023, 39,90 zł (darwina.pl)
Riegelhofer Grüner Veltliner 2023, 45 zł (mielzynski.pl)

eprasa.pl 1a5536f9e2

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Fighter w BBN

Karol Nawrocki ogłosił, że szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego zostanie Sławomir Cenckiewicz. Zajadły wróg Tuska, który zasłynął choćby tym, że ujawnił polskie plany obronne w kampanii przed wyborami w 2023 r. „Do tej pory żaden szef BBN nie był politycznym fighterem – pisze Marek Świerczyński – Cenckiewicz to jednak postać ulepiona z innej gliny, zbudowana na promowaniu ekstremalnych sądów o politykach i żołnierzach". W niespokojnych czasach i z Nawrockim do spółki będzie wojował głównie z rządem Tuska.

Taki mamy klimat

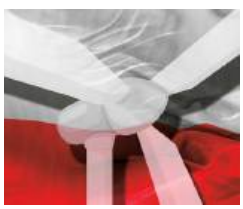

W czerwcu Polska wyprodukowała więcej prądu z odnawialnych źródeł energii niż z węgla kamiennego i brunatnego. To historyczna zmiana. „Taki mamy klimat", że bardziej opłaca się stawiać wiatraki i czerpać ze słońca. Pod ustawą wiatrakową prezydent Andrzej Duda mógłby złożyć jeden z ostatnich podpisów. Ale pewnie nie zechce, a broniący węgla Karol Nawrocki – tym bardziej. Rządowi też wiatr w oczy wieje, bo boi się narazić górnikom. Czeka nas wkrótce, jak pisze na polityka.pl Jan Dziadul, pierońska awantura.

Kto to dowiezie?

Izera zmartwychwstaje – donosi na naszym portalu Adam Grzeszak. O projekcie polskiego auta elektrycznego mówi się od dziewięciu lat, to jeden ze sztandarowych projektów Prawa i Sprawiedliwości. I jeden z wielu, z których nic nie wyszło. Fabryka miała powstać w Jaworznie, gdzie już wycięto pod nią kawał lasu. Właśnie się okazało, że zostanie wybudowana, choć nie wiadomo jeszcze, co dowiezie. Grzeszak: „Wiele lat gadania o Izerze stworzyło silną markę, choć żadne auto nie powstało. To pokazuje, jaka jest siła iluzji". Tylko koszty są realne.

Wakacje z czytaniem

W nowym odcinku podkastu „Polityka o książkach" pakujemy walizki na lato. Justyna Sobolewska gości w studiu Annę Dziewit-Meller, pisarkę, redaktorkę naczelną Grupy Wydawniczej Foksal, ostatnio również podkasterkę. Wspólnie kompletują lektury, ale to rozmowa także o tym, czy praca nas definiuje, czy umiemy odpoczywać i jak wygląda „druga połowa życia". Czasem wygląda jak wakacje: docenia się czytanie, zaniechanie, bałaganienie i nicnierobienie.

Wiele Hiszpanii

Najnowszy Pomocnik Historyczny POLITYKI to pasjonująca, wielowarstwowa opowieść o Hiszpanii dawnej i dzisiejszej. Wydanie uzupełnia podkastowa rozmowa Agnieszki Krzemińskiej z historykiem dr. Pawłem Szadkowskim. Wędrujemy przez regiony (od Kraju Basków po Katalonię), obalamy stereotypy i mity, poruszamy trudne wątki (rekonkwista, inkwizycja, kolonializm). Rzecz dla wszystkich, którzy planują wakacje w Hiszpanii – i dla tych, którzy chcą ją wreszcie zrozumieć.

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH, MP

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 1a5536f9e2

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Lipcowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 1a5536f9e2

KUP TERAZ

Letnie **łamanie głowy!**

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzowe – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

eprasa.pl 1a5536f9e2